RAPORT „DO RZECZY”

Mateusz Morawiecki – kulisy nominacji na premiera

Jak Rosjanie niedawno inwigilowali polskie służby

SZUKAJ WYDANIA Z KSIĄŻKĄ

Ziemkiewicz obnaża antyfeminizm „Newsweeka”

Komuda o prawdziwych dziejach bohaterów „Trylogii”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 50/252 11–17 GRUDNIA 2017

Atak na ojca Rydzyka

Wściekłość lewicy na utratę monopolu – co się kryje za zbliżeniem dyrektora Radia Maryja z Żydami?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 5 0 9 772299 850000 Nakład: 100 tys. egzemplarzy

ZAPAL ŚWIATŁO WOLNOŚCI
13 GRUDNIA

13 grudnia 1981 roku w Polsce został wprowadzony **stan wojenny**. Mając świadomość ogromnego poparcia społecznego dla „Solidarności" i związanego z tym zagrożenia dla swojej pozycji, komuniści postanowili użyć siły i rozprawić się z opozycją. **„Solidarność" została zepchnięta do podziemia, a jej przywódcy aresztowani**. Władza nie miała skrupułów, by strzelać do stawiających opór. **Symbolem zbrodni** stanu wojennego stała się **masakra w Kopalni „Wujek"**.

Brutalne działania reżimu spotkały się ze sprzeciwem wolnego świata. **Zapalenie świec w oknach** wielu domów na całym świecie stało się **znakiem pamięci** o walczących o wolność i godność Polakach. Do tego symbolicznego gestu solidarności wezwali wówczas papież **Jan Paweł II** i prezydent USA **Ronald Reagan**, a płomień wolności rozbłysnął w Watykanie i w Białym Domu.

Instytut Pamięci Narodowej zachęca do uczczenia pamięci ofiar stanu wojennego w ten sam sposób: **zapalmy światła wolności w oknach naszych domów** w środowy wieczór, **13 grudnia, o godz. 19:30** – w tym samym dniu, w którym 36 lat temu komunistyczna dyktatura usiłowała odebrać Polakom nadzieję.

www.13grudnia81.pl

ZAPAL ŚWIATŁO WOLNOŚCI
13 grudnia
19.30

Wirtualne Światło Wolności:

Kadr z filmu:
niezwyciezeni-film.pl

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

PREZYDENT.PL

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Najtrudniejszy egzamin dla Mateusza Morawieckiego

Stało się. Mateusz Morawiecki zastąpi na stanowisku premiera Beatę Szydło. Jednych to cieszy, innych martwi, największa jest chyba grupa zdezorientowanych, którzy zadają pytanie o motywy tej decyzji. Rzeczywiście, wątpliwości narzucają się same. Dlaczego zmieniać popularną premier po dwóch latach kierowania gabinetem i to po tym, jak odrzuciło się wotum nieufności wobec niej? Dlaczego wcześniej zarówno sama Beata Szydło, jak i ważni politycy PiS, jak choćby Ryszard Terlecki, twierdzili, że rekonstrukcja nie będzie dotyczyła stanowiska premiera? Trudno uznać, żeby odpowiedzią na te pytania był komunikat komitetu politycznego PiS i dość osobliwie brzmiące słowa o „pełnym determinacji przeciwdziałaniu ze strony wrogich idei dobrej zmiany zarówno sił wewnętrznych, jak i zewnętrznych". Pomijając kwestię poprawności gramatycznej: Czy wynika z tego, że premier Szydło była nie dość skuteczna?

Z różnych wypowiedzi można wywnioskować, że głównym motywem zmiany na stanowisku premiera było wzmocnienie pozycji Polski w relacjach z państwami Unii. Mateusz Morawiecki ma lepiej bronić dobrej zmiany, lepiej ją tłumaczyć i w ten sposób przyczynić się do osłabienia coraz silniejszej presji europejskiej na Polskę. Być może tak jest, chociaż do tej pory nikt w PiS nie zadbał o wytłumaczenie zmiany wyborcom. W każdym razie wynikałoby z tego, że Jarosław Kaczyński na poważnie obawia się czy to samych sankcji, czy też, w przyszłości, ograniczenia funduszy unijnych dla Polski. W tym sensie wybór Mateusza Morawieckiego, który przez dwa lata zbudował sobie doskonałe relacje ze światem biznesu i umie także rozmawiać z unijnymi partnerami Polski, byłby racjonalny.

Nie jest przypadkiem, że tuż po nominacji w zachodnich mediach zaczęto porównywać Morawieckiego do prezydenta Francji, Emanuela Macrona. Przesłanie związane z jego nominacją jest jasne: Polska się rozwija i bogaci, modernizuje i zmienia, stawia na innowację oraz przyszłość. Rządzą nią technokraci i fachowcy, finansiści i menedżerowie, dlatego zarzuty zachodnich polityków, podszczuwanych do tego przez część polskiej opozycji, o tłamszenie praworządności, o łamanie demokracji i cofanie kraju do przeszłości nie mają podstaw.

Wizerunek i dokonania na stanowisku szefa jednego z największych banków prywatnych to z tego punktu widzenia największy atut nowego premiera. Ba, nawet jego przynależność do Rady Gospodarczej przy Donaldzie Tusku staje się zaletą: przecież to kolejny fakt pokazujący, że Jarosław Kaczyński postępuje pragmatycznie, nie kieruje się zemstą i pamiętliwością, jak twierdzą jego wrogowie.

Czy zmiana premiera wystarczy, żeby uspokoić zachodnich krytyków? Czy technokratyczny język i światowy sznyt polepszą obraz Polski? Na pewno Morawiecki trafi do tych, którzy krytykują Polskę z powodu ignorancji, trudno jednak uwierzyć, że przekona najbardziej zaciekłych, ideologicznych wrogów. Ilu jest tych pierwszych, a ilu drugich, dopiero się okaże.

Jednak to samo, co jest tak wielkim atutem Morawieckiego w relacjach z Zachodem, jest też jego słabością w samym PiS. Nie wygrał nigdy demokratycznych wyborów, nie ma swojego własnego zaplecza politycznego. Duża część elektoratu prawicowego, przede wszystkim mieszkańców małych miast i prowincji, wciąż widzi w nim ciało obce, człowieka wywodzącego się ze świata wielkiej finansjery i bankowości. Lud PiS-owski podchodzi do niego nieufnie i z dystansem. To oczywiście może się zmienić, dużo zależy zarówno od samego Morawieckiego, jak i od jego otoczenia. Czy będzie potrafił używać naprzemiennie dwóch różnych języków – technokratycznego żargonu w relacjach z Zachodem i emocjonalnego, bliskiego oraz swojskiego wobec zwykłych Polaków? Sytuacji Morawieckiemu na pewno nie ułatwia fatalny sposób odwołania premier Beaty Szydło.

Mateusz Morawiecki najpierw potrafił pokazać, że jest dobrym prezesem banku, później okazał się sprawnym wicepremierem odpowiedzialnym za gospodarkę. Teraz przed nim najtrudniejszy sprawdzian: musi okazać się też skutecznym politykiem. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 8d31aeab18

TEMAT TYGODNIA

24 PIOTR SEMKA
ŁAMANIE LODÓW, CZYLI GAMBIT OJCA RYDZYKA
Redemptorysta znów zaskakuje

28 ROZMOWA Z JONNYM DANIELSEM
POLSKA JEST NA CELOWNIKU

RAPORT „DO RZECZY"

16 PIOTR GOCIEK
DLACZEGO MORAWIECKI

20 MACIEJ PIECZYŃSKI
OD BANKIERA DO PREMIERA

KULISY ZAWANSOWANIA PREMIERA

KRAJ

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BLISKIE SPOTKANIA Z ROSJĄ
Służby specjalne i przenikanie do Polski

35 MARCIN MAKOWSKI
HIPSTER OD ŚW. TOMASZA

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KTO KOGO, CZYLI POWRÓT LENINA

40 RADOSŁAW WOJTAS
ŚMIERĆ W WALCE

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
DRUGA PODRÓŻ POIROTA
Remake znanego kryminału

46 ROZMOWA Z DARIUSZEM ROSIAKIEM
BLADA TWARZ INDIANINA

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 ŁUKASZ WARZECHA
ANDRZEJ DUDA JAK KOT SCHRÖDINGERA
Wyzwania dla prezydenta

62 SEBASTIAN RYBARCZYK
NA WYPASIE W III RP

66 KRYSTIAN KRATIUK
UTAJNIONE PRZYSPIESZENIE

HISTORIA

68 JACEK KOMUDA
CZAPLIŃSKI KONTRA CHMIELNICKI
Prawdziwe dzieje bohaterów „Trylogii"

ŚWIAT

74 ŁUKASZ ZBORALSKI
BUNTOWNIK
Micheil Saakaszwili – od prezydenta do opozycjonisty

76 PIOTR WŁOCZYK
OPRESJA C-16

78 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CIĘŻAR SUMIENIA

81 ROZMOWA Z SZEWACHEM WEISSEM
TRUMP MUSI MIEĆ PLAN

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
NOWA MOC UCHRONI PRZED BLACKOUTAMI
Rachunek za prąd

85 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM DERDZIUKIEM
ZALEPIANIE DZIUREK W SYSTEMIE

ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
CHROŃ SIĘ, CZŁOWIEKU!
Namówić młodych do dbania o zdrowie

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (58), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (72), KOWALCZUK (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 8d31aeab18

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w naszej poczcie uwagi ogólne i nasze odpowiedzi. Dziękujemy za wszystkie listy!

Grzeczniej, proszę

Dzień dobry,
pod przysłowiową budką z piwem rozmówcy najprawdopodobniej nie stosują zwrotów grzecznościowych lub funkcji przynależnych danej osobie.

Pisarze w DoRzeczy.pl postępują podobnie. Na przykład: „Morawiecki odwołał…" czy „Skrzypczak oburzony postępowaniem Macierewicza".

A gdzie się podziało Pan/Pani, minister, imię? Jesteście organizacją opiniotwórczą, czytają was młodzi. Nawet jeśli ci ostatni nie stosują tych zasad, wy, nie stosując ich, tracicie respekt, wiarygodność jako gazeta, jako zespół.

Myślę, że nie jest za późno, aby to zmienić.

Z uszanowaniem
Marek Krystosiak, Warszawa

Od redakcji:

Zgadzamy się, że grzeczność zachowań językowych (w tym etykieta językowa) wpisuje się w szeroki kontekst zgodnego współżycia społecznego, a normy grzecznościowe sytuują się bardzo blisko norm moralnych. Pragniemy zapewnić, że nasza redakcja dokłada wszelkich starań, aby przestrzegać etykiety językowej (o czym świadczą nasze wywiady itd.). Niemniej prasa wykorzystuje przecież rozmaite gatunki dziennikarskie, literackie itp., od prostych tekstów informacyjnych do felietonów i artykułów, w których prezentowane są subiektywne opinie autorów, są w niej również teksty pisane żywym językiem, barwne, często satyryczne, polemiczne, nierzadko uszczypliwe itp. Nadzór i opracowanie redakcyjne nie mogą prowadzić do ugrzeczniania na siłę czy pouczania autorów.

Poza tym forma „pan/pani" przed nazwiskiem, o którą się Pan upomina, nie zawsze jest przejawem grzeczności. Czasem świadczy wręcz o nieznajomości etykiety językowej. Nie napiszemy więc o osobie, której nie znamy, „pani X/pan X", np. „pan Woody Allen wymyślił coś takiego". Proszę zwrócić uwagę, że pisanie o osobach publicznych z pominięciem imienia ma rozmaite funkcje, czasem oprócz dziennikarskiego skrótu ilustrować może stosunek piszącego do bohatera tekstu. To ważna informacja dla czytelników.

„Garnitur od Barbakana"

Bardzo zaskoczył i zdziwił mnie błąd popełniony przez Waszego wytrawnego autora, pana Sławomira Kopera, w felietonie z cyklu „Historia wiecznie żywa" („Do Rzeczy" 46/2017), polegający na zmianie nazwiska znanego mistrza krawieckiego Władysława BERKANA (1859–1941) na Barbakan! Myślę, że pan Koper przeglądał źródła, w których opisany był znany w sferach literackich długoletni konflikt Władysława Berkana ze Stanisławem Przybyszewskim na tle niezapłaconej należności za zamówione ubrania. Było nawet przed wielu laty słuchowisko radiowe dla dzieci o Władysławie Berkanie zatytułowane „O mistrzu Berkanie".

Z poważniejszych źródeł opisujących tę historię można wymienić „Palestrę" Pismo Adwokatury Polskiej (nr 3–4/2007), zamieszczane na stronie www.palestra.pl. Pragnę dodać, że Władysław Berkan jest wymieniony w „Encyklopedii literatury polskiej" jako autor książki „Życiorys własny", wydanej w 1924 r. w ramach Materiałów Instytutu Socjologicznego w Poznaniu. Przedmowę do niej napisał znany socjolog, prof. dr Florian Znaniecki. Ta autobiografia została wyróżniona w konkursie życiorysów robotniczych, ogłoszonym przez Instytut Socjologiczny w Poznaniu.

Z wyrazami uszanowania
Jan Berkan

Od autora:

Rzeczywiście, popełniłem błąd. Najpewniej wskutek automatycznej poprawki Worda. Bardzo przepraszam. Cóż, nie myli się tylko ten, kto nic nie robi.

Sławomir Koper

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Tytus Żmijewski/PAP, oprac. graf: SUNDAY**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z książką 296430
Nakład 100 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 8d31aeab18

Smaker

Numer 1

wśród serwisów kulinarnych

www.smaker.pl

*Źródło: Badanie Gemius / PBI dane za wrzesień 2017 Kategoria: Kuchnia, gotowanie.

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jak zdobyć serca ludu PiS?

Jeśli to prawda, że Jarosław Kaczyński obiecał w 2015 r. Mateuszowi Morawieckiego, że po dwóch latach od wyborów otrzyma premierostwo, to prezes PiS wypełnił obietnicę.

Jak na nowego premiera zareaguje elektorat PiS? Jarosław Kaczyński miał tyle siły, by skłonić Beatę Szydło do dymisji i akceptacji partii dla swego pomysłu, ale pokochania Morawieckiego przez „lud PiS-owski" rozkazać równie łatwo nie może. Elektorat zaakceptował przez ostatnie dwa lata Morawieckiego jako faceta od zdobywania pieniędzy umożliwiających „500+" i szerzej – dobrą zmianę, ale na razie byłego bankiera nie pokochał. A Szydło owszem. Nie wykluczam, że syn antykomunisty z Wrocławia może jeszcze zdobyć serca ludu PiS-owskiego, ale będzie to długa praca. I jak to z miłością – dziś nie możemy przewidzieć, czy się uda.

Czego „naczelnik" oczekuje od dotychczasowego ministra rozwoju? Jeśli skupienia się rządu na problemach gospodarczych, to na pewno jest to krok trafny. Jednak jeśli podjął decyzję o zmianie wskutek oskarżeń o brak panowania nad samowolą ministrów, to winien zapytać siebie, w jakim stopniu współodpowiada za ten stan rzeczy. Jeśli paru ministrów lekceważyło Beatę Szydło i biegało załatwiać ważne rozstrzygnięcia na Nowogrodzką, to czy teraz pod Morawieckim to się skończy? A jeśli tak, to dlaczego nie mogło się to skończyć jeszcze za rządów córki górnika z Brzeszcz? I druga nadzieja, która wiązana bywa z Morawieckim. Że z racji obycia europejskiego, dobrej znajomości języków załagodzi wzbierającą, kolejną falę nacisku Unii na Polskę za przyjęcie ustaw o reformie sądów.

Tyle że ostrość tego konfliktu nie wynikała przecież z jakiejś nieporadności czy wojowniczości Szydło. Był on realizacją polityki prezesa PiS. I równie dobrze mógł być załagodzony zamknięciem choć paru z frontów wojny z Brukselą, np. w sprawie Puszczy Białowieskiej, już za epoki Szydło. Tym bardziej że pani premier łatwiej byłoby „spuścić z tonu", bo twardy elektorat szanuje ją za postawę wobec unijnych liderów. I na odwrót – jeśli to Morawiecki pójdzie na pewne ustępstwa wobec Brukseli, to iluś ludzi po prawej stronie szybko przypomni, że był kiedyś doradcą Tuska.

Skład nowego gabinetu Morawieckiego poznać mamy dopiero w styczniu. Oznacza to, że po półtora miesiąca plotek o obsadzie premierostwa czeka nas dodatkowe parę tygodni tego samego, tyle że w kwestii obsady poszczególnych ministerstw. Buzować będą ambicje, prowadzone będą gry podjazdowe. Swoje trzy grosze do narad na temat składu gabinetu dorzuci jeszcze być może prezydent. Jeśli ktoś w PiS jest zmęczony taką huśtawką nastrojów, to niech nie liczy na szybkie uspokojenie.

Wszystkie te wątpliwości zwolennicy Kaczyńskiego ucinają krótko: „Nie wiemy wszystkiego, prezes wie, co robi". W najbliższych miesiącach zobaczymy, czy to prawda. ©℗

Cierpienia młodych ośmiorniczek

Furda „Cierpienia młodego Wertera", bo od teraz w szkołach dzieci powinny się uczyć o „cierpieniach młodych ośmiorniczek", a także o tym, że dla nich – jak dla ludzi – „poczucie cielesnego skrępowania" (czyżby chodziło o wstyd?) i samotność są źródłem cierpienia.

Nie, to nie jest żart, to najnowszy, nieco tylko sparodiowany, pomysł Marty Kaczyńskiej z felietonu w tygodniku „Sieci". Jego autorka poza „stopniową delegalizacją niehumanitarnego traktowania zwierząt" – chciałaby jeszcze lekcji w szkołach, których celem byłoby właśnie udowodnienie, że „zwierzęta odczuwają tak jak ludzie i że należy traktować je tak, by nie zadawać im cierpienia". A skoro mają być lekcje i skoro zwierzęta „odczuwają tak samo jako ludzie", to przypuszczam, że będziemy się zajmować „analizą przeżyć wewnętrznych i cierpień ośmiorniczek", a także egzystencjalnymi lękami norek, które błagają, by wyzwolić je z ferm futrzarskich.

Zaraz, zaraz, powiecie, przecież nikt nie twierdzi, że ośmiorniczki mają przeżycia wewnętrzne, a norki lęki egzystencjalne… Niestety mylicie się. Uznanie, że zwierzęta odczuwają tak samo jak ludzie, to właśnie stwierdzenie, że nie ma między nami różnicy, a skoro tak, to należy nas traktować tak samo. Problem polega na tym, że wystarczy spojrzeć na ośmiorniczki, żeby wiedzieć, że to bzdura, a trzeba chwilę pomyśleć, by zrozumieć, że to bzdura niebezpieczna. Jeśli bowiem zwierzęta i ludzie cierpią tak samo i tak samo należy je przed cierpieniem bronić, to… prędzej czy później można uznać, że czasem cierpienie ludzi jest mniej istotne niż cierpienie zwierząt, a zatem trzeba zacząć ograniczać prawa ludzi (a nawet je likwidować), by nie przeszkadzali zwierzętom. Jeśli ktoś się na to nie zgodzi, to zawsze można okrzyknąć go „szowinistą gatunkowym".

Niemożliwe? To proszę poczytać zachodnich bioetyków, którzy z założeń, o których napisała w „Sieci" Marta Kaczyńska, wyciągają tylko dalsze wnioski. ©℗

Tomasz P. Terlikowski

eprasa.pl 8d31aeab18

Podnieście głowy!

To mogło zdarzyć się tylko w Polsce

Album „Podnieście głowy!" jest nie tylko podsumowaniem Wielkiej Pokuty i Różańca do Granic - dwóch wielkich inicjatyw modlitewnych, które miały miejsce w naszej Ojczyźnie w trakcie niecałego roku. To również fascynująca podróż przez dzieje wiary w Polsce, nowe spojrzenie i próba odczytania znaków czasu.

Bogato ilustrowane wydawnictwo, zawiera setki nigdy niepublikowanych zdjęć. Wspaniałe przypomnienie i pamiątka dla uczestników tamtych niezwykłych zdarzeń. Doskonały prezent na święta.

Książka dostępna na: **www.sklep.mikael.pl**

Więcej informacji na:
www.rozaniecdogranic.pl i www.wielkapokuta.pl

Książkę można również zamówić pod numerem telefonu:
22 213 93 32

Dochód ze sprzedaży książki przeznaczony jest na finansowanie kolejnych inicjatyw organizowanych przez Fundację Solo Dios Basta.

Premiera książki 8 grudnia w święto Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny.

MECENASI GŁÓWNI: Energa

MECENASI: RENOVIS, SCALAM

WSPÓŁPRACA: MIKAEL

eprasa.pl 8d31aeab18

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nie płaczę po Dymku

Sprawa domniemanego zgwałcenia przez Jakuba Dymka z „Krytyki Politycznej" byłej konkubiny Dominiki Dymińskiej nabiera coraz bardziej kraśnych rumieńców. Po tym, jak oskarżenie Dymińskiej, budząc zrozumiałą sensację, obiegło już wszystkie możliwe media i obrosło w komentarze, odnośny akapit zniknął z demaskatorskiego artykułu na portalu Codziennik Feministyczny. W miejscu, gdzie jeszcze kilka dni temu pani Dymińska opowiadała, że początek burzliwego romansu z panem Dymkiem stanowił gwałt, który wszelako uznała wówczas nie za gwałt, tylko że chłopak tak się do niej rozpędził po prostu, niemniej po bez mała dwóch latach, kiedy związek okazał się niesatysfakcjonujący, plus jeszcze pewnym czasie na przemyślenia, uznała, że to jednak był gwałt – pojawiła się najpierw pustka, a potem napisana pokrętnym prawniczym językiem notka. Notka informuje, że Codziennik czyni stosowny fragment tekstu chwilowo niedostępnym dla użytkowników „w związku z podjęciem przez organy ścigania czynności zmierzających do wyjaśnienia okoliczności oraz danych osobowych postaci, których dotyczy zamieszczona uprzednio relacja anonimowych osób". Pytana przez branżowy serwis o uściślenie redaktorka Codziennika wyjaśniła, że chodzi o postępowanie prokuratorskie.

Nie wiem, ile będzie prokuratura potrzebowała czasu, żeby ustalić, że anonimowa osoba przedstawiająca się jako Dominika Dymińska oraz anonimowa osoba opisana jako Jakub Dymek to nie pseudonimy – jak można by sądzić z aż proszącego się o sprośne kalambury współbrzmienia tych nazwisk z potoczną nazwą czynności, o której dokonanie bez zgody anonimowej osoby anonimowa osoba została oskarżona – ale państwo Dymek i Dymińska z wiadomych, feministyczno-lewicowych sfer. Znając nasz wymiar ścigania, może to potrwać. Jednak dłużej chyba trzeba będzie czekać na opinię biegłego psychiatry, bez którego sprawy ugryźć się nie da.

Powinienem mieć współczucie dla pana Dymka, ale kiedy sobie przypomnę, z jaką zajadłością jego środowisko domagało się „konwencji antyprzemocowej", tego, by gwałt stał się przestępstwem ściganym z urzędu nawet bez woli domniemanej ofiary czy wręcz wbrew niej i by, tak jak w niektórych krajach zachodnich, właściwie samo oskarżenie uważać za dowód winy – to jakoś nie współczuję. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zdelegalizować autobusy

Wiceminister kultury Magdalena Gawin domaga się odebrania uprawnień do prowadzenia pojazdów tym kierowcom autobusów, którzy przewożą w nich osoby bez biletów i nietrzeźwe. Fakt, to fejk. Żart bzdurny, ale na podobnie absurdalnym poziomie plasuje się – niestety prawdziwa – deklaracja Gawin, głoszącej, że „delegalizacja ONR jest absolutnie niezbędna".

Nie sposób nie potraktować jej wypowiedzi jako niefortunnej i bezzasadnej. Podobnie nie da się też poważnie potraktować jej argumentów: ONR miałby zostać zdelegalizowany, bo na organizowanej przez tę organizację wielotysięcznej manifestacji pojawiła się grupa osób (de facto niezwiązanych z organizatorami) skandujących niedopuszczalne hasła, a także bo – zdaniem Gawin – cele radykalnych narodowców są niezgodne z konstytucją.

Zgodnie z tą logiką należałoby oczekiwać wniosków o delegalizację PiS czy PO, ponieważ i na wiecach obu tych ugrupowań nie brakuje świrów z nienawistnymi hasłami.

O działaniach i celach radykalnych narodowców warto dyskutować, ale przynajmniej w ich oficjalnych dokumentach, w których mowa o uznaniu rodziny za fundament narodu, oczekiwaniu, że państwo będzie wspierać edukację i kulturę, a na jego straży stać będzie silna armia, trudno doszukiwać się podstaw do delegalizacji.

Likwidacja ONR stworzyłaby płaszczyznę, na której potencjał radykalizującego się młodego pokolenia przejęłyby organizacje mające w nosie zasady wolności i tolerancji, jak choćby odwołujący się do idei narodowo-socjalistycznych „Szturmowcy" czy bolszewicy z Komunistycznej Młodzieży Polski. I to im przedstawiciele rządu powinni się przyjrzeć. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pochwała nieufności

Hasztag #ZaufajmyPrezesowi pojawił się na Twitterze w połowie ubiegłego tygodnia. (Wyjaśniam mało obytym w mediach społecznościowych: hasztag to hasło oznaczone znaczkiem „#", po którym można zidentyfikować wypowiedzi na dany temat). Trudno dziś ocenić, co jest serio, a co nie. Czasami wydaje się, że jakaś wypowiedź ociera się o absurd, tymczasem okazuje się, że została wygłoszona bez śladu ironii. Przyjąłem zatem, że akcja #ZaufajPrezesowi jest na serio.

W Polsce istnieje tradycja magicznego i bałwochwalczego traktowania polityki oraz polityków

Chodziło o ciągnący się jak boliwijski serial proces rekonstruowania rządu. Okrzyk „zaufaj prezesowi" trzeba tu traktować jak wyraz skrajnej desperacji: „Nic już z tego nie rozumiemy, nie wiemy, po co to, dlaczego i jaki ma cel, ale pokładamy wiarę w nadnaturalne zdolności Naczelnika".

Oderwijmy się od tej konkretnej sytuacji, bo postawa religijnego ubóstwienia i zaufania jest nieszczęściem w przypadku każdej władzy. Kategoria zaufania nie powinna w ogóle działać w relacji obywatela z politykami. Ufać trzeba Panu Bogu, można – bliskim czy przyjaciołom. Politykowi się nie ufa, bo traktuje się go jako specjalistę wynajętego do konkretnego zadania za nasze pieniądze, a nie jak przyjaciela. Z politykiem wyborca zawiera kontrakt i głosować na niego powinien, gdy ocenia, iż ów kontrakt zostanie wypełniony w większej lub mniejszej części. Ta rachuba może się okazać błędna, ale nie ma to nic wspólnego z zaufaniem czy jego nadużyciem.

W Polsce jednak istnieje tradycja magicznego i bałwochwalczego traktowania polityki oraz polityków. Tradycja – jak większość fatalnych polskich obyczajów – mająca źródło w pechowym dla nas romantycznym XIX w., gdy realizowaliśmy się w powstaniach i fantasmagoriach, zamiast – jak wolne narody – budować mozolnie swoją ekonomiczną pomyślność. W czasach I Rzeczypospolitej było inaczej. Szlachta – nawet przed pierwszą całkowicie wolną elekcją w 1573 r., co najmniej od czasu przywileju mielnickiego z roku 1501 – zawierała z królem umowę na rządzenie, i to mimo jego statusu boskiego pomazańca. W ramach umowy obywatele gwarantowali sobie prawo do wypowiedzenia władcy posłuszeństwa, gdyby pogwałcił ich prawa.

Jakkolwiek paradoksalnie to brzmi, ponad 500 lat temu Polacy traktowali rządzących z większym rozsądkiem niż dziś, gdy rozumną ocenę dokonań i działań zastępuje zaufanie – czy to Naczelnikowi, czy „prezydentowi Europy", czy komuś innemu. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

W rekonstrukcji jest metoda

Zanim serial obyczajowy pod nazwą „rekonstrukcja" znalazł swój happy end (gdy piszę te słowa, zapowiedziano, że znajdzie w nadchodzącym tygodniu), zdołał wycisnąć z twitterowych publicystów ostatnie pokłady cierpliwości. A bez niej zostały tylko gorycz i kpina.

Tak też Rafał A. Ziemkiewicz bez krzty empatii podsumował „udany łykend" rządu i okolic, podczas którego: „Jaki groził zerwaniem koalicji, jeśli poleci Ziobro, Sakiewicz, wojną o Macierewicza, a Orzeł, zwykle zorientowany w duszy Jaro, zapowiada go na premiera, choć dziecko widzi, że to samobój".

Casting na premiera na antenie TV Trwam nie wzbudził natomiast zaufania zarówno młodego (Michał Wróblewski), jak i nieco starszego (Łukasz Warzecha) pokolenia twitterowych malkontentów. „W jury ojciec Rydzyk i prezes Kaczyński. Nie tak to powinno wyglądać" – komentował dziennikarz „Faktu". „Czy #ZaufajmyPrezesowi to quasi-religijna akcja sekciarska, na zasadzie wyłączenia myślenia?" – dopytywał nasz redakcyjny kolega. Odnosił się tym samym do słów premier Szydło, która apelowała o zaufanie. Jednak do prezesa partii, a nie do własnego rządu.

Najwięcej ironii wylał z siebie jednak Marcin Palade. „Jeśli rekonstrukcja rządu ma przykryć finał procedowania nad ustawami o KRS, SN i ordynacji samorządowej, a to wszystko od godziny przykrywa info o aresztowaniu byłego szefa SKW, to co przykryje te dwa przykrycia?" – śmieszkował, zamiast przejąć się losem państwa. Nawet ten przytomny zazwyczaj umysł nie umiał jednak dociec, jaką metodą prezes wybrał metodę wyboru nowego premiera.

Być może odpowiedź na to pytanie znajdziemy w memie opublikowanym przez profil „TVP Korea". Obok uśmiechniętej Danuty Holeckiej trzy znamienne paski „Wiadomości". I tak, 20 września: „Polacy stawiają na rząd Beaty Szydło". 9 listopada: „Sukces planu reform Jarosława Kaczyńskiego". 5 grudnia: „Polacy ufają Mateuszowi Morawieckiemu". Może w takim razie wygrała pierwsza z zaproponowanych w „Rejsie" metod głosowania. Przez aplauz. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

W ROLI EKSPERTA

Małgorzata Rozenek jest chyba najbardziej rozrywaną celebrytką. Niedawno pisaliśmy o tym, że niebawem na antenie TVN zobaczymy kręcony w wielkiej tajemnicy program z nią i jej małżonkiem w rolach głównych – Majdany mają jeździć po świecie i jedno z nich będzie spędzać czas w luksusach, a drugie na ulicy. Oprócz tego Małgorzata prowadzi cały czas swój własny poradnikowy program w TVN Style. Teraz jednak, jak donosi tabloid „Fakt", ma dostać kolejny! Tym razem ma on dotyczyć chirurgii plastycznej i medycyny estetycznej. „Powiększenie biustu, ust czy pozbycie się niedoskonałości ciała ma pomóc uczestniczkom zmienić się z brzydkiego kaczątka w pięknego łabędzia" – czytamy w „Fakcie" opis programu. Czyli nareszcie coś, na czym Małgorzata się zna! – Warto zobaczyć te oszałamiające metamorfozy. Można osiągnąć wszystko, wystarczy odrobina samodyscypliny, czyjaś pomoc i niestety pieniądze – mówi Rozenek. – Nowy program dla TVN Style jest zwieńczeniem moich marzeń – rozpływa się. No tak, wreszcie będzie mogła poopowiadać widzom o sobie. Jakby przez ostatnich pięć lat robiła cokolwiek innego.

SKROMNA BOŻENKA

Aktorko-tancerko-celebrytka Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu", ma podobno poczucie, że jej kariera stoi w miejscu. Udział w „Tańcu z gwiazdami" co prawda trochę pomógł, ale teraz potrzebne są nowe bodźce. Tymczasem lukratywnych propozycji brak. W tej sytuacji Bożenka postanowiła walczyć nawet o propozycje mniej lukratywne. Podobno stara się o pracę w niszowej stacji muzycznej, emitującej muzykę disco polo. Uważa, że się do tego świetnie nadaje, ale jest jeden problem – obecna prowadząca. – Na korytarzach już się mówi, że Agnieszka chce wygryźć dotychczasową twarz Polo TV Edytę Folwarską. Mimo że Edyta jest lubiana przez widzów i popularna w środowisku, Agnieszka jest przekonana, że poradzi sobie lepiej i jest bardziej znana – mówi informator jednego z plotkarskich portali. Jak już trafi do tej telewizji, to jest spore prawdopodobieństwo, że będzie mniej znana. I to jest dobra informacja.

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

FOT. PAWEŁ GROMADA

TEN WYRAZ TRIUMFU

Kinga Rusin pochwaliła się w internetach, że udało jej się zrobić wywiad z Łukaszem Kubotem. Na dowód zamieściła wspólne zdjęcie. Napisała też, że sportowiec nie udziela żadnych wywiadów i tylko dla niej zrobił wyjątek! Wie, bo dokładnie sprawdziła, że z nikim Kubot wcześniej nie rozmawiał. „No to już wszystko jasne. Plus ten mówiący wszystko wyraz triumfu na mojej twarzy. A Łukasz Kubot to świetny gość! Wyobraźcie sobie, że zawodnik nr 1 na liście deblistów ATP w zasadzie nigdy wcześniej nie udzielił wywiadu! [...] Tym bardziej się cieszę, że Łukasz mi zaufał i naprawdę szczerze opowiedział o sobie, o swoich upadkach i wzlotach, o marzeniach i obawach" – czytamy pod zdjęciem. Cóż, wystarczy wpisać w wyszukiwarkę nazwisko znanego tenisisty, by znaleźć całą masę wywiadów, których udzielił polskim mediom. Także stacji, w której pracuje Rusin. Chcielibyśmy zobaczyć ten wyraz triumfu na twarzy Kingi, gdy się o tym dowie!

BYLEJAKOŚĆ MYŚLI

Mariola Bojarska-Ferenc, trenerka fitness, o której Polska usłyszała, gdy ta zaczęła ostro zwalczać Ewę Chodakowską, ma wyjątkową zdolność do zrażania do siebie ludzi. Ostatnio na jakiejś imprezie została zagadnięta przez dziennikarza o swój strój, a zwłaszcza o dosyć drogie buty. Na uwagę, czy buty za kilka tysięcy euro to nie lekka przesada, pani Mariola stwierdziła, że „każdy kupuje na swoje możliwości". – W różnych momentach życia różnie się ubierałam i zawsze chciałam mieć coś fajnego i zawsze stawiałam na buty i to, co powtarzam: raz się żyje, trzeba dobrze wyglądać, no i tyle. Polacy tego nie rozumieją i zaraz będzie hejt, powiedzą: „Ja mam tyle, a ty masz tyle". Proszę państwa, ja naprawdę ciężko pracuję, po 12 godzin dziennie już ponad 30 lat, nie wiem, czy jutro nie zejdę z tego świata – oby nie, bo jeszcze chcę sobie parę rzeczy kupić – trzeba siebie rozpieszczać i jeśli to mi akurat sprawia przyjemność, to dlaczego mam od czasu do czasu nie zrobić sobie przyjemności – stwierdziła pani Mariola. – Ciągle piszę w swoich książkach, że kobieta w pewnym wieku nie może sobie pozwolić na bylejakość – dodała. Szkoda, że tę zasadę pani Mariola odnosi tylko do ubrań! ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż nieuchronnie nadciągają Winter Holidays, przygotowaliśmy dla Was psychozabawę pt. „Jakim winterholidayowym prezentem jesteś?”.

1) W swoim korpo zajmujesz się:

a) haerem, rekrutacją i optymalizacją wydajności pracy przez ergonomiczne usytuowanie kubka na kawę na biurku;

b) delegowaniem swoich obowiązków na innych pracowników;

c) pisaniem rozpaczliwych e-maili o tym, jak jesteś zarobiony, żeby inni dali ci świecki spokój;

d) zastanawianiem się, na kogo komu donieść, żeby dostać premię za wynik;

e) byciem menedżerem, więc głównie optymalizujesz budżet przez oszczędności na premiach dla zespołu.

2) W wolnym czasie najbardziej lubisz:

a) rozwiązywać psychozabawy i quizy na fejsiku, aby dowiedzieć się, jakim daniem z jarmużu jesteś;

b) patrzeć, jak inni pracują, i zmęczyć się samym tym widokiem;

c) udawać, iż nie masz wolnego czasu, ale tak naprawdę ze smutkiem czekasz, żeby ktokolwiek zabrał cię na piwo;

d) jeździć po mieście tramwajami i robić zdjęcia osobom, które wsiadają i nie kasują biletów;

e) samotnie przed komputerem i z piwerkiem ze sprajtem w ręce oglądać seriale na Netflixie.

3) Czego najbardziej nie lubisz w Winter Holidays:

a) zamknięte są twoje ulubione miejscówki na crossfit;

b) glutenu w opłatkach;

c) powrotu do małego ośrodka;

d) rzezi osobochoinek;

e) przyznawania świątecznych premii.

4) Co sam chciałbyś dostać w prezencie winterholidayowym?

a) motywację do codziennego wstawania z łóżka;

b) nie uznaję Winter Holidays, więc nie przyjmuję prezentów z tej okazji;

c) żeby w końcu za szóstym razem udało się obronić licencjat;

d) demokrację i wolne sądy;

e) premię świąteczną za zaoszczędzenie na premiach świątecznych mojego teamu.

ODPOWIEDZI

Jeśli wybrałoś (forma neutralna of kors) najwięcej odpowiedzi a): jesteś osobą nowoczesną, wyzbytą kompleksów i dynamiczną w działaniu. Wydaje ci się, iż jesteś niezastąpione, ale w rzeczywistości można się bez ciebie obejść, a szef trzyma cię dlatego, że kogoś takiego mieć wypada. Jesteś więc kolejnym krawatem w kratkę.

Jeśli wybrałoś najwięcej odpowiedzi b): nie lubisz się przemęczać, cenisz sobie wygodne życie bez niepotrzebnego zamieszania. Jesteś więc niewykorzystanym karnetem na fitness.

Jeśli wybrałoś najwięcej odpowiedzi c): udajesz niezależną osobę, ale w głębi świeckiego ducha czujesz się samotny. Próbujesz wypełnić pustkę pracą, ale jesteś zbyt leniwy. Jesteś więc pojedynczym biletem do kina.

Jeśli wybrałoś najwięcej odpowiedzi d): tak naprawdę nikt cię nie lubi, ale wszyscy zdążyli się do ciebie przyzwyczaić i nie zwracać uwagi. Jesteś więc parą skarpetek.

Jeśli wybrałoś najwięcej odpowiedzi e): samo uważasz siebie za godnego największych wyróżnień, ale dla podwładnych i rodziny jesteś już tylko rozczarowaniem. Zupełnie jak czekoladowy mikołaj w pudełku na iPhone’a. ©℗

REKLAMA

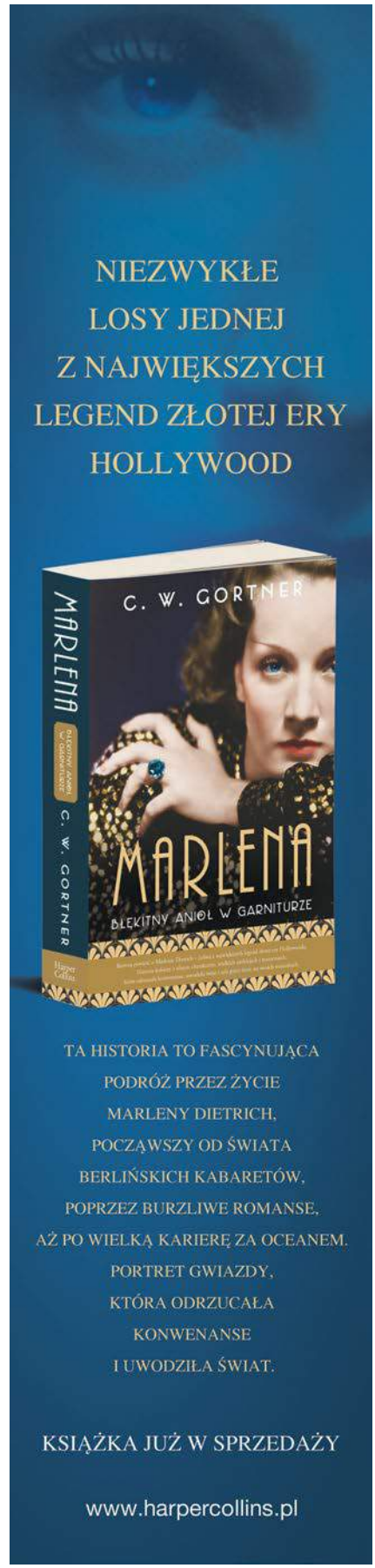

eprasa.pl 8d31aeab18

dwaj panowie g

Żegnamy premier Bełatę. I witamy Bełatę niepremier. Obiecujemy życzliwie i uważnie przyglądać się nowej drodze życia.

Żegnamy wicepremiera o bardzo długiej ksywce Słynny Syn Sławnego Ojca. Obiecujemy wymyślić nową, na nową drogę życia. Jednocześnie witamy premiera Mateusza, zwanego przez nas czasem nadpremierem. Obiecujemy, że będziemy pisać o nim dalej. A nawet bardziej.

Z kolejnymi pożegnaniami i powitaniami mamy pewien kłopot. Źli ludzie opowiedzieli nam bowiem, że powinniśmy szykować się do pożegnania m.in. Zbyszka „Zizou" Ziobry oraz Kostka Radziwiłła. A szykować do powitania Gośki Wassermann oraz Jarka Pinkasa. Jest jednak pewien problem. Gośka i Jarek dostali propozycje awansu na ministrów jeszcze w chwili, kiedy wydawało się, że rekonstrukturyzacja rządu będzie bezpremierowa. Wysuwała więc je Bełata. Jak wiadomo, Mateusz może mieć inne zdanie. Właściwie zawsze miał inne zdanie niż Bełata.

Przy okazji – wiecie, kto pierwszy wiedział, że nową Bełatą zostanie Mateusz? Facebook. Zanim ktokolwiek cokolwiek potwierdził, na oficjalnym koncie eMeMemsa pojawiła się informacja, że niczego nie będzie komentował dopóty, dopóki nie zostanie oficjalnie ogłoszone. Czyli nieoficjalnie było już wtedy ogłoszone – eMeMemsowi.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak widzicie, już podjęliśmy niezdarne próby wymyślenia nowej ksywki dla premiera. Ale eMeMems się nie przyjmie, bo przecież Mateusz nie jest taki słodki. Za to faktycznie twardy na wierzchu.

Trochę nam żal Pinkasa. Ma tę zaletę, że świetnie gotuje. Uważamy, że w każdym rządzie powinien być ktoś, kto umie gotować. W rządzie Ewki Kopacz nie było i wszyscy wiedzą, jak smutny był koniec tej historii.

Àpropos gotowania. Odrzucamy ze wzgardą brutalne ataki na marszałka Kuchcińskiego, który chce poprawić warunki żywieniowe w Sejmie. Wcale nas to nie dziwi, bo dziś kto żyw, żeruje w stołówce biur Kancelarii Prezydenta przy Wiejskiej, gdzie karmią lepiej i taniej. Kuchta chciałby, żeby wszędzie było lepiej i taniej. Czyli tak jak u ludzi prezydenta. Nie jesteśmy pewni, czy przy obecnym stanie stosunków pisowsko-prezydenckich nie jest to aby akt zdrady.

Złym ludziom to wszystko nie wystarcza. I ciągle skarżą się Kuchcie. Źli ludzie to posłowie Zjednoczonej Prawicy, którzy marzą o mocno dotowanych obiadach. Powinny być obfite, smaczne jak w komercyjnej restauracji i kosztować dychę. Mamy na to sposób. Gdyby Polska przyjęła euro, przeciętny obiad nawet bez dotacji mógłby kosztować dychę. Co wy na to, drodzy posłowie?

Z życia Eine Totalopposition. Kaśka do Grześka: „Nowoczesna musi mieć swoich kandydatów na prezydentów w części dużych miast". Grzesiek do Kaśki: „Ale nie macie dobrych kandydatów". Kaśka do Grześka: (cisza). Tak wykuwa się sojusz stulecia.

Żeby nie było: Grzesiek przywitał Kaśkę kwiatami. Nie miał daleko, bo były z sejmowej kwiaciarni. Właściwie kwiaciarniosklepiku. Tego samego, w którym można kupić rozmaite badziewie: magnesy z Sejmem, długopisy z Sejmem, szklane kule z Sejmem. Słowo „badziewie" pasuje zresztą nie tylko do sklepiku. Także do sojuszu stulecia.

Z życia ciał niebieskich. Uwagę obserwatorów nieba zwracamy na nowy obiekt: kometę Gasiuk-Pihowicz. Kometa rośnie. I rozpowiada na offie, że może i Kaśka Lubnauer jest jakąś tam szefową Nowoczesnej Kropki, ale tak naprawdę to główną rozgrywającą jest ona, Gasiuk-Pihowicz. Ego, jak wiadomo, mierzymy w radkach. Rysiek Petru miał, jak wiadomo, mniej więcej 0,3 radka. Myszka Agresorka ma na razie w okolicach 0,17 radka, ale szybko się nadyma.

Niestety, wywołaliśmy Radka z lasu. Ledwie dokonaliśmy pomiaru rosnącego ego Myszki Agresorki, już Radek „Sknerus" Sikorski się odezwał i nazwał Bełatę „wrednym babsztylem". Niczego innego nie spodziewaliśmy się po człowieku, który zastał Polskę murowaną, a zostawił nadmuchaną.

Wracając do Ryśka Petru. Rozumiemy tę Niagarę hejtu, jaką wylewa na eMeMemsa: że hochsztapler, szarlatan gospodarczy itd. Pomyślcie, to miał być taki cud: bankowiec, który wchodzi znienacka do polityki i w dwa lata zostaje premierem. Było blisko, prawda Rysiek? Otóż nie, chłopie, nie. W twoim przypadku nigdy nie było blisko.

PSL siedziało miesiąc temu u Flisa, żeby zobaczyć badania i dowiedzieć się, czy ma przyszłość.

eprasa.pl 8d31aeab18

Dokładnie się nie dowiedziało, ale za to przy okazji usłyszało, co przyszłości nie ma. To lewica. Na radykalną łapie się jakieś 5 proc. elektoratu, na umiarkowaną – ze 12 proc. Reszta w Polsce to konserwa. Czas na nowe hasło dla lewicy. Proponujemy: „PiS-Kukiz-WiS-Endecja--Wolność-UPR-PSL-PO – jedno zło!".

Winda w budynku Polskiego Radia. Do studia jedzie Włodek Czarzasty. Winda jedzie długo, a obok Włodka stoi młodzian, który milczy, lecz intensywnie się w niego wpatruje. Włodek wreszcie nie wytrzymuje i woła: „Co się tak gapisz? Żywego komucha nie widział?!". True story.

Rozumiemy Włodka. Nie ma łatwo. Rozmawialiśmy ostatnio z naszymi czerwonymi braćmi o problemie przywództwa. Mają wątpliwości. Emeryt Leszek Miller jest bowiem w dużo lepszej formie od słabującego Włodka. Stąd rozterki: Czy warto było zmieniać?

Àpropos naszych czerwonych braci. Niczego nie zrozumieli, niczego się nie nauczyli. Czwartek, godz. 9 rano. Świat się wali, Sejm debatuje o odwołaniu Szydło, media debatują o śniadaniu u prezydenta Andrzeja Sebastiana, które spożywają wraz z nim Bełata i Kaczor Dyktator. W tym momencie odzywają się komórki dziennikarzy. „Zapraszamy o 10.15 na briefing w sprawie ustawy SLD o związkach partnerskich". Sami powiedzcie: Czy oni są normalni?

Jedno, co przyszłości nie ma, to lewica. Na radykalną łapie się jakieś 5 proc. elektoratu, na umiarkowaną – ze 12 proc. Reszta w Polsce to konserwa

Ze świata mody. Proces obrastania uwłosieniem twarzowym u posła Kierwy-Kierwińskiego wyraźnie postępuje. Niedługo przechrzcimy go na Rumcajsa-Kierwińskińskiego. Jednocześnie w nieco innym stylu obrasta Borysław Budka, który preferuje uwłosienie krótsze, w klimatach meksykańskich desperado pozbawionych dostępu do wody i brzytwy. Borysław Desperado-Budka. Brzmi nie najgorzej. Na pewno lepiej od eMeMemsa.

Z kazamatów reżimu. CBA, którego ustawowym obowiązkiem jest sprawdzenie oświadczeń majątkowych, odkryło, że pewien senator słusznie minionego reżimu ma więcej pieniędzy, niż mógł zarobić. Oj tam, oj tam. Radziecka nauka znała nie takie przypadki. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 8d31aeab18

Dlaczego Morawiecki

Piotr Gociek

Jarosław Kaczyński nigdy nie bał się rozwiązań niekonwencjonalnych. Prezes Prawa i Sprawiedliwości właśnie zdecydował się na najbardziej ryzykowne posunięcie w całej karierze

Ze wszystkich rozpatrywanych wariantów rekonstrukcji rządu ten wydawał się najmniej prawdopodobny. Jednak czy jest tak niekorzystny i niepotrzebny, jak uważają krytycy pomysłu „Morawiecki na premiera”?

Kwestia fundamentalna – skąd wymiana szefa rządu i mocne przetasowania wśród ministrów akurat teraz? W połowie kadencji, która z punktu widzenia obozu Zjednoczonej Prawicy była jednak pełna sukcesów? Wystarczy wśród nich wymienić dobrą sytuację budżetu, wzrost gospodarczy, spełnioną sporą część obietnic z kampanii wyborczej (powrót do poprzedniego wieku emerytalnego, program „500+”, likwidacja gimnazjów), uszczelnianie poboru podatków (zwłaszcza walka z karuzelami VAT). Nawet spory o reformę sądownictwa nie były w stanie zepsuć pozytywnego obrazu.

eprasa.pl 8d31aeab18

Tuż przed zmianą premiera obóz rządzący obronił Beatę Szydło przed wotum nieufności opozycji

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Po prezydenckich wetach sondaże wcale nie poszybowały w dół, a jesienią PiS zaczął cieszyć się rekordowymi wynikami (nawet do 47 proc.), w październiku zaś CBOS opublikowało wynik badania, z którego wynikało, że Beata Szydło od chwili powołania na stanowisko premiera cieszy się największym poparciem Polaków.

PRZYSPIESZENIE

Poważna dyskusja o wymianie premiera w tym akurat momencie oznaczała nie tylko spełnienie zapowiedzi Jarosława Kaczyńskiego z początku kadencji o tym, że potrzebny jest regularny przegląd pracy resortów i nikt nie może czuć się przyspawany do stołka. Był to także przełom w dziejach gabinetów III RP – po raz pierwszy o tak dużej zmianie była mowa nie w chwili, kiedy sytuacja rządu się pogarsza, a roszady personalne mają charakter ratunkowy.

Do tej zmiany dochodzi bowiem w okresie koniunktury (politycznej i gospodarczej). Zgodnie ze znaną z biznesu zasadą, że czas na głębokie zmiany jest nie wtedy, gdy wszystko się wali (zwykle takie rozpaczliwe posunięcia bywały surowo oceniane przez wyborców – vide ostatnie lata rządów SLD oraz rządów PO), ale wtedy, gdy stać nas na uprzedzenie kryzysu i odpowiednie przygotowanie się na jego nadejście. Proszę przypomnieć sobie enigmatyczne słowa prezesa PiS o nowych wyzwaniach, nowej sytuacji, o trudnych czasach, które nadchodzą.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? – wypadałoby zapytać. I co może z tym mieć wspólnego Mateusz Morawiecki? Skąd nadchodzą czarne chmury?

Przypomnijmy plan PiS na lata 2017–2019. Do połowy roku 2017 miały być uchwalone wszystkie ustawy zmieniające sądownictwo, jesienią dekoncentracja mediów i nowa ordynacja wyborcza. A potem już tylko konsumowanie sukcesów, przygotowywanie się do wyborów – najpierw samorządowych w roku 2018, potem parlamentarnych w roku 2019. I szykowanie pomysłów oraz ustaw, z którymi na sztandarach będzie się prowadzić bój o drugą kadencję rządów Zjednoczonej Prawicy.

Prezydenckie weto skomplikowało te zamiary, ale przyspieszenie polityczne pokazuje, że plan prawie uda się przeprowadzić – no, może bez nowych przepisów o dekoncentracji mediów. Wcześniej odrzucono także pomysł likwidacji NFZ, deklarując, że to zadanie na drugą kadencję.

Jednocześnie sam Kaczyński kilkakrotnie publicznie dawał wyraz swojemu niezadowoleniu z tego, że dobra zmiana nie postępuje tak szybko, jak powinna. Tymczasem z wnętrza rządu płynęły sygnały, które najlepiej ujął w jednym z wywiadów wicepremier Jarosław Gowin – że potrzebne jest „udrożnienie procesów decyzyjnych”. Zmiana wisiała zatem w powietrzu. I to wcale nie od października, kiedy media ogarnęła już wręcz orgia spekulacji „rekonstrukcyjnych”. Przypomnę, że do sporej rekonstrukcji (wymiana czterech–pięciu ministrów) miało dojść już na pierwszą rocznicę rządu Szydło. W ostatniej chwili Jarosław Kaczyński zmienił decyzję, uważając tak dużą wymianę za zbyt ryzykowną w tamtym momencie.

EUROPEJSKIE STARCIE?

Co oznacza postawienie na Mateusza Morawieckiego? Przede wszystkim to, że Warszawa ma lub może mieć w najbliższym czasie większe kłopoty z Brukselą, niż dotąd oficjalnie przyznawano. Rząd z premierem Morawieckim, wzmocniony (być może) Krzysztofem Szczerskim, bez Jana Szyszki kłócącego się o Puszczę Białowieską, bez Witolda Waszczykowskiego – to ekipa, która na międzynarodowych salonach poruszałaby się zręczniej i być może byłaby w stanie ugrać więcej. Być może o taką „trudną sytuację” chodziło Kaczyńskiemu, być może to właśnie jest „the bigger picture”, szersza perspektywa. Nie będziemy tego wiedzieć dopóty, dopóki nie poznamy nowego ministra spraw zagranicznych.

Warto zauważyć, że Mateusz Morawiecki nie jest jedynie specjalistą rządu PiS od gospodarki – kto uważnie obserwuje jego wystąpienia, ten wie, że jego konserwatyzm, religijność i patriotyzm udawane nie są, a tym, którzy próbują przyprawiać Polakom gębę „faszystów”, „antysemitów” i „wrogów demokracji oraz Europy”, potrafiłby odciąć się więcej niż pięknie. Niezależnie od tego, czy byliby to lewicowi dogmatycy z Komisji Europejskiej, czy dziennikarze „New York Timesa”.

Da się więc decyzję o postawieniu na Morawieckiego obronić, patrząc na wyzwania w relacjach międzynarodowych. W polskiej polityce wewnętrznej awans Morawieckiego na premiera to więcej znaków zapytania, niż się wydaje. Nie tylko z powodu niezadowolenia PiS-owskiego aparatu partyjnego patrzącego na byłego prezesa banku BZ WBK mocno podejrzliwie. Skąd bowiem pewność, że ci w rządzie, którzy ignorowali polecenia Beaty Szydło, będą nagle pilnie słuchali Mateusza Morawieckiego? Przecież argument: „To tylko tymczasowy zastępca Kaczyńskiego w fotelu premiera” nie zniknie. Jak miałyby wyglądać relacje Morawiecki – Macierewicz czy Morawiecki – Ziobro? Szczególnie że w tym drugim przypadku trzeba brać też pod uwagę dotychczasową ostrą rywalizację między tymi konkurencyjnymi ośrodkami o wpływy w spółkach Skarbu Państwa. Czy to znaczy, że Macierewicza i Ziobry w rządzie zabraknie? Czy Morawiecki dostał od prezesa wolną rękę, czy rekonstrukcji musi dokonać jedynie w ramach wąskiego korytarza nakreślonego przez Jarosława Kaczyńskiego i komitet polityczny PiS?

Kolejne niesłychanie ważne pytanie: Skoro Morawiecki premierem, to kto wicepremierem od gospodarki, realizującym plan odpowiedzialnego rozwoju, kto ministrem finansów? Przecież szef rządu odpowiada bowiem

eprasa.pl 8d31aeab18

jeszcze za mnóstwo innych spraw, trudno wyobrazić sobie, żeby kierował jednocześnie jeszcze kilkoma resortami (a przecież mówiło się o powierzeniu mu jeszcze pieczy nad infrastrukturą).

Idźmy dalej: Czy taka nominacja to nie jest jednocześnie gwarancja nieustannej jatki medialnej w radykalnych propisowskich mediach? Tam przecież konstrukcja „Morawiecki premier” może jednocześnie oznaczać rozkwit narracji: zabójca „naszej premier kochanej”, kumpel złego prezydenta „Dudaczewskiego”, bankster i kosmopolita itd.

Spiskowe teorie żyją zresztą nie tylko we wspomnianych ośrodkach medialnych, na offie mówią o nich także wpływowe postacie z Nowogrodzkiej, szczególnie „stara gwardia”. Że powstał triumwirat Morawiecki-Gowin-Duda, w którego działaniach małym Mefistofelesem jest Adam Bielan. Że prezes może i ma plan, ale nie wiadomo jaki. Tyle tylko że kiedy prezydent Duda wetował ustawy o KRS i SN, Gowin, owszem, był zadowolony, tymczasem Mateusz Morawiecki nie krył przed współpracownikami rozczarowania.

RYZYKOWNY GAMBIT

Wysunięcie kandydatury Morawieckiego na premiera to dopiero początek, dużo więcej wyjaśni się, kiedy poznamy skład jego rządu. Moim zdaniem to jednak i tak za mało – sprawa nie zostanie objaśniona zarówno partii, jak i elektoratowi Zjednoczonej Prawicy dopóty, dopóki Jarosław Kaczyński nie wyjaśni jasno, jaki jest cel tego nowego politycznego rozdania i jak dokładnie chciałby ten plan realizować. Ogólne stwierdzenia typu „czas skupić się na gospodarce” to za mało. Stąd głęboka konfuzja zarówno członków PiS (nawet tych znajdujących się bliżej ucha prezesa), jak i dziennikarzy czy komentatorów. Opozycja tymczasem próbuje narzucić narrację: „Kaczyński traci kontrolę nad rządem i nad partią” oraz powtarza wcześniejsze głupotki: „Boi się sam stanąć na czele rządu, bo chce uniknąć Trybunału Stanu”.

Co ciekawe, teza o utracie kontroli, wysuwana przez opozycję, pokrywa się z niektórymi opiniami po stronie obozu PiS. Obszernie prezentował to ostatnio na łamach „Do Rzeczy” Józef Orzeł, wedle którego: „Czas sterowania z tylnego fotela, z biura na Nowogrodzkiej, już się skończył, wyczerpała się skuteczność takiego sposobu rządzenia” i którego martwiło to, że Nowogrodzka ma już tylko „pośredni wpływ polityczny” na działania rządu. „To przestaje działać!” – alarmował prezes Klubu Ronina na naszych łamach. I pytał, czy receptą nie powinno być „przesunięcie się prezesa partii na miejsce kierowcy”.

No tak, ale Morawiecki to nie Kaczyński, nawet jeśli zdaniem niektórych prezes PiS to w nim widziałby swego następcę. Czy Morawiecki premier gwarantuje „udrożnienie procesów decyzyjnych” w rządzie? Czy gwarantuje utrzymanie sympatii do rządu PiS i obozu Zjednoczonej Prawicy na dotychczasowym poziomie? Czy będą się z nim liczyć i zgodnie współpracować przywódcy „stronnictw sojuszniczych” zasiadający w rządzie, czyli Gowin (Porozumienie) i Ziobro (Solidarna Polska)?

W odróżnieniu od Tuska, który od czasów katastrofy KLD w 1993 r. (samodzielny start liberałów wyrzucił ich z parlamentu) obsesyjnie bał się ryzyka, Jarosław Kaczyński wielokrotnie pokazywał, że nie obawia się rozwiązań niekonwencjonalnych i ryzykownych. Jego najnowszy gambit (wszak poświęcił ważną figurę, czyli lubianą przez wyborców PiS premier) może być ze wszystkich tych działań posunięciem najbardziej ryzykownym.

Hasło „teraz gospodarka” dobrze rezonuje w elektoracie Prawa i Sprawiedliwości oraz jego sojuszników

Takie ryzyko nie zawsze popłaca. Kiedyś Kaczyński postawił wszystko na Lecha Wałęsę. Ten nie spełnił pokładanych w nim nadziei, a porzucony przez współtwórców swej prezydentury zamienił się szybko w śmiertelnego wroga Lecha i Jarosława Kaczyńskich. Wymiana popularnego premiera Kazimierza Marcinkiewicza (zastąpił go sam prezes PiS) miała być swego czasu okazją do rządowego przyspieszenia – skończyło się na tym, że koalicja PiS-Samoobrona-LPR wpadła w korkociąg i straciła władzę. Oczywiście była to koalicja dużo pośledniejszej jakości od konstrukcji PiS-Solidarna Polska-Porozumienie Gowina.

Dzisiaj Kaczyński stawia na Morawieckiego, uzależniając w dużym stopniu od efektów jego działań to, czy Zjednoczonej Prawicy uda się wygrać kolejne wybory parlamentarne. Ryzyko jest podwójne, bo oprócz napięć wewnątrz obozu rządowego są zagrożenia zewnętrzne. Polska gospodarka korzysta teraz w dużym stopniu z koniunktury międzynarodowej. Jeśli jakiś impuls spoza naszych granic (a na taki Morawiecki wpływu miał nie będzie) osłabi jej rozwój, to ławo będzie opozycji przedstawić nowego premiera jako psuja i nieudacznika – nawet gdyby w polityce wewnętrznej odnosił sukcesy. Nie mam także złudzeń: nie wszyscy w obozie Zjednoczonej Prawicy będą kibicowali Morawieckiemu.

PIS-OWSKI LUD ZROZUMIE

Wbrew obiegowej opinii nie martwię się natomiast o gniew „ludu PiS-owskiego”, który miałby nagle odwrócić się od partii z powodu decyzji o wymianie premier. Po pierwsze, „lud PiS-owski” wie, kto jest prawdziwym hegemonem na prawicy (Jarosław Kaczyński), i świadomie składa w jego ręce obowiązek decydowania, kto jest kim w obozie dobrej zmiany.

Po drugie, Morawiecki jest moim zdaniem dużo lepiej przyjmowany przez szeregowych działaczy i zwykłych wyborców PiS niż przez część partyjnej elity i część prawicowych komentatorów kibicujących konkurencyjnym ośrodkom decyzyjnym w Zjednoczonej Prawicy. Sądzę, że ci ostatni mocno go nie doceniają.

Po trzecie, hasło „teraz gospodarka” dobrze rezonuje w elektoracie PiS i jego sojuszników. Oczywiście wyczekiwane są i inne zmiany, lista narzekań jest długa, ale w sferze socjalnej oraz symbolicznej rząd Zjednoczonej Prawicy zrobił w ciągu ostatnich dwóch lat wiele. Wyborcy to czują i rozumieją. Jeśli nową falę entuzjazmu, nową mobilizację ma dać nadzieja na przełom, to teraz, po obniżeniu wieku emerytalnego, wprowadzeniu programów z serii „plus” oraz zmianach w sądownictwie, ta nadzieja musi wiązać się z gospodarką. Bo z czym innym? Wstawanie z kolan – trzymając się terminologii polityków PiS – już było. Czas zdecydować, w którą stronę pójdziemy.

Teraz to na Morawieckiego scedował Jarosław Kaczyński wykonanie zadania, którego nie udało się spełnić (choć obiecywał) Donaldowi Tuskowi: uwolnić energię Polaków. Prezes PiS uwiedziony został, zdaniem niektórych współpracowników, wizjami roztaczanymi przez wrocławskiego bankiera. Opowieściami o tym, jak szybko i jak bardzo może być dobrze. To w końcu z ust Morawieckiego wiosną roku 2017 padło słynne stwierdzenie: „Będziemy rządzili do 2031 r. W najgorszym razie do 2027”. Jarosław Kaczyński cierpliwie słuchał, a teraz powiedział: „Sprawdzam”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

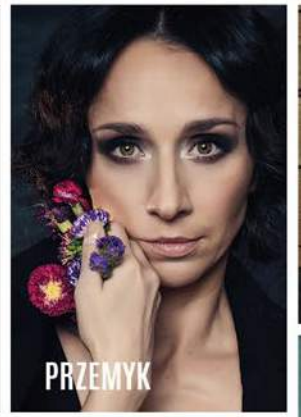

ORAZ ORKIESTRA
SINFONIA VIVA
POD BATUTĄ
JANKA STOKŁOSY

WYJĄTKOWY KONCERT
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

RETRANSMISJA KONCERTU
NA ANTENIE TVP1, 17 GRUDNIA, GODZ. 17.30.

WSPÓŁORGANIZATOR

FINA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

MECENAT KONCERTU

PGNiG

LOTOS

Enea

PARTNERZY WYDARZENIA

Lotto

KGHM

centrum historii zajezdnia

Ośrodek Pamięć i Przyszłość

PARTNERZY WYDARZENIA

Poczta Polska

pwc

Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI

wprost

Do Rzeczy

TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA

Radio Classic

eprasa.pl 8d31aca918

KULISY ZMIANY
PREMIERA

Maciej Pieczyński

Jako człowiek związany z bankami początkowo nie cieszył się zaufaniem dobrej zmiany. Pokazał jednak, że potrafi odnosić sukcesy gospodarcze, i udowodnił lojalność wobec PiS. Czy to wystarczy, by odniósł sukces jako szef rządu?

Od bankiera do premiera

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Jako ułożony, spokojny człowiek sukcesu biznesowego był w pewnym sensie przeciwieństwem zbuntowanego ojca – legendarnego przywódcy Solidarności Walczącej. W pełni jednak podziela jego patriotyczne ideały. I zdążył jeszcze pójść w antykomunistyczne ślady ojca. Od 1986 r., a więc jeszcze jako osiemnastolatek, pisał artykuły do podziemnego „Biuletynu Dolnośląskiego", wcześniej pomagał też przy technicznym przygotowaniu gazety. O swoich doświadczeniach z tamtych czasów opowiedział w książce Igora Jankego „Twierdza. Solidarność Walcząca – podziemna armia". Wspominał, że zszywał, sklejał i układał w sterty wydrukowane gazety. A potem kolportował bibułę. Gdy miał 13 lat, wraz z kolegami ściągał czerwone flagi z domów, wieszane z okazji pierwszomajowego święta. Był zatrzymywany, przesłuchiwany, bity przez esbeków. Grozili mu, że mogą zabić, straszyli, że jego młodszą siostrę mogą zgwałcić „nieznani sprawcy". Jak opisywał Marcin Kołodziejczyk w sylwetkowym artykule na łamach „Polityki", młody Mateusz Morawiecki protestował też, gdy aresztowano jego ojca, przez wiele lat skutecznie unikającego zatrzymania. Gdy wraz z kolegą syn legendy SW zawiesił na jednym z wrocławskich budynków transparent o treści „Uwolnić Kornela", musieli uciekać przed esbekami po rusztowaniach wokół budynku. Nie udało się. Esbecy dopadli Mateusza i bili go przez pół godziny.

SYN LEGENDY

W III RP syn opozycyjnej legendy poszedł własną, biznesową drogą. Ukończył studia historyczne, kształcił się potem na Politechnice Wrocławskiej i w Central Connecticut State University, a w 1995 r. uzyskał dyplom Master of Business Administration na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Skończył też studia podyplomowe z prawa europejskiego i ekonomiki integracji gospodarczej w Hamburgu. Studiował również na Uniwersytecie Bazylejskim i w Kellogg School of Management – jednej z ważniejszych amerykańskich szkół biznesu.

Pod koniec lat 90. został doradcą prezesa zarządu BZ WBK. Od 2007 r. był prezesem tego banku. Pod jego rządami BZ WBK wykazał się jako mecenas kultury patriotycznej, finansując m.in. serial historyczny „Czas honoru". Był też konsulem honorowym Irlandii w Polsce.

Nieufność twardego elektoratu PiS może budzić fakt, że Morawiecki w 2010 r. wszedł w skład Rady Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku. Część komentatorów określa go zresztą mianem „prawicowego Tuska", czyli „fajnopolaka" – człowieka wpisującego się w stereotyp nowoczesnego Europejczyka, który może zjednywać sobie także tę część społeczeństwa, która chce się wyzbyć prowincjonalnych kompleksów i znaleźć się w światowym „głównym nurcie".

Nic dziwnego, że początkowo Morawiecki nie cieszył się wielkim zaufaniem szeroko rozumianego obozu „dobrej zmiany". Najbardziej sprzyjający PiS prawicowi publicyści oraz spora część polityków tej partii miała wątpliwości, czy „bankster", a do tego człowiek z zewnątrz, powinien stać się tak ważną politycznie postacią Zjednoczonej Prawicy. „Zamienił stryjek siekierkę na kijek? Czy bankowca holenderskiego ma w rządzie zastąpić bankowiec hiszpański? [WBK należy do hiszpańskiej grupy Santander – przyp. red.]" – pytał retorycznie na łamach portalu wPolityce Janusz Szewczak. „Warto wiedzieć, czy przedstawiciel lobby bankowego i to z zagranicznego banku […] jest zwolennikiem podatku od banków i to w jakiej formie, podatku od transakcji finansowych, super- i hipermarketów […]. Ciekawe też, czy […] jest za wprowadzeniem kwoty wolnej od podatku, za obniżeniem wieku emerytalnego, czy wreszcie wypłatą 500 zł na dziecko biednej rodzinie" – zastanawiał się poseł PiS. Dzisiaj wiemy, że jeśli jakieś „solidarnościowe", żeby nie napisać wprost – „socjalne", plany Zjednoczonej Prawicy nie są realizowane, to odpowiedzialny za to nie jest Mateusz Morawiecki. Natomiast sztandarowy program „500+" okazał się wielkim sukcesem, którego „przedstawiciel lobby bankowego" (Morawiecki wciąż ma udziały w BZ WBK) w żaden sposób nie próbował torpedować.

ZASKOCZENIE

Jego być może największym, a na pewno najbardziej namacalnym, sukcesem była poprawa ściągalności VAT, której krytyka niechętnie przechodzi przez usta nawet bojownikom totalnej opozycji. I właśnie to osiągnięcie Morawieckiego pozwoliło ukuć nośny – także dla żelaznego elektoratu PiS, który mógł być tak nieufny wobec „bankstera" – bon mot: „wystarczy nie kraść". Janusz Szewczak też już dziś inaczej ocenia wicepremiera i ministra rozwoju: – Na temat bankierów czy banksterów miałem i mam sceptyczne zdanie, natomiast oczywiście bezdyskusyjne są sukcesy gospodarcze ostatnich dwóch lat. Wyniki są sensacyjnie pozytywne – przyznaje Janusz Szewczak w rozmowie z „Do Rzeczy". – Morawiecki pozytywnie mnie zaskoczył. I to nie tylko dobrymi wskaźnikami gospodarczymi, lecz także tym, że pomimo swojej przeszłości w sektorze bankowym, postawił jednak na solidaryzm społeczny. Udowodnił swoją wrażliwość na słabszych. To jest tak oczywiste, że trudno mu dziś tę przeszłość wypominać.

Na temat ewentualnego przywództwa politycznego Morawieckiego Szewczak wypowiada się niechętnie. – Na razie jest skuteczny na polu gospodarczym. Oczywiście, swoje sukcesy osiągnął, kierując pewną grupą współpracowników, ale czy tak samo poradziłby sobie z ministrami jako szef rządu, to już inna kwestia. Czym innym charakteryzuje się polityka wicepremiera odpowiedzialnego za gospodarkę, czym innym zaś polityka premiera – mówi Szewczak.

– Mateusz Morawiecki z pewnością jest jednym z najważniejszych polityków obozu Zjednoczonej Prawicy – mówi poseł PiS Janusz Śniadek. – Polityka gospodarcza, którą prowadzi, jest całkowitym zaprzeczeniem tego, co robił Balcerowicz. Tym samym przywraca Polakom wiarę w to, że można budować inną Polskę, Polskę sprawiedliwie dzielącą dochód narodowy. Jako wieloletni szef Solidarności oceniam działania wicepremiera Morawieckiego jako realizację ideałów Sierpnia '80. Okazał się dla naszego obozu w pewnym sensie mężem opatrznościowym, ponieważ realizuje politykę społeczno-gospodarczą zgodną z obietnicami z kampanii wyborczej. Opozycja twierdziła, że na realizację naszych pomysłów Polski nie stać, że zrujnuje to finanse publiczne. Tymczasem Morawiecki udowodnił, że można zdobyć środki na te ambitne plany, jednocześnie zwalczając patologie, takie jak wyłudzenia VAT.

Śniadek zauważa, że niektórzy politycy PiS sceptycznie odnosili się do Mateusza Morawieckiego. Uważali, że jako „bankster" nie będzie prowadził solidarnościowej polityki. – Ja natomiast od początku w niego wierzyłem – podkreśla Śniadek. – Poznałem go w czasie, gdy byłem przewodniczącym Solidarności. Przedstawił nas sobie jego ojciec, Kornel, z którym znałem się wcześniej. Rozmawialiśmy kilkakrotnie. Byłem ciekaw, jakie on, ze swoim biznesowym doświadczeniem, ma podejście do gospodarki i działalności związkowej. Zafascynował mnie swoim spojrzeniem

eprasa.pl 8d31aeab18

na postulaty Solidarności, był otwarty na nasze argumenty. A to były początki rządów Platformy, a więc okres, w którym Solidarność raczej nie cieszyła się wielką popularnością w kręgach biznesu i władzy.

Janusz Śniadek, podobnie jak Morawiecki, do PiS przyszedł z zewnątrz. – Zawsze na początku jest nieufność wobec nowego kolegi partyjnego. Też dawano mi to odczuć – przyznaje. – Chwilę to trwało, zanim zapuściłem korzenie w PiS. Pamiętajmy też, że wewnątrz każdej partii jest twarda rywalizacja choćby o miejsca na listach. Nie jest łatwo budować pozycję od zera. Ja, gdyby nie przeszłość w Solidarności, na pewno nie znalazłbym miejsca w polityce. A przecież wyborcy PiS trudniej zaakceptować dyrektora banku niż związkowca. Życie udowadnia, że Mateusz radzi sobie znakomicie. Pomoże mu jego wysoka kultura osobista i takt – dodaje Janusz Śniadek. Nie chce jednoznacznie stwierdzić, że Morawiecki jest bezkonfliktowy, bo w polityce takie określenie jest zazwyczaj synonimem słabości, braku stanowczości. A z przypisywaniem takich cech Morawieckiemu Śniadek się nie zgadza.

ROMANTYK I POZYTYWISTA

Nie trzeba nikogo przekonywać, że doświadczenie w zarządzaniu Morawiecki posiada. A jak zarządza swoim superresortem? – Jest bardzo wymagający wobec podwładnych, ale jest też typem szefa, który po uzgodnieniu generalnego kierunku daje dużą samodzielność, licząc jednak, że pozwoli ona osiągnąć konkretne efekty – opowiada Jadwiga Emilewicz, wiceminister rozwoju. – Sam jest tytanem pracy. Wiele razy powtarzałam, że jest jak cyborg. Trudno zgadnąć, kiedy znajduje czas na spanie czy jedzenie. Ostatnie służbowe e-maile wysyła po północy, a na informację zwrotną odpowiada już o świcie. Nie znosi, kiedy nie dostaje szybko odpowiedzi, ściga za to swoich pracowników. Lubi komunikację bezpośrednią. W gronie współpracowników śmiejemy się czasem, że szef zapewne zna już większość pracowników z obu gmachów: przy Świętokrzyskiej (Ministerstwo Finansów) i placu Trzech Krzyży (Ministerstwo Rozwoju).

Wiceminister Emilewicz chwali też Morawieckiego za doskonałą pamięć. – Pamięta, ile jest firm meblarskich w Polsce czy ilu jest tapicerów na Kaszubach – zdradza i dodaje, że ta fotograficzna pamięć przydaje się czasem także w kurtuazyjnych kontaktach. – Zapamiętał, że jeden z największych producentów mebli w Polsce stracił w pracy palec u prawej ręki. Wykorzystał tę informację jako anegdotę. Na jednym ze spotkań stwierdził, że meblarze to ludzie tak oddani swojej pracy, że gotowi są poświęcić palec – opowiada.

Gdy Mateusz Morawiecki stwierdził publicznie, że chętnie wysadziłby Pałac Kultury i Nauki, komentowano, że ten raczej spokojny polityk nie wygląda na kogoś, kto chciałby cokolwiek wysadzać. Jadwiga Emilewicz twierdzi jednak, że to właśnie jest cały Mateusz: – Jest typowo polskim połączeniem romantyka i pozytywisty. Jako pozytywista potrafi ciężko i efektywnie pracować. A jako romantyk, jako polski patriota naprawdę żywi szczerze antykomunistyczne emocje. Podobnie sprawą oczywistą było dla niego wykupienie kolekcji Czartoryskich. Jest czuły na sprawy symboliczne – zapewnia wiceminister rozwoju. – Poza tym jako syn fizyka i historyk z wykształcenia jest połączeniem umysłu ścisłego i humanisty. Pamiętam, jak podczas jednej z podróży służbowych całą drogę dyskutowaliśmy o tym, kto był lepszym władcą: Kazimierz Wielki czy Jadwiga Andegaweńska, w kontekście tego, co zrobili dla krakowskiej akademii. Mateusz obstawiał Kazimierza Wielkiego, argumentując, że król ten sprowadził do Polski wybitnych uczonych z zagranicy – opowiada.

Czy te wszystkie przymioty Morawieckiego wystarczą, by stał się szefem rządu „dobrej zmiany"? – Morawiecki tak naprawdę staje się politykiem. Mamy za mało danych, by pokusić się o złożoną ocenę, choćby dlatego, że nie ma on za sobą żadnej kampanii wyborczej – mówi „Do Rzeczy" politolog prof. Rafał Chwedoruk. – Z pewnością dostanie duży kredyt zaufania ze strony wyborców PiS. Będzie musiał jednak zdać test na lojalność, która jest najważniejszą dla tego elektoratu wartością w ocenie konkretnego polityka. Poza tym wyborcy PiS cenią polityków skromnych, taki właśnie wizerunek ma Jarosław Kaczyński, taki wizerunek miał śp. Lech Kaczyński, wreszcie w ten obraz wpisuje się Beata Szydło. Morawiecki do tego obrazu nie pasuje.

Politolog zwraca też uwagę, że odwołanie premier Szydło i powierzenie tej funkcji Morawieckiemu uszczupliłoby obozowi władzy przyszłe manewry. – Bo kto po nich? Już tylko Jarosław Kaczyński – mówi Chwedoruk.

– Przedstawiciele sektora bankowego raczej nie osiągają w Polsce spektakularnych sukcesów politycznych – zauważa z kolei prof. Jarosław Flis. – Najprawdopodobniej taktyka „dziel i rządź", dezawuowanie premier Szydło czy prezydenta Dudy – to wszystko wymknęło się spod kontroli. Prezes do błędu się nie przyzna, więc ktoś musi za to odpowiedzieć. To jednak nie zmienia faktu, że Morawiecki, jako człowiek z zewnątrz, będzie jeszcze bardziej niesamodzielny niż Szydło.

– Jakiś czas temu opozycja kpiła z tego, że Morawiecki, jako „Mistrz PowerPointa", jest jedynie skutecznym PR-owcem, który potrafi ładnie opowiadać niezwiązane z rzeczywistością bajki o gospodarce – mówi Janusz Śniadek. – Tymczasem dziś bezradność takich ludzi jak Petru czy „eksperci Platformy" pokazuje, że to oni bajdurzyli, podczas gdy Morawiecki z żelazną konsekwencją wprowadza w życie swój plan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Morawiecki o polityce i rządzie

Przesiadając się z fotela prezesa BZ WBK na fotel wicepremiera, zrezygnował pan z wysokiego wynagrodzenia. Co pana ostatecznie przekonało, by przyjąć nową funkcję?

Moim zdaniem polityka, wbrew potocznym opiniom, to piękny zawód i powołanie. To również możliwość wpływania na gospodarkę polską w szerszym zakresie – zgodnie z linią programową, która mi również bardzo odpowiada. Z jednej strony utrzymuje się ona w ramach dobrze pojętej gospodarki wolnorynkowej, a z drugiej kładzie nacisk na to, żeby państwo było uczciwe i żeby promowało sprawiedliwość społeczną. W duchu gospodarek zachodnioeuropejskich z ich najlepszego okresu, czyli sprzed 30–40 lat, jeszcze zanim rozpoczęło się szaleństwo kredytowe. Takie zasady są najlepszym punktem wyjścia dla polityki rozwojowej, której Polska potrzebuje.

Pozostali ministrowie zajmujący się polityką gospodarczą są z PiS związani od wielu lat. Pan wszedł do rządu prosto z rynku. Będzie pan miał swobodę działania w tym środowisku?

W rządzie ważniejsza od swobody jest współpraca. Nie mam wątpliwości, że wszystko zależy od tego, jak dobrze będzie mi się współpracowało z koleżankami i kolegami w rządzie w obszarze polityki gospodarczej. To jest praca zespołowa. Moje działania w dużej mierze będą się opierały na zgodności działań i wspólnym trzymaniu się programu. Na pracy razem, ramię w ramię z innymi ministrami.

Z wywiadu dla „Do Rzeczy" w listopadzie 2015 r.

eprasa.pl 8d31aeab18

SUPER HISTORIA.pl

DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

12 GRUDNIA

CZĘŚĆ IV Z CYKLU „CICHOCIEMNI I WYWIAD”

„BANDITENSTAD”

1 WRZEŚNIA 1943 R. ODDZIAŁ „PONUREGO”, ZAJMUJE NA KILKA GODZIN MIASTO KOŃSKIE, BRONIONE PRZEZ 26-KROTNIE LICZNIEJSZE SIŁY NIEMIECKIE. PO TYM ATAKU NIEMCY NADALI MIEJSCOWOŚCI MIANO „BANDITENSTADT”.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 8d31aeab18

Piotr Semka

Za sprawą dyrektora Radia Maryja lewica w Polsce traci monopol na budowanie relacji polsko-żydowskich

Łamanie lodów, czyli gambit o. Rydzyka

Szokujące. Niesmaczne. Perfidne. Salon liberalno-lewicowy szuka słów, aby nazwać kolejny niepokojący go zwrot w polityce o. Tadeusza Rydzyka. Zadanie jest jednak tym razem trudniejsze niż wcześniej. Człowiek ogłoszony czołowym polskim antysemitą zorganizował w Toruniu konferencję o Polakach ratujących Żydów. W wydarzeniu wzięła udział czołówka PiS i delegacja polityków i duchownych z Izraela, m.in. minister ds. komunikacji Ayoob Kara, wiceprzewodniczący Knesetu Hilik Bar i rabin Rafi Ostroff. Przełomowe, wydawałoby się, spotkanie nie spotkało się z pochwałami lewicy. Skomentowano je jako sztuczkę PR-owską Jonny'ego Danielsa, lobbysty z Izraela.

„Rydzyk, ty Żydzie! Jak Radio Maryja ociepla stosunki z Tel Awiwem" – pisała „Gazeta Wyborcza". „Proizraelskie sympatie Tadeusza Rydzyka. Antyislamskość zastąpiła antysemityzm" – można było usłyszeć w Radiu TOK FM. O samym Danielsie „Wyborcza" pisze kpiąco jako o „człowieku, który ubrał w kipy połowę rządu". Jeszcze ostrzej wypowiadali się komentatorzy z lewej strony Internetu. „Rydzyk przemalowuje się na filosemitę. Żydom w to graj", „Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze". Ciekawe było, jak tropiciele antysemityzmu sami odkurzyli antysemickie klisze.

Wciąż dominuje jednak zaskoczenie i brak jasnej linii reagowania. Tuż przed 26. rocznicą powstania Radia Maryja o. Tadeusz Rydzyk znów pokazał, że potrafi zaskoczyć.

DO TANGA TRZEBA DWOJGA

Przez ostatnie ćwierć wieku przeciwnicy o. Tadeusza Rydzyka mozolnie budowali jego wizerunek jako obsesyjnego wroga Żydów. Choć nawet jego najdokładniejsi biografowie z toruńskiego oddziału „Gazety Wyborczej" nie byli w stanie znaleźć żadnego cytatu wprost odnoszącego się do Żydów. Jednak emocji antysemickich doszukiwano się w takich wypowiedziach zakonnika, jak: „Nie biorę »Gazety Wyborczej« do ręki, jestem Polakiem" czy w jego troskach o „polski charakter rządu". Najbardziej drażliwym cytatem z ojca Rydzyka były zarzuty wobec Lecha Kaczyńskiego o uleganie „żydowskiemu lobby" w sporze o ekshumacje w Jedwabnym, którą to wypowiedź próbowano w 2007 r. wykorzystać do odwołania zakonnika z funkcji szefa radia bezpośrednio przez Watykan. Na powstanie stereotypu radia z Torunia

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI/POLSKA PRESS

jako rozgłośni antysemickiej miała też wpływ swobodna formuła rozmów ze słuchaczami, która pozwalała na wypowiadanie antysemickich aluzji. Bardzo szybko jednak redemptoryści prowadzący audycje otrzymali nakaz ostrego reagowania na takie wybryki. Niezależnie od szybkich reakcji prowadzących takie incydenty dawały alibi przeciwnikom radia do tyrad, jak to z anteny Radia Maryja leje się antysemityzm.

Mimo to nawet sztandarowy krytyk o. Rydzyka, jego dawny współbrat Jerzy Galiński, niechętnie przyznawał: „Rydzyk nie jest aż tak napalony na Żydów". Jednak natychmiast dodawał: „Ale nienawiść do nich dobrze się sprzedaje, słuchacze chcą linczować Żydów". Czarnego wizerunku toruńskiej rozgłośni nie zmieniały nawet szczegółowe analizy treści. Tak było z badaniami socjologicznymi przeprowadzonymi w 2007 r. przez prof. Ireneusza Krzemińskiego, zadeklarowanego przeciwnika Radia Maryja. Analiza oparta o nasłuch radia wykazała, że zarzuty formułowane przeciw mediom o. Rydzyka, a dotyczące „mowy nienawiści" czy „antysemityzmu" nie znajdują potwierdzenia w faktach. Ojciec Zdzisław Klafka, prowincjał redemptorystów, w 2007 r. wskazywał: „Ojciec Tadeusz Rydzyk nie utożsamia się z przypisywanym mu antysemityzmem, i jako współbracia, którzy go znają, wiemy, że jest mu obca taka postawa".

Jednak na złe opinie o radiu wpływały ogólnikowe krytyki „Gazety Wyborczej", które potem powielały kręgi dyplomatyczne i media światowe. W lipcu 2007 r. ambasador Izraela w Warszawie, Dawid Peleg, wezwał Polskę i polski Kościół do potępienia wypowiedzi o. Tadeusza Rydzyka, które ocenił jako najbardziej antysemickie uwagi od 1968 r. Z kolei rabin Marvin Hier z Centrum im. Wiesenthala w Los Angeles nazwał o. Rydzyka „Goebbelsem w koloratce".

Nic dziwnego, że w tej sytuacji założyciel Radia Maryja od lat robił, co mógł, aby osłabić tak szkodzący my czarny PR.

– Drogi do dialogu ze społecznością żydowską o. Rydzyk szukał od dawna – mówi jeden z polityków PiS zbliżony do Radia. – Problem w tym, że niełatwo było znaleźć pośrednika. Jednak w końcu o. Rydzyk kontakt z ambasadą Izraela znalazł sam, jeszcze bez pomocy Jonny'ego Danielsa. Nie bez znaczenia było przybycie w 2014 r. nowej ambasador Izraela Anny Azari, która mniej niż poprzednicy ufała temu, co piszą media, a bardziej polegała na własnych analitykach. Nie zdziwiłbym się, gdyby jej podwładni zaczęli po prostu tego radia słuchać – dodaje.

Elementem, który dziś pomaga w dialogu, była determinacja toruńskiego redemptorysty, aby uczcić Polaków ratujących Żydów. Nie zawsze jednak tak było. Próby ich uczczenia, np. na pl. Grzybowskim w Warszawie, napotykały przeszkody. Wcześniej podnoszenie tego epizodu II wojny światowej bynajmniej nie pomagało w kontaktach. Tacy publicyści „Gazety Wyborczej" jak Joanna Tokarska-Bakir czy Adam Leszczyński stawiali tezę, że forsowanie pamięci o Polakach ratujących Żydów to próba zagłuszenia zbrodni w Jedwabnem. Dopiero dialog ojca Rydzyka z nową ambasador Izraela rozpoczęty wizytą w ambasadzie we wrześniu 2016 r. i aktywność Danielsa pokazały, że pamięć o „sprawiedliwych" to dobra droga do pojednania.

Podobne problemy z dialogiem ze środowiskami żydowskimi miał od wielu lat Jarosław Kaczyński. Chociaż tu pól do zadrażnień było – wydawałoby się – nieporównanie mniej. PiS, a wcześniej Porozumienie Centrum – poprzednia partia braci Kaczyńskich – nigdy nie otarły się nawet o najmniejszą demonstrację antysemityzmu. Postacią numer dwa w partii był przez wiele lat Ludwik Dorn – polityk o żydowskich korzeniach, podobnie jak związani z tą partią Józef Orzeł i Czesław Bielecki, kandydat z listy PiS na prezydenta Warszawy w 2010 r. Lech Kaczyński był znany ze swego filosemityzmu, a rząd PiS w latach 2005–2007 niezwykle mocno wspierał Izrael. Dla PiS niewiele jednak z tego wynikało. Diaspora światowa, szczególnie ta w USA, uznawała za swoich partnerów środowiska Unii Wolności i SLD. Aleksander Kwaśniewski uczynił z dobrych relacji z Żydami znak rozpoznawczy swojej prezydentury. Przykładowo szefem grupy Friends of Israel w Parlamencie Europejskim był najbliższy współpracownik Kwaśniewskiego – Marek Siwiec.

Dodatkowo o tym, kto jest antysemitą w oczach mediów na świecie, decydował jeszcze długo Adam Michnik.

Po wygranej PiS w listopadzie 2015 r. ataki na tę partię nie ustały. Wobec problemów z udowodnieniem, że sam Kaczyński jest antysemitą, wylansowano nową tezę – rządy PiS ośmielają brunatny margines.

Trzeba było gwałtownego wzrostu antysemityzmu w wykonaniu arabskich imigrantów w krajach Europy Zachodniej, by powoli zaczęto uznawać kraje środkowoeuropejskie za ważnych sojuszników. Adam Bielan z PiS wskazuje: „Po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej – Polska i Czechy stały się realnie najbardziej proizraelskimi krajami we wspólnocie europejskiej. Parlament Europejski jako ciało UE w największym stopniu uzależnione od wyborców od ponad dekady przyjmuje coraz bardziej wrogi ton wobec Izraela. We Francji czy Holandii kandydaci lewicy i centrum zaczynają liczyć się z głosami wyznawców islamu i sięgają po retorykę antyizraelską". W tej sytuacji Izrael, rządzony od 2009 r. przez Beniamina Netanjahu z prawicowego Likudu, podjął strategiczną decyzję o wzmocnieniu relacji z krajami wyszehradzkimi. Temu służył m.in. szczyt V4 z Netanjahu w Budapeszcie 19 lipca br.

Jednak ten zwrot w polityce Izraela zdaje się jawić jako zrozumienie, że nic nie da mówienie o sojuszu bez nadania mu realnej treści, szczególnie w wypadku prawicy rządzącej w Polsce i na Węgrzech. Eurodeputowany PiS opowiada, że jeden z polityków Likudu przyznał, że nawet w Tel Awiwie zauważono jałowość stawiania na środkowoeuropejskie partie lewicy i centrum. „Co z tego, że razem z lewicowcami z V4 ponarzekamy na przypadki antysemityzmu nad Wisłą, Dunajem czy Wełtawą, skoro potem ci sami europoprawni lewicowcy nie pisną słowem, gdy Izrael piętnowany jest w Strasburgu i Brukseli".

Pierwsze oznaki zmian zaczęły się ponad dwa lata temu. Akurat gdy w Polsce prezydenturę zdobył Andrzej Duda, a potem w wyborach parlamentarnych wygrał PiS.

CZARODZIEJ Z LONDYNU

I właśnie około 2014 r. przybył nad Wisłę Jonny Daniels, człowiek, wokół którego zaczęły się szybko rozkręcać relacje części elit Izraela z PiS i Radiem Maryją. Polskie dzienniki i tygodniki od paru tygodni prześcigają się w drukowaniu barwnych sylwetek Danielsa, nazywanego początkowo w Warszawie „Jonny Nowheres", czyli „Jonny Znikąd". Pełno w nich obrazowych anegdot, które sam zainteresowany sprawnie podsuwa opisującym go dziennikarzom.

Urodził się w 1986 r. w Londynie, jak opowiada, w rodzinie Żydów mających polskie korzenie. Mimo młodego wieku przybył do Polski jako człowiek z bogatą przeszłością.

W wieku 18 lat zgłosił się do Izraela w celu odbycia służby wojskowej w tamtejszej armii. Tacy ochotnicy z rodzin

eprasa.pl 8d31aeab18

żydowskich w Ameryce, Australii czy Europie nazywani są lonely soldiers i otoczeni są bardzo troskliwą opieką jako żywe wzorce żydowskiego patriotyzmu. Nie oznacza to jednak żadnej taryfy ulgowej. Muszą przejść bardzo wymagającą służbę w oddziałach szturmowych, ale jeśli się sprawdzą, po paru latach mają otwartą drogę do służb specjalnych, a stamtąd do zaplecza polityki i biznesu.

Daniels wybrał pracę PR-owca dla Netanjahu. Potem wyjechał do USA, gdzie pracował dla dwóch senatorów. W tym czasie zbliżył się do sztabu Trumpa, ma z nim bardzo dobre kontakty, które ponoć pomogły w zaproszeniu nowego prezydenta do Polski w lipcu 2017 r.

„Nikt panu nie powie tego pod nazwiskiem, ale powszechnie uważa się, że Daniels przyjechał tu z zadaniem od rządu Izraela. Jednak formalnie reprezentuje tylko siebie, więc nie działa jakby co na konto Tel Awiwu" – mówi osoba z warszawskiego kręgu biznesu i polityki. Sam zainteresowany pytany przez dziennikarzy o związki z Mossadem zamienia pytania w żart, co jest dla niego wygodne.

Jeśli przyjąć, że Daniels otrzymał za zadanie oswoić polską prawicę z Żydami, to dobrze pasuje do tego zadania. Europę opuścił w wieku 18 lat, więc nie nasiąknął jeszcze polityczną poprawnością typową dla lewicy. Dość zdroworozsądkowo uznał, że jeśli ma się odbyć pojednanie z PiS jako realną siłą polityczną, to trzeba zacząć od zbliżenia z o. Rydzykiem jako rządcą dusz po prawej stronie. O ile w Europie postać redemptorysty jako medialnego potentata wzbudza szok, o tyle w USA rzutcy teleewangeliści nie są niczym dziwnym i są zazwyczaj bardzo proizraelscy jak duża część amerykańskiej prawicy republikańskiej.

Można tylko zgadywać, że jako urodzony PR-owiec Daniels szybko musiał ocenić, że znalazł w redemptoryście bratnią duszę z podobnym rozmachem i genialnym zmysłem medialnym. A o. Rydzyk znalazł wreszcie kogoś, kto po stronie żydowskiej uznał go za partnera, a nie za śmiertelnego wroga.

Misja Danielsa ułatwiła ponadto sytuację Jarosława Kaczyńskiego. Po zdobyciu władzy PiS znalazł się pod zmasowanym ogniem oskarżeń z Zachodu. A publicyści snujący wizje brunatnej fali zalewającej Polskę z chęcią przypominali o polskim antysemityzmie.

Latem tego roku szefowa warszawskiej gminy żydowskiej Anna Chipczyńska i szef Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP Lesław Piszewski w liście do Jarosława Kaczyńskiego wezwali lidera PiS do spotkania w sprawie narastającej liczby incydentów antysemickich w Polsce. Kaczyński nie miał ochoty na spotkanie z Chipczyńską, utożsamianą przez doradców prezesa z opozycją z okolic KOD. Nie chciał jednak oskarżeń o unikanie kontaktów ze społecznością żydowską. W tej sytuacji pomocną dłoń podał mu Daniels, pomagając zorganizować 16 sierpnia br. spotkanie z dwoma rabinami ortodoksyjnego Centrum Chabad Lubawicz i szefem Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce Arturem Hoffmanem. Dzięki Danielsowi Kaczyński wybrnął z delikatnej sytuacji, a potem i tak prezes PiS spotkał się z Piszewskim, tyle że bez Chipczyńskiej.

Kolejny raz PiS znalazł się w potrzebie, gdy po demonstracji 11 listopada w świat poszła narracja o marszu 60 tys. neonazistów w centrum Warszawy. W tej sytuacji zorganizowana dwa tygodnie potem duża konferencja pod patronatem o. Rydzyka w Toruniu poświęcona Polakom ratującym Żydów z udziałem wiceszefa Knesetu była dla PiS niezwykle ważna. O wadze tego wydarzenia świadczą słowa marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego: „Zawsze uważałem, że o. Rydzyk jest wielki, a od dziś uważam, że jest bardzo wielki".

Jeden z warszawskich publicystów o żydowskich korzeniach wskazuje: „Daniels szybko zrozumiał coś, co dla polskich Żydów z lewej strony było nie do pomyślenia. Zrozumiał, że solidną przyjaźń polsko-żydowską trzeba budować na tym, co wspólne, czyli epopei ratowania Żydów przez Polaków. Natomiast pedagogika wstydu polegająca na ciągłym wypominaniu, że można było uratować więcej ofiar – zamykać będzie Polaków w cichej niechęci do Żydów. Szybko więc uczynił z pamięci o pomocy uciekinierom z getta swoją »spécialité de la maison« słusznie zakładając, że uzyska w ten sposób wdzięczność prawicy".

Inny polski Żyd sytuujący się na prawicy zauważa: „Daniels w jednej z wypowiedzi prasowych dość trzeźwo stwierdził, że polski antysemityzm oparty jest na stereotypach i półprawdach. Ale na tle narastającej na świecie fali tępej nienawiści do Żydów – nieporozumienia z Polakami są do przezwyciężenia. Wypowiedź ta zabrzmiała jak zachęta do odróżniania antysemityzmu Arabów we Francji czy Włoszech, gdzie płoną synagogi, od antysemityzmu w Polsce, kraju, gdzie Żydzi czują się bezpiecznie".

Inicjatywa Danielsa – niezależnie na ile wyrachowana – uruchomiła i odświeżyła refleksje na temat Żydów z prawej strony. Jej przykładem było przemówienie Jarosława Kaczyńskiego 18 września w trakcie uroczystości wręczenia nagrody im. Antoniny i Jana Żabińskich (dwojga odważnych ludzi, którzy ratowali polskich Żydów) w warszawskim zoo.

Najważniejsze w wystąpieniu lidera PiS było przypomnienie Holokaustu jako zbrodni, której nawroty mogą odbywać się pod zupełnie innymi hasłami niż te, z którymi zazwyczaj utożsamia się niechęć do Żydów.

„Dzisiaj antysemityzm bardzo często przejawia się jako wrogość wobec Państwa Izrael, tak charakterystyczna zwłaszcza dla europejskiej lewicy, ale także dla innych sił politycznych w Europie".

I dalej: „Izrael jest państwem na swój sposób wielkim i tą wielkość musimy traktować także jako dowód na to, że gdzieś tam nad nami jest siła, która o wszystkim decyduje, bo bez niej Izrael nie mógłby istnieć. To swego rodzaju cud naszych czasów" – dodał prezes PiS.

ZŁAMANY MONOPOL

Wejście jak huragan na warszawskie salony przybysza zza oceanu, szczycącego się kontaktami z Netanjahu i Trumpem, nie mogło zachwycić dotychczasowego mainstreamu środowisk żydowskich w Polsce, którego cechują raczej sympatie lewicowe i centrowe.

Pierwszym alarmem dla tego środowiska była wizyta o. Rydzyka we wrześniu 2016 r. w ambasadzie Izraela. Powstał po niej list protestacyjny do Anny Azari: „My, osoby czynne w organizacjach zrzeszających polskich Żydów, jesteśmy zbulwersowani przyjęciem przez Panią ks. Tadeusza Rydzyka. Media kierowane przez ks. Rydzyka propagowały antyżydowskie treści. Spotkanie z nim jest krokiem w kierunku legitymizacji jego działań i jego poglądów" – podpisany m.in. przez Stanisława Krajewskiego, Annę Dodziuk i Sergiusza Kowalskiego.

Ten ostatni zabrał publicznie głos i skrytykował aktywność Danielsa w sierpniu br., kiedy z grupą przedstawicieli żydowskich został przyjęty przez Jarosława Kaczyńskiego. W wywiadzie dla portalu naTemat.pl Sergiusz Kowalski oskarżył Danielsa, że jest „dziwną postacią" i że „ustawia się w roli

eprasa.pl 8d31aeab18

reprezentanta polskich Żydów". Spotkanie z Kaczyńskim uznał za sztucznie wyreżyserowany przekaz, który „miał za zadanie pójść w świat: Proszę bardzo, mamy swoich Żydów, którzy kochają PiS, i w ogóle nie ma u nas żadnych problemów z antysemityzmem". „To byli Żydzi dworscy, przedstawiciele organizacji tolerowanych przez władzę". Jednak najostrzej zareagował na sesję w Toruniu z udziałem wiceszefa Knesetu filozof Jan Hartman, naukowiec przyznający się do żydowskich korzeni. W felietonie pod tytułem „Żydzi zdradzili!" – Hartman pisał: „Zdrajcy! Dlaczego to zrobili? Jedni dla pieniędzy i kariery. Inni z pogardy dla Polaków, sięgającej tak daleko, że załgany antysemita błaznujący w roli lejącego łzy krokodyla zdaje się im jakimś postępem w stosunku do Polaka antysemity gnającego widłami uciekiniera z obozu i przekopującego pola śmierci w poszukiwaniu złotych żydowskich zębów. Trudno orzec, jakie motywy są tu bardziej odrażające. Nie dbam o to".

Tak ostre emocje nie mogą dziwić, zważywszy na wyraźnie antypisowskie nastroje wielu działaczy żydowskich. Na wrocławskich demonstracjach KOD przemawia szef tamtejszej gminy żydowskiej i były opozycjonista Aleksander Gleichgewicht, a na demonstracji KOD 23 lipca głos zabierał Krzysztof Izdebski, członek zarządu warszawskiej gminy żydowskiej, a jednocześnie aktywista Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska.

Dla takich ludzi aktywność Danielsa to nie tylko niemiłe zaskoczenie, lecz także powód do obaw o jakiś sojusz pisowsko-izraelski ponad ich głowami.

CO DALEJ Z DIALOGIEM?

Daniels dzięki swojemu dynamizmowi nieźle namieszał w żydowskim kotle.

Część osób ze środowisk żydowskich o sympatiach prawicowych od dawna mówiła, że czas na likwidację monopolu osób o poglądach lewicowych na reprezentowanie polskich Żydów. Inni chwalą Danielsa za współpracę z Rafałem Milczarskim, szefem PLL LOT, wskutek której znacząco wzrosła liczba żydowskich turystów latających do Polski.

Jak podaje izraelski portal Mako.co.il, Warszawa stała się w 2017 r. najatrakcyjniejszym miejscem dla turystów z Izraela. Polska stolica wyprzedziła słynne europejskie miasta, m.in. Londyn, Barcelonę i Amsterdam. Jak pisze portal, izraelscy turyści najbardziej cenią w Warszawie gastronomię, która ich zdaniem znajduje się na wysokim poziomie. Warszawa oferuje usługi w podobnym standardzie co inne europejskie miasta, ale w porównaniu z nimi jest znacznie tańsza. Spadły też koszty lotów. Jednak znaczenie ma też poczucie bezpieczeństwa, które na Zachodzie wskutek imigracji z państw arabskich nie jest już takie oczywiste.

Krzysztof Wyszkowski, uważny obserwator prasy izraelskiej, zastrzega: „PiS nie powinien zapominać, że Daniels reprezentuje tylko jeden z nurtów społeczności żydowskiej w Izraelu i na świecie. Nurt związany z Netanjahu i obozem Trumpa. Ostro znienawidzony w tej części społeczności żydowskiej, która jest na lewo. Z drugiej strony prawica żydowska w Izraelu i u boku Trumpa ma akurat dzisiaj ogromne wpływy".

Pamięć o tym zapewne jest ważna, ale PiS i o. Rydzyk nie mają specjalnego wyboru. Tylko Daniels i jego sojusznicy wyciągają do prawicy rękę na zgodę. Czas pokaże, na ile jest to wynik jakiejś aktualnej gry, a na ile początek trwałego pojednania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 8d31aeab18

Z Jonnym Danielsem, prezesem fundacji From the Depths, zajmującej się relacjami polsko-żydowskimi
rozmawia Marcin Makowski

Polska jest na celowniku

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM

MARCIN MAKOWSKI: Wiesz, co się o tobie mówi na mieście? Jonny Daniels – tajemniczy lobbysta, który nawrócił o. Rydzyka na filosemityzm.

JONNY DANIELS: Tak, słyszałem, ale nie jestem żadnym „tajemniczym lobbystą". Na koniec dnia we wszystkim, co robię, liczy się dla mnie jedna rzecz: czy dzięki temu buduję lepsze stosunki polsko-izraelskie.

Złośliwi dodają jednak: „I pokaźne kontrakty".

Bzdura. Gdybym szukał łatwych pieniędzy, wybrałbym spokojniejsze zajęcie. Wiesz, kto promuje tę wersję? „Gazeta Wyborcza". Robi to konsekwentnie, gdy tylko zobaczyła, że traci monopol na narrację o walce z antysemityzmem. Przy okazji, i przy zmianie, jaką przeszedł Tadeusz Rydzyk, straciła również możliwość jego krytyki właśnie z tej perspektywy. Dlatego starają się podważyć to, co robię, używając nieadekwatnych terminów. Grzebią w moim życiorysie, wykopują domniemane brudy.

A może to po prostu dobra wymówka: zwalić wszystko na „Wyborczą"?

Wymówka przed czym? Jestem dumny ze swojej pracy i nic nie poradzę, że tak szalenie upolitycznione środowisko jak gazeta Adama Michnika we wszystkim doszukuje się drugiego dna. Pomyśl, jaki interes miałby o. Rydzyk, aby tak mocno zbliżyć się do Izraela i Żydów oraz zadbać, aby w jego mediach nie było więcej treści antysemickich. Coś na tym fizycznie zarabia?

Co w takim razie było przyczyną jego metamorfozy? W 2007 r. na taśmach ujawnionych przez „Wprost" oskarżał prezydenta Lecha Kaczyńskiego o uleganie żydowskim wpływom, dzisiaj jada kolacje z ambasador Izraela.

Nie wiem, czy to była wielka zmiana. Ojciec Rydzyk miał w swojej karierze kilka niemożliwych do obrony wypowiedzi, Radio Maryja również. Nie chcę pudrować przeszłości, ale uważam, że nie czyniło to z niego zawziętego antysemity. Osobiście nigdy nie spotkałem się z podobnym zachowaniem w jego towarzystwie. Gębę dorobiły mu dopiero później media, które na każdym kroku starały się zdezawuować redemptorystę. On powiedział mi kiedyś, że wcześniej nie miał żadnych znajomych wśród Żydów, przez co latami postrzegał nas przez pryzmat stereotypów. Po części być może uzasadnionych, bo przecież nigdy nie jest tak, że jakaś społeczność składa się z idealnych jednostek. Pytałeś jednak o konkretną przyczynę zmiany... Jest jedna historia, która może wiele wytłumaczyć.

Zamieniam się w słuch.

Kiedy już o. Tadeusz poczuł się przy mnie swobodnie, zapytał bez owijania w bawełnę: „Jonny, dlaczego Żydzi tak nie cierpią Polaków?". Odparłem: „Ale co ojciec ma na myśli?". I wtedy opowiedział mi o swojej podróży do Izraela. To było ok. 15 lat temu, gdy z grupą polskich księży zwiedzał Jerozolimę. „Wchodzimy do jednej z dzielnic i wtedy grupa mężczyzn, chyba domyślając się, kim jesteśmy, zaczęła na nas krzyczeć, pluć, rzucać kamieniami. To było okropne. Co myśmy im zrobili?" – zastanawiał się i nie znajdował odpowiedzi. Uśmiechnąłem się, bo błyskawicznie zrozumiałem, gdzie leżał problem. To z pewnością była jedna z dzielnic ortodoksyjnych Żydów, która musiała być zamknięta dla obcych w czasie szabatu. Nie chodziło o to, że są księżmi ani Polakami. Mnie dostałoby się tak samo. Uważam, że to naganne zachowanie, ale wyjaśnienie, które zajęło mi 30 sekund, rzuciło zupełnie inne światło na to jedno, kluczowe dla o. Rydzyka wspomnienie.

I nikt wcześniej nie mógł mu tego powiedzieć?

Tutaj wracamy do punktu wyjścia, czyli braku znajomości z innymi Żydami, którzy mogliby cały kontekst wyjaśnić. Nie usprawiedliwić, ale wyjaśnić. Oczywiście to, co mówił i myślał o. Tadeusz, nie wynikało z jednego przykrego incydentu, ale sądzę, że właśnie przez jego pryzmat została zasiana jakaś niepotrzebna nieufność. Gdybym ja podczas pierwszej podróży do Warszawy został zwyzywany na ulicy i obrzucony śmieciami, wyjechałbym, nienawidząc Polski. Tak działają emocje.

Podobnie zadziałały u pewnego amerykańskiego publicysty, który podczas Marszu Niepodległości tak przestraszył się możliwych „czystek antysemickich", że zamknął się w toalecie?

Oczywiście. Gdybyś nie zaprosił go do Krakowa, nie przedstawiał mu innego oblicza kraju i nie okazał gościnności, pewnie nadal tkwiłby w tym przeświadczeniu. W przypadku naszych narodów to szalenie łatwe. Zobacz, ile przez lata narosło nieufności. Tutaj nawet iskra powoduje pożar. Sam przez pewien czas niewiele różniłem się od o. Rydzyka czy od tamtego dziennikarza. Też przylatując do Polski, wszystko tłumaczyłem sobie zero-jedynkowo.

Możesz pięknie opowiadać o zakonniku, który dojrzewa do otwarcia się na dialog, ale to wszystko i tak para w gwizdek. Niedawno usłyszałem w TOK FM, że Ojciec Dyrektor trochę się poukładał z Żydami, ale „antyislamskość zastąpiła u niego antysemityzm". Czyli nadal czarny charakter.

Co za głupota! Przecież między tymi rzeczami jest ogromna różnica. Być może gdzieś tam istnieje muzułmański Jonny Daniels, który pracuje nad poprawą relacji polsko-islamskich, ale to nie moja działka. Ja tłumaczę, że antysemityzm i antypolonizm nie mają racji bytu, bo w większości oparte są na kłamstwie. Tymczasem negatywne emocje względem imigrantów czy islamu jako takiego mają znacznie głębsze fundamenty. Czy widziałeś kiedyś Żyda, który wysadził się w jakimś europejskim mieście? Żydzi nie są również zainteresowani podbojem całego kontynentu i masakrowaniem kobiet oraz dzieci na ulicach, tymczasem niektóre radykalne odłamy islamu tak.

Akurat wojny Izraela to nie jest chyba najłatwiejszy temat do obrony.

W przeszłości niektóre konflikty zbrojne i straty w cywilach mogły być dla nas powodem do wstydu, ale obecnie Izrael to najnormalniejsze i najbardziej demokratyczne państwo w ogarniętym chaosem regionie. Niech ten fakt mówi sam za siebie.

Pozostając w temacie dialogu polsko-żydowskiego, 26 listopada do Torunia na konferencję „Pamięć i Nadzieja" przyjechał m.in. wiceszef Knesetu, Hilik Bar. Obok niego cała plejada polityków polskiej prawicy, z premier Beatą Szydło na czele. Nie było jednak Jarosława Kaczyńskiego. Dlaczego?

Wiem, że prezes Prawa i Sprawiedliwości chciał uczestniczyć w tym wydarzeniu i robił wszystko, aby przyjechać, niestety w ostatniej chwili w Warszawie zatrzymały go sprawy osobiste i zdrowotne. Wystosował jednak bardzo mocny list do uczestników, podkreślając heroizm Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

To miłe, ale jedna rzecz nie daje mi po konferencji spokoju. Każdy z panelistów podkreślał, jak wiele nasze narody mają ze sobą wspólnego. Ile razem wycierpiały i jak istotne jest, aby nazywać rzeczy po imieniu. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego w oczach opinii publicznej Polska przedstawiana jest jako europejskie centrum nazizmu i antysemityzmu?

Na starcie trzeba rozróżnić trzy perspektywy. Pierwsza to relacje pomiędzy Polską a Izraelem, które są silne, również pod względem społecznym. Tylko w zeszłym roku ruch turystyczny pomiędzy

eprasa.pl 8d31aeab18

naszymi krajami wzrósł o 61 proc., a Warszawa to najpopularniejszy cel podróży z Izraela. Druga to punkt widzenia diaspory żydowskiej na świecie, głównie w USA, która na Polskę patrzy przez pryzmat traumy Holokaustu i restytucji majątkowej. Jest jeszcze aspekt trzeci, czyli optyka lewicowo-liberalnych mediów, które są święcie przekonane, że w Warszawie 11 listopada maszerowało 60 tys. nazistów. W większości przypadków to właśnie one odpowiadają za czarny PR robiony Polsce za granicą. Jego skala jest momentami przytłaczająca, a wybór tematów nieprzypadkowy. Całkiem niedawno w Londynie jakaś grupa namalowała na murach dziesiątki skrajnie antysemickich haseł. Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował. O tym, że w Anglii i Niemczech odbywają się marsze neonazistów, mało kto mówi na głos. Polska dzisiaj, również ze względu na swój prawicowy rząd, jest po prostu na celowniku.

Czy twoim zdaniem władze robią wystarczająco wiele, aby kontrować te ataki?

Zdecydowanie nie. Po Marszu Niepodległości zadzwoniło do mnie wielu polityków, dziękując, że zgłosiłem sprawę rasistowskich bannerów do prokuratury, i oczywiście w rozmowie potępiło takie hasła, ale to zdecydowanie za mało. Prawica przez cały okres sprawowania rządów niestety nie wypracowała spójnej strategii komunikacyjnej w przypadku globalnych kryzysów wizerunkowych. Mam wrażenie, że jednak to zagadnienie ignorują, w nadziei, że sprawy rozwiążą się same, a inni bezradnie rozkładają ręce, bo nie mają środków ani wiedzy, co poza oburzeniem i komunikatami wysyłanymi do własnych wyborców można zrobić. To oburzające, że w tym samym czasie instytucje z budżetami na setki milionów złotych, takie jak Polska Fundacja Narodowa, po prostu chowają głowę w piasek. Przecież Polska to pod względem wizerunkowym samograj. Heroiczna historia, bogate dziedzictwo kulturowe, wzrost gospodarczy i bezpieczne miasta. Zamiast kontrowania kłamstw i promowania pozytywnego obrazu kraju niektórzy po prostu wolą odpowiadać kontratakiem oraz świętym oburzeniem. Tym samym lewicowo-liberalne media dostają paliwa do swojej gry, przedstawiając Polskę w czarno-białych barwach. Jeśli rząd chce z tą pasywnością zerwać, to musi wpuścić do tego obrazu nieco życia i koloru.

„Oskarżam Żydów – nie wszystkich, lecz licznych, choć żadnego nazwiska nie wymienię – o zdradę" – napisał w „Polityce" Jan Hartman. Komentował wspomnianą toruńską konferencję Radia Maryja. Czujesz się zdrajcą?

Jedyne, co czuję, to żal do tego człowieka. Nie rozumiem jego motywacji. Może to jakaś zazdrość albo po prostu brak uznania innego punktu widzenia, co samo w sobie w przypadku polepszania się relacji polsko-izraelskich wydaje się niepokojące. Hartmanowi zależy na utrzymaniu status quo. Przecież to było takie wygodne, mieć w Polsce czarną owcę, na którą zawsze można wskazać palcem i powiedzieć: „Patrzcie, ksiądz rasista". Tylko że to się zmieniło, a osoby pokroju Jana Hartmana nie mogą się ze zmianą pogodzić.

Hartman twierdzi również, że o. Rydzyk zmienił poglądy tylko dlatego, że zamiast o winie Polaków mógł mówić o ich bohaterstwie. „Dopiął swego, stworzył »Kaplicę Pamięci«. […] Król Ubu w roli kapłana i kustosza pamięci Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. […] Rzygać mi się chce na myśl o tym odrażającym triumfie hucpy i załgania". To tak w dużym skrócie.

Odrażające słowa. W jaki sposób Sprawiedliwi mają być zasłoną dymną przeciw czemukolwiek? Pomyślmy chwilę o Ameryce i szacunku dla tamtejszych weteranów wojennych. Przecież wielu z żołnierzy USA ma na koncie zbrodnie wojenne. Jednak czy to znaczy, że cała armia powinna zostać potępiona? Jest czas i miejsce na wszystko i są właściwe proporcje. Do tej pory były na świecie i w Polsce zaburzone właśnie na niekorzyść większości. Wiele mówiło się o Jedwabnem, pogromie w Kielcach, a dziesiątki historii bohaterów, którzy z narażeniem życia swojego i własnej rodziny ukrywali Żydów, przepadały na zawsze, bo nikt ich nie wysłuchał. Ojciec Rydzyk, rząd czy ja nie uprawiamy propagandy sukcesu. My tylko staramy się oddać spóźnioną sprawiedliwość tym, którzy w najgorszych czasach potrafili być sprawiedliwi.

A co z tobą? Jak odeprzesz zarzuty, że zająłeś się tematem, bo po prostu bezpiecznie można się było na nim wypromować w oczach prawicowego rządu?

Kiedy zacząłem działać w fundacji na rzecz Sprawiedliwych, był rok 2014. Prawo i Sprawiedliwość mogło dopiero marzyć o władzy, prowadzono niewiele inicjatyw i nikt specjalnie mi w tym obszarze nie pomagał. Dzisiaj też nie jest różowo. Prawdę mówiąc, chciałbym, aby obecny rząd robił znacznie więcej dla nadal żyjących polsko-żydowskich bohaterów. Jeśli chodzi o mówienie, tutaj nie ma problemu, ale z działaniem jest już trudniej. Zarówno z perspektywy polskiego, jak i izraelskiego rządu jest czymś nie do zaakceptowania pewien rodzaj bierności, który sprawia, że wielu Sprawiedliwych egzystuje na granicy ubóstwa. Wielu z nich to dumni ludzie, którzy nie chcą prosić o pomoc, ale nie trzeba wnikliwego dochodzenia opieki społecznej, żeby zauważyć, że oni jej rozpaczliwie potrzebują.

Jeszcze w temacie polityki. Niedawno o. Rydzyk przeprowadził wywiad z prezydentem Dudą. A może precyzyjniej byłoby powiedzieć: rozliczał prezydenta z katolicyzmu, przypominał obietnice. Nie przeszkadza ci to mieszanie „boskiego" i „cesarskiego"?

Niestety, wywiadu nie widziałem. Jednak szczerze? To dla mnie nie problem, że osoba duchowna chce promować w przestrzeni publicznej rzeczy, w które wierzy. Dlaczego o. Rydzyk miałby nie mieć tego prawa?

A pieniądze płynące szerokim strumieniem na toruńską uczelnię i geotermię to też ideały?

Odpowiem ci innym pytaniem: A co jest złego w tym, że duża instytucja potrzebuje pieniędzy do tego, aby funkcjonować? I pozyskuje te środki, zgłaszając swoje projekty do publicznych grantów? Czy media katolickie powinny być wyłączone z życia społecznego?

Przyznam, że znalazłeś się ostatnio w ciekawej pozycji. Bronisz o. Rydzyka, a z drugiej strony zgłaszasz do prokuratury bannery z Marszu Niepodległości. Dostaje ci się od jednych i od drugich.

Dostaje mi się od skrajnej prawicy i skrajnej lewicy. Narracja o polsko-żydowskich relacjach była zmonopolizowana przez prawie 30 lat przez małą grupkę wpływowych osób. Nagle przychodzi ktoś z boku i wykrawa kawałek „ich" tortu. To musi irytować. Gdyby od jutra jakaś osoba zaczęła robić lepiej to, co ja, i była w tym skuteczniejsza, pewnie też zrobiłbym się strasznie zazdrosny.

Na koniec szokujący fakt. Ojciec Tadeusz Rydzyk jednak do końca nie wyzbył się antysemickich tendencji. Widziałem zdjęcie, na którym podczas toruńskiej konferencji ciągnie nowojorskiego Żyda za ucho.

(śmiech) To prawda. Obaj jednak wiemy, kim był ten Żyd. Matthew Tyrmand na pewno skorzysta na lekcji dyscypliny, dlatego o. Tadeusz zasługuje na brawa, a nie na potępienie. To solidna wychowawcza robota.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

INSPIRUJEMY ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

KSIĄŻKI DLA CAŁEJ RODZINY

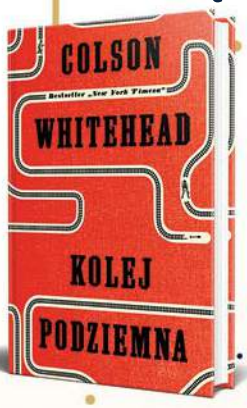

Książka zdobywcy Nagrody Pulitzera i National Book Award.

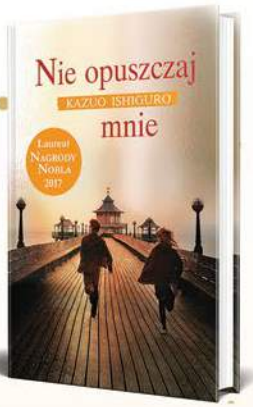

Powieść tegorocznego zdobywcy literackiej Nagrody Nobla 2017.

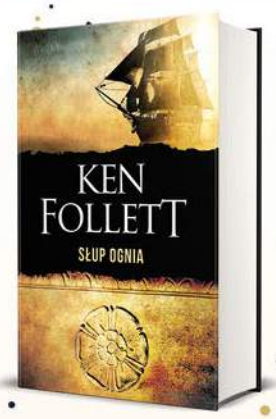

Najpopularniejsza saga historyczna autorstwa Kena Folletta.

Inspirująca opowieść o dobroci, odwadze i inności.

NAJLEPSZE THRILLERY 2017

Thriller królujący na listach bestsellerów w 2017 roku.

Najnowsza powieść z uwielbianym na całym świecie duetem Rizzoli & Isles.

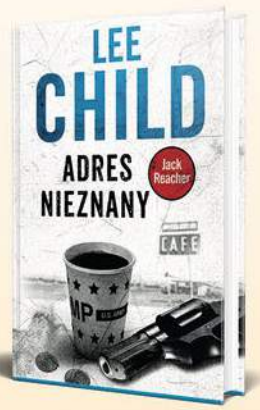

Jack Reacher, największy twardziel Ameryki, w 12 nowych odsłonach.

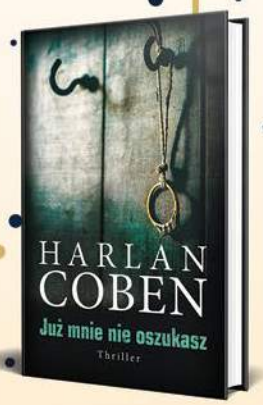

Nowa książka megagwiazdy współczesnego thrillera.

NAJPIĘKNIEJSZE POWIEŚCI O MIŁOŚCI

Jubileuszowe wydanie kultowego romansu z kadrami z filmu.

Thriller psychologiczny i romans z przewrotnym zakończeniem.

Bestsellerowa powieść w wydaniu zawierającym zdjęcia z filmu.

Najnowsza powieść króla romantycznych historii.

Wydawnictwo Albatros

wydawnictwoalbatros.com

eprasa.pl 8d31aeab18

Bliskie spotkania z

Wojciech Wybranowski

Od 2010 r. polskie służby specjalne i ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo narodowe stworzyli wiele sytuacji, które rosyjskie służby mogły wykorzystać do penetracji naszego kontrwywiadu

Funkcjonariusze Żandarmerii Wojskowej zatrzymali w ubiegłym tygodniu gen. Piotra Pytla, byłego szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego w okresie rządów PO-PSL. Jesienią ubiegłego roku warszawska prokuratura postawiła mu zarzut przekroczenia uprawnień przy współpracy ze służbą obcego państwa. Chodzi o nielegalną współpracę polskiego kontrwywiadu z rosyjskimi służbami przy wycofywaniu polskiego kontyngentu wojskowego z Bliskiego Wschodu. Zdaniem wielu ekspertów stworzono sytuację, w której Rosjanie mogli rozpoznać metody działania polskich służb.

Sprawa gen. Pytla i jego współpracowników to tylko jedna z wielu zaskakujących sytuacji, do których po kwietniu 2010 r. zaczęło dochodzić w obrębie polskich służb specjalnych i ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo narodowe, a które najprawdopodobniej umożliwiły Rosjanom penetrację strategicznych założeń obronnych i kontrwywiadowczych Polski oraz środowiska osób odpowiedzialnych za polski sektor bezpieczeństwa.

Wszystko zaczęło się od oficjalnych oraz nieformalnych spotkań ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego i jego najbliższych współpracowników z Biura

eprasa.pl 8d31aeab18

Generał Stanisław Koziej, ówczesny szef BBN, oraz sekretarz Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Nikołaj Patruszew, były agent KGB, podczas spotkania w Warszawie z okazji 20-lecia BBN w 2011 r. Na mniejszej fotografii: samochód Patruszewa, którym przyjechał prywatnie na mecz siatkówki do Sopotu w 2011 r. FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Rosją

Bezpieczeństwa Narodowego z ludźmi rosyjskich służb ulokowanych przy Radzie Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej.

– Spotkania ludzi prezydenta Komorowskiego, zwłaszcza pracowników BBN, z przedstawicielami rosyjskich służb oceniam bardzo negatywnie, nie powinno do nich dojść. Analizują to służby i mam nadzieję, że również nasz wymiar sprawiedliwości – mówi „Do Rzeczy" poseł Marek Opioła (PiS), przewodniczący sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych.

BRACIA MOSKALE?

Bliskie kontakty ludzi z otoczenia Bronisława Komorowskiego, pracowników BBN, z Rosjanami zaczynają się tuż po katastrofie smoleńskiej. W maju 2010 r. Komorowski, pełniący wówczas obowiązki prezydenta, i gen. Stanisław Koziej pojechali do Moskwy. Wtedy też miało dojść do pierwszego spotkania Kozieja z gen. Nikołajem Patruszewem, byłym agentem KGB (od 1999 r. najpierw zastępcą szefa rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa, później jej szefem), a od 2008 r. sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Patruszew to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Władimira Putina, uważany też za jego człowieka od specjalnych poruczeń. Według brytyjskich mediów – powołujących się na raport sędziego Roberta Owena – to Patruszew miał stać za morderstwem Aleksandra Litwinienki, który twierdził, że to FSB właśnie za czasów Patruszewa dokonało zamachów w blokach mieszkalnych w Rosji, wykorzystanych później jako pretekst do wojny z Czeczenią. O spotkaniu Kozieja z Patruszewem w Moskwie w maju 2010 r. pierwszy informował wówczas portal Niezależna.pl.

– Opinia publiczna usłyszała wówczas, że to spotkanie przedstawicieli polskiego BBN i jego rosyjskiego odpowiednika. Sęk w tym, że Patruszew w rzeczywistości pozostawał wówczas w tak zwanej rezerwie aktywnej KGB, i to niezależnie od stanowiska pełnionego w Radzie Bezpieczeństwa FR – mówi nam osoba związana z polskim wojskowym kontrwywiadem. To podczas tego spotkania gen. Stanisław Koziej miał umówić się z nim, jak twierdzą nasze źródła, na konsultacje dotyczące polsko-rosyjskiej współpracy w sprawach bezpieczeństwa.

Zapytaliśmy gen. Kozieja o jego spotkania z Patruszewem. Odpowiadał bardzo niechętnie, przekonywał, że nie pamięta dokładnie, kiedy i ile ich odbył. W rozmowie z nami przypomniał sobie tylko dwa: w maju 2010 r., które, jak twierdzi, miało być realizacją decyzji Lecha Kaczyńskiego o udziale w obchodach rocznicy Zwycięstwa, oraz późniejsze – kiedy to człowiek Putina został zaproszony na obchody 20. rocznicy utworzenia Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Generał odmówił nam autoryzacji swoich wypowiedzi, uzależniając je od udostępnienia mu całego tekstu i przyznaniu mu prawa do autoryzacji nie tylko tego, co nam powiedział, ale także gotowego artykułu. Odmówiliśmy.

Spotkania gen. Kozieja z Patruszewem z okazji 20-lecia BBN odbyło się w dniach 22–25 lutego 2011 r. podczas konferencji, na której Nikołaj Patruszew uczestniczył w panelu poświęconym wyzwaniom bezpieczeństwa międzynarodowego. Spotkał się też wówczas z prezydentem Bronisławem Komorowskim. Opinia publiczna jednak nigdy nie usłyszała od byłego prezydenta wyjaśnienia, o czym rozmawiał z tym ważnym agentem KGB. Oficjalnym wynikiem spotkań przedstawicieli BBN i Patruszewa było podpisanie „Planu współpracy między Biurem Bezpieczeństwa Narodowego i Aparatem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej na lata 2011–2012".

TAJEMNICZE SPOTKANIA

Spotkań generała Kozieja i ważnych urzędników BBN w czasach prezydentury Bronisława Komorowskiego z ludźmi rosyjskich służb specjalnych było znacznie więcej. W lutym 2013 r. szef BBN podpisał w Moskwie kolejne porozumienie dotyczące współpracy BBN i Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (na lata 2013–2014). Oficjalnie dotyczyło ono corocznych spotkań i konsultacji obu służb. Według naszych rozmówców również i wówczas doszło do spotkania Kozieja z Patruszewem.

W 2015 r. zaskakującymi kontaktami ludzi prezydenta odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo narodowe z przedstawicielami rosyjskich służb zainteresował się senator Maciej Klima. Z odpowiedzi na jego interpelację, którą wystosował gen. Koziej, wynika, że również w lipcu 2013 r. delegacja BBN kierowana przez Zbigniewa Włosowicza, wówczas wiceszefa BBN, była na „międzynarodowym spotkaniu wysokich przedstawicieli zajmujących się sprawami bezpieczeństwa" i brała udział w rozmowach z ludźmi rosyjskich służb. Wśród Rosjan był m.in. Jewgienij Łu-

eprasa.pl 8d31aeab18

kjanow, zastępca Patruszewa, również jeden z najbliższych współpracowników Putina, według nieoficjalnych informacji także związany z KGB.

To właśnie Łukjanow groził Polsce w 2015 r.: – Polska i Rumunia, rozmieszczając na swoim terytorium elementy tarczy antyrakietowej, automatycznie stają się potencjalnymi celami Rosji – mówił rosyjskim dziennikarzom.

Do spotkania urzędników BBN i rosyjskich służb doszło ponownie w styczniu 2014 r. w Warszawie. Oficjalny powód – konsultacje Biura Bezpieczeństwa Narodowego i Aparatu Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w sprawie reformy ONZ, cyberbezpieczeństwa i Syrii.

– Skala i zakres tych kontaktów to sprawa, którą należy wyjaśnić – mówi „Do Rzeczy" poseł Jarosław Krajewski (PiS), członek sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych.

Zdaniem naszych rozmówców „ocieplenie", które zapanowało w relacjach polskich i rosyjskich służb, spowodowało, że Rosjanie nierzadko w Polsce czuli się jak u siebie w domu. Dowód? Prywatna wizyta Nikołaja Patruszewa, który poza wszelkimi procedurami dyplomatycznymi 8 listopada 2011 r. przyjechał sobie prywatnie, ale w towarzystwie ochrony (ludzi z rosyjskich służb) do Sopotu. Oficjalnie na mecz siatkówki Brazylia–Rosja, ale w służbach mówi się, że przy okazji odbył kilka spotkań mniej związanych ze sportem, a bardziej z jego obowiązkami w rosyjskiej Radzie Bezpieczeństwa.

Wśród spotkań, które mogą budzić wątpliwości, jest też tajemnicza wizyta kandydującego wówczas na stanowisko prezydenta Bronisława Komorowskiego w kontrolowanej przez ludzi rosyjskich służb Armenii (21 czerwca 2010 r.), gdzie na lotnisku Zwartnoc spotkał się z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Edwardem Nalbandjanem. Służby prasowe Komorowskiego ani wtedy, gdy jeszcze pełnił funkcję marszałka Sejmu, ani gdy został prezydentem, nie ujawniły powodów tej wizyty. Według ormiańskich mediów tego samego dnia na tym samym lotnisku Nalbandjan miał spotkać się z delegacją wysokich oficerów rosyjskich służb.

– Zbliżenie ludzi odpowiedzialnych za kwestie strategicznego bezpieczeństwa narodowego, wysokich oficerów BBN, osób mających bezpośrednio dostęp do prezydenta Bronisława Komorowskiego, mających wgląd w analizy i dokumenty dotyczące strategicznych kwestii polskiego bezpieczeństwa narodowego było niebezpieczne dla Polski – twierdzi jeden z naszych rozmówców, dawniej związany ze służbami specjalnymi. Dlaczego?

– Otworzyło to Rosjanom pole do dalszych działań, proszę zwrócić uwagę, że szefowie naszych służb w tamtych latach, m.in. generał Bondaryk, byli blisko związani z Komorowskim i jego zaufanymi. Zbliżenie stwarzało pretekst do przenikania do środowiska ludzi odpowiedzialnych za polskie bezpieczeństwo, nawiązywania z nimi zbyt bliskich kontaktów towarzyskich, a w efekcie rozpracowania zarówno ich samych, jak i ich krewnych, wreszcie ułatwiało Rosjanom tworzenie potencjału werbunkowego – przekonuje nasz rozmówca.

W POLSCE JAK W DOMU

W 2016 r. „Gazeta Polska" opisała – wykorzystując dokumenty – tajne spotkanie ludzi polskich i rosyjskich służb, do którego miało dojść w mazurskim Ułowie. Według gazety gen. Piotr Pytel, wówczas dyrektor Zarządu Operacyjnego SKW, oraz szef jego gabinetu płk Krzysztof Dusza, co najmniej raz spotkali się tam z osobą uważaną za rezydenta rosyjskiego wywiadu w Polsce.

– Zauważamy niepokojące przenikanie się rosyjskich i polskich służb, począwszy od kwietnia 2010 r., pytanie, na które musi paść odpowiedź, brzmi: W jakim stopniu stało się ono dla Rosjan okazją do penetracji polskiego kontrwywiadu – mówi nam jeden z naszych informatorów.

Wśród spotkań, które mogą budzić wątpliwości, jest tajemnicza wizyta Bronisława Komorowskiego w Armenii w czerwcu 2010 r.

Nielegalna współpraca polskiego kontrwywiadu wojskowego z rosyjskimi służbami w 2010 r. przy wycofywaniu polskiego kontyngentu wojskowego z Afganistanu to dziś największy skandal w służbach. W ubiegłym roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła byłym szefom SKW: gen. Piotrowi Pytlowi i gen. Januszowi Noskowi zarzuty przekroczenia uprawnień i „podjęcia współpracy ze służbą obcego państwa bez zgody prezesa Rady Ministrów". Kierownictwo SKW miało podjąć współpracę z rosyjskimi służbami, nie uzyskawszy wcześniej na nią zgody, a nawet nie poinformowawszy o tym fakcie Donalda Tuska. Były szef rządu został w tej sprawie przesłuchany w charakterze świadka wiosną tego roku.

Noskowi i Pytlowi grozi do trzech lat pozbawienia wolności, a ludzie z polskich służb specjalnych mówią, że sytuacja, do której doprowadzili, pozwoliła Rosjanom na podejrzenie schematów i praktyki działań stosowanych w danych okolicznościach przez polską armię.

Choć obaj byli szefowie SKW usłyszeli już prokuratorskie zarzuty, sprawa wciąż nie znalazła swojego finału na sądowej wokandzie. – Śledztwo jest w toku. Postanowieniem z października zostało przedłużone do 3 lutego 2018 r. – mówi „Do Rzeczy" prok. Łukasz Łapczyński, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie, i odmawia dalszego komentarza, tłumacząc, że postępowanie oparte jest na materiałach niejawnych. – W szczególności nie mogę udzielić informacji w zakresie realizowanych bądź planowanych czynności procesowych – zaznacza.

Generał Piotr Pytel, zatrzymany przez ŻW, miał usłyszeć nowy, zmieniony zarzut, którego prokuratura do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" nie ujawniła.

Z kolei kilkanaście dni temu na portalu TVP Info dziennikarz śledczy Mariusz Kowalewski ujawnił, że oficerowie rosyjskiej FSB przez kilka miesięcy latem 2012 r. rozpracowywali Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a do swojej operacji o kryptonimie „Wołga" wykorzystali... oficjalne zaproszenie polskiego kontrwywiadu, którym wówczas kierował gen. Krzysztof Bondaryk. Rosjanie mieli współpracować z ABW w rozpracowaniu jednej z grup przestępczych funkcjonujących w obwodzie kaliningradzkim, tyle że – jak się okazało w 2015 r., gdy nowe kierownictwo ABW zaczęło sprawę sprawdzać – taka grupa nie istniała, a oficerowie FSB wykorzystali tę fikcję jako pretekst do zgłębienia sposobów działania i penetracji struktur SKW w tym rejonie, szczególnie delegatury olsztyńskiej ABW wyspecjalizowanej w kontrwywiadowczym zabezpieczaniu przed działaniami ze strony Rosji. Jak ujawnił Kowalewski, w 2012 r. ABW pozwoliła jednemu z oficerów na wykonywanie działań operacyjnych na terenie Polski, a ów oficer miał przekraczać granicę polsko-rosyjską przy bierności polskich służb jeszcze wiele razy po zaprzestaniu współpracy ABW-FSB. ©℗

Współpraca: Maciej Pieczyński

eprasa.pl 8d31aeab18

Hipster od św. Tomasza

Marcin Makowski

O Bawerze Aondo-Akaa zrobiło się głośno po tym, gdy pozwał Guya Verhofstadta za nazwanie wszystkich uczestników Marszu Niepodległości faszystami. Jego historia jest jednak znacznie bogatsza

FOT. GRZEGORZ AYKO/AGENCJA SERWIS/FORUM

FOT. BAWER AONDO-AKAA/FACEBOOK

Z Bawerem spotykam się w jego mieszkaniu na obrzeżach Krakowa. Z góry przeprasza za rozmowę w biegu, ale szykuje się na pociąg do Warszawy. Ma być na żywo w Telewizji Republika. W takim razie nie marnujemy czasu. Wyciągam telefon i pokazuję mu grafikę z kartą do gry RPG. Na karcie jego zdjęcie i podpis: „Murzyn na kółkach. Blokuje wszelkie ataki opętanego lewactwa. Gdy jesteś w niebezpieczeństwie, możesz go wykorzystać jako żywą tarczę". Bawer bez chwili wahania wybucha śmiechem.
– Śmieszy cię to? – pytam.

– Oczywiście, sam gram w takie gry. To kapitalne, chciałbym poznać autora – odpowiada.

Jego zdaniem poczucie humoru to jedna z najważniejszych emocji społecznych. Rozładowuje napięcie, łagodzi radykalizm. – Wiesz, co pierwsze staje się ofiarą totalitaryzmów?

Strzelam: „Prawda?".

– Nie, to właśnie humor. Kiedy wszystko jest śmiertelnie poważne i ludzie przestają mieć dystans, łatwiej nimi sterować.

– Z bycia „czarnym nazistą" na Marszu Niepodległości też się śmiałeś – próbuję go zagiąć.

– Odpowiem ci na to pytanie później. Możesz mi pomóc? Kolega dzwoni, otwórz mu, proszę.

Otwieram.

IDEOWIEC

Gdy znajomy pomaga Bawerowi przygotować się do wyjścia, chwilę kręcę się po mieszkaniu. Na szafkach zdjęcia ślubne, półki uginają się od książek religijnych, filozoficznych, jest trochę beletrystyki. Spora kolekcja gier planszowych. – Masz czas, żeby grać? – Jasne, kocham „Magię i miecz" – krzyczy z drugiego pokoju. Obok żywotów świętych świnka skarbonka. „Na bilet do raju" – głosi wymalowany na jej brzuchu napis. Nie ma telewizora („telewizja ogłupia"), zamiast niego na ścianie wisi replika miecza Karola Wielkiego. Poza tym to zupełnie normalne miejsce, typowe nowe budownictwo.

Gdy pytam, czy czasami zdarza mu się załamywać, narzekać, użalać nad sobą, odpowiada śmiechem. „Nigdy". Mówi to, gdy przenosimy go z łóżka na wózek inwalidzki. Od dziecka cierpi na porażenie czterokończynowe. To efekt przebytej w wieku niemowlęcym żółtaczki, która doprowadziła do zapalenia opon mózgowych. W większości takich przypadków to właściwie wyrok śmierci. On się jednak nie poddał.

– Teraz jest moda na Bawera, rzeczywistość nie znosi pustki – rzuca mimochodem i ma rację. Od czasu Marszu Niepodległości bryluje w mediach. A to „Warto rozmawiać", a to „Minęła 20". Gwiazda. Gdy kolega sadza go wygodnie na wózku, Bawer kontynuuje. – Wszystkiego nauczył mnie Tomasz z Akwinu. Jestem tomistą i umiem doceniać ens, czyli byt. Nie potrzebuję wiele, bo samo życie jest fascynujące. Przecież wszystko, co istnieje, mogłoby nie istnieć. Więc wszystko jest w pewnym sensie cudem i tajemnicą.

Pomagamy mu założyć bluzę z marszałkiem Piłsudskim i Bawer na moment przerywa. Po chwili dodaje – Chesterton pisał, że wszyscy ocaleliśmy z kosmicznej katastrofy. Jesteśmy na świecie jak rozbitkowie ze statku. Na co dzień nie dostrzegamy tego, co mamy, bo myślimy, że ktoś nam to dał darmo. Tom Hanks w „Cast Away" popłakał się ze szczęścia, gdy znalazł na bezludnej wyspie łyżwy. Dla niego to była możliwość przeżycia, zrobił z nich ostrze do cięcia kokosów – kończy wykład swojej filozofii. Słucham, co mówi, i łapię się na banalnej myśli. Jak często zdarza mi się narzekać, mając od losu o wiele więcej niż te łyżwy?

Bawer gotowy do wyjścia siedzi w swojej nieodłącznej skórzanej kurtce. Zakłada ją często nawet na koszulę z krawatem. – Taki jestem świr – mówi z rozbrajającą szczerością. Na kurtce przypinki z podobiznami (w tej kolejności): Inki, majora Łupaszki, Karskiego. – I jeszcze Fundacja Pro – Prawo do Życia – dodaje z dumą, wskazując na niewielki znaczek na drugiej klapie. Do tego zestawu dochodzi czarna czapka z daszkiem. Czasami zamiast niej wybiera staroświecki kapelusz. „Hipster-narodowiec" – śmiejemy się przed wyjściem.

Bawer Aondo-Akaa urodził się w 1985 r. Ojciec – Nigeryjczyk – przyjechał do Polski na studia. W Krakowie poznał jego matkę, a owocem tej krótkiej miłości był on. Pytam, czy ma żal do ojca, że ich zostawił. – Żalu nie mam, na co on miałby mi się przydać? To nie jest konstruktywne uczucie. Drążę dalej. – A złość? Wściekłość? – Tak, czasami czuję złość za to, co zrobił. Nawet nie wiem, gdzie teraz jest. Chyba żyje. – A chciałbyś go poznać? – pytam. Milczy.

Matka, którą bardzo kochał, umarła w 2011 r. Jak często podkreśla, wiarę i patriotyzm zaszczepili w nim dwaj wujkowie. To im zawdzięcza swój niezachwiany katolicyzm i przywiązanie do polskości. Gdy mówi o Polsce, to zawsze jako o „najjaśniejszej Rzeczypospolitej", gdy wymienia jakąś datę, to zawsze „rok Pański". Jak twierdzi, odkąd pamięta, był społecznikiem, a politycznie przebył drogę charakterystyczną dla niektórych „prawicowych kuców". Od Unii Polityki Realnej i zachwytu Januszem Korwin-Mikkem do Marka Jurka i Prawicy Rzeczypospolitej. – Byłem korwinowcem, ale się z tego wyleczyłem. Powiedziałem mu, że działa za mało skutecznie, brakuje mu pragmatyzmu.

Politycznie uważa się za ideowca, dlatego wybrał Marka Jurka, który imponuje mu bezkompromisowością w kwestii obrony życia poczętego. Tak samo jak ks. Dariusz Oko, od którego dowiedział się o zagrożeniu dla chrześcijaństwa, „które niesie ze sobą zachodni liberalizm". W pewnym momencie, gdy zbliżamy się już do Dworca

eprasa.pl 8d31aeab18

Głównego, mówi mi ze śmiechem, że gdyby chciał, to karierę w polityce by zrobił. – Miziają się do mnie różne partie. Myślę, że było już ich chyba z pięć. Dzwonią, proponują miejsce na listach, oferują sfinansowanie jakichś wyjazdów – opowiada. I kończy wątek polityczny jasną deklaracją: „Moje miejsce to Prawica Rzeczypospolitej". Polityka to służba i, jak kilka razy podkreśla to podczas naszej rozmowy, takie podejście się u niego nigdy nie zmieni. Pytam, dlaczego się nie wyprowadził do Warszawy; byłoby łatwiej. Nie zrobił tego, bo w Krakowie „czuć ducha polskości".

Krótko po tym, jak odeszła matka, Bawer poznał Grażynę. Była jedną z wolontariuszek w duszpasterstwie dla osób niepełnosprawnych KLIKA. To wspólnota działająca od lat u krakowskich dominikanów na ul. Stolarskiej. – Nie będę cię czarować. Od początku mi się podobała – przyznaje. Chemia była obustronna. Z zaręczynami nie czekał za długo. Oświadczył się rok później w sylwestra – jak twierdzi – dokładnie o godz. 23.30. – Rok wystarczy, dla przyzwoitości. Dzisiaj faceci za często zachowują się jak chłopaczki w za ciasnych majteczkach. Ja się ich pytam, ile czasu potrzebujecie, żeby się zdecydować? Rok za mało? A cztery lata? Wtedy już ją poznasz? A dwadzieścia lat? Nigdy do końca nie pozna się kobiety i dlatego jedna do końca życia wystarczy – przekonuje.

Piękny obrazek, ale teraz dodajmy do niego trochę życia, które przecież nie może być dla nich jedynie usłane różami i debatami o teologii. – Jak wygląda wasza codzienność? Nie macie czasami wszystkiego dość? – Marcin, kłócimy się z żoną i na siebie wrzeszczymy jak w każdym małżeństwie. Ale to zawsze mija – przekonuje.

NIE JESTEŚMY FASZYSTAMI

Rozmawiamy już półtorej godziny i to pytanie musi w końcu paść. – Dlaczego w ogóle jeździsz na Marsze Niepodległości? Nie masz wrażenia, że oni cię tam po prostu wykorzystują? Traktują jak maskotkę? „Patrzcie, Murzyn narodowiec!"

Bawer odpowiada od razu i zaczyna dłuższy wywód o tym, że Marsz Niepodległości to coś więcej niż tylko narodowcy. Dla niego to idea szerokiego środowiska patriotów, którzy manifestują pod różnymi sztandarami, a jeździ na niego z własnej woli i nie czuje się w żaden sposób wykorzystywany. – Mówisz o różnych sztandarach. A te o białej Europie? – drążę. – To idiotyzm, margines i hasła, którymi gardzę. Przecież od razu po słowach rzecznika Młodzieży Wszechpolskiej o Murzynie, który nie może być Polakiem, odciąłem się od tej organizacji. Nikt mi jednak nie powie, że Marsz Niepodległości jest rasistowski. A my jesteśmy nazistami. To kłamstwo – odpowiada.

Dlatego właśnie Bawer Aondo-Akaa, za pośrednictwem Instytutu Ordo Iuris, składa pozew przeciwko Guyowi Verhofstadtowi, który wszystkich 60 tys. uczestników marszu nazwał faszystami. Nie wiadomo, czy lider grupy liberalnej w europarlamencie nie zasłoni się immunitetem, ale Bawer twierdzi, że będzie zdeterminowany i zostaną rozpatrzone wszystkie opcje prawne, aby pociągnąć go do odpowiedzialności za znieważenie. – Przecież tego nie mówił facet spod budki z piwem, lecz były premier Belgii i europarlamentarzysta na forum unijnym. Musi brać odpowiedzialność za swoje słowa – przekonuje i po chwili namysłu dodaje: – Wiesz, co mnie naprawdę oburza? Rasiści byli marginesem na marszu i nie powinni się pojawić, ale co się działo kilka lat temu, pod osłoną państwa? Czekoladowy orzeł z różowymi balonikami miał być manifestacją nowoczesnego patriotyzmu. To jest dopiero kompromitowanie Polski – twierdzi. – Wiesz, śmieszą mnie próby przypinania mi łatki narodowca. Kogo ja mam na bluzie? Piłsudskiego czy Dmowskiego? – pyta.

Doktorat z teologii obronił w 2015 r. na Uniwersytecie Papieskim im. Jana Pawła II w Krakowie. Temat: „Naturalna i nadprzyrodzona rola i misja osób niepełnosprawnych w Kościele i społeczeństwie". – Tylko „Kościele" napisz wielką literą – upewnia się, czy dobrze zanotowałem. Pytam, tak po ludzku, jak dał sobie radę? Ja po pięciu latach doktoratu wymiękłem. Bawer nie czaruje. – To była praca nudna i żmudna. Musiałem się odłączyć prawie na rok od znajomych, a jestem bardzo towarzyską osobą.

Kilka razy podczas naszej rozmowy dziękuje żonie, którą zawsze nazywa Grażynką. Bez jej pomocy ten doktorat by po prostu nie powstał. – Wiem, że byłem wtedy dla niej bardzo irytujący – przyznaje. – W jakimś sensie jestem troglodytą emocjonalnym, jak już się w jakiejś pracy zakopię, zapominam, jak się komunikować – mówi, jak większość rzeczy, ze śmiechem. I sięga po metaforę ze Shreka. – Jestem jak cebula i ogr. Mam warstwy i żona niestety często musi się przez nie przebijać.

Pytam o to, co go pasjonuje poza polityką i teologią (ponoć teologiem chciał zostać już w przedszkolu). Na pierwszy ogień idą ulubione firmy i seriale. Bawer wylicza bez wahania: – „Gra o tron"… – tu mu przerywam: „Ale przecież tam tyle seksu i przemocy?". Wzrusza ramionami. – Życie – mówi i kontynuuje wyliczankę: „Władca pierścieni", „Pasja", „Forrest Gump". – A książki? – zagaduję. Przede wszystkim Chesterton. To jego największy, obok Tomasza z Akwinu, mistrz. Co rusz podczas rozmowy rzuca jakimś cytatem z jego dzieł. – Polecam każdemu „Źródła i mielizny".

Bawer lubi opowiadać, czego nauczył się od Chestertona. To spokój, opanowanie, szacunek do innych ludzi, nawet jeśli jego zdaniem są w błędzie. – Emocje w niczym nam nie pomagają, gdy chodzi o dyskusje. Co miałbym zrobić, rozmawiając ze zwolennikami mordowania nienarodzonych dzieci? Tylko krzyczeć albo się rozpłakać. Dlatego wolę na spokojnie, z szacunkiem. Każdy ma przecież niezbywalną godność ludzką – przekonuje. – Widziałem twoją rozmowę o aborcji z młodą uczestniczką Czarnego Protestu. Tak ją naciskałeś, że się w końcu rozpłakała i uciekła – mówię. Chwilę się zastanawia. – To nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażałem. Faktycznie miałem rozmawiać z kimś innym, ale to środowisko w ostatniej chwili zmieniło rozmówczynię na młodą dziewczynę, Olę. Ona nie była przygotowana. Stałem na uprzywilejowanej pozycji. Mam nadzieję, że nie byłem za ostry, ale może to coś w niej zmieniło? Może coś pękło? Przecież mówimy o życiu ludzkim. To nie może być łatwe i przyjemne.

MOCNE FUNDAMENTY

Unii Europejskiej i demokracji nie ceni. Jak sam wielokrotnie podkreśla, z przekonań jest po pierwsze dystrybucjonistą, po drugie republikaninem w ujęciu tradycji I Rzeczypospolitej, po trzecie piłsudczykiem. Wszystko jednak spaja i zwieńcza wiara w dziejową misję Kościoła.

Idziemy na peron. Pendolino za chwilę odjeżdża. – Uważasz się za radykała? – rzucam na odchodne. – Myślę, że to zależy od tego, kto na mnie patrzy – odpowiada. – Dla tradycjonalistów i zwolenników mszy trydenckiej jestem miękki jak jakiś lewak, zakochany w papieżu Franciszku. Z kolei dla wszystkich innych muszę wyglądać jak ultrakonserwatysta. Gdy piszą o mnie lewicowe media, to zawsze z tym głupim przymiotnikiem „ultra". A ja po prostu wiem, co jest fundamentem mojej wiary, ale co do polityki, zakładam, że mogę się mylić. To chyba zdrowe, prawda?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Katarzyna Lubnauer po objęciu przywództwa w Nowoczesnej jest przez część lewicowych komentatorów krytykowana za „rozbijanie jedności opozycji" FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Kto kogo, czyli powrót Lenina

Rafał A. Ziemkiewicz

W walce z PiS opozycja totalna wyznaje zasadę, że nie ma złych chwytów. W tej wściekłości nie zauważa, że ataki na oślep najbardziej szkodzą atakującym

Odwołanie Ryszarda Petru z funkcji przewodniczącego Nowoczesnej było intrygą mściwych bab, szukających zemsty za to, że faworyzował jedną z nich kosztem pozostałych. Swoje odegrało tu przekupstwo, „kipiące ambicje" i – jak to u bab – emocjonalne rozedrganie. Zanim czytelnik zadzwoni z donosem na jakąś „niebieską linię", wyjaśniam od razu, że tezy te tylko cytuję, i to ze źródła, z którego swego czasu płynęła najczystsza feministyczna ortodoksja oraz gromkie wyrazy potępienia dla krzywdzących kobiety stereotypów – z Lisowego tygodnika „Newsweek", i to z artykułu okładkowego. Na dodatek ich autorką jest dziennikarka, która do Lisa przyszła z samego jądra postępu, z „Gazety Wyborczej" – Renata Grochal.

Katarzyna Lubnauer nienawidzi się z Kamilą Gasiuk-Pihowicz, ale się z nią dogadała na gruncie wspólnej niechęci do Ryszarda Petru. Gasiuk-Pihowicz bowiem też nienawidzi Petru. Pewnie za to, że tak wiele mu zawdzięcza – wziął ją do swojej partii, choć właściwie to chciał jej męża, ale ten nie chciał, przysłał żonę – a potem, gdy mąż zawalił rozliczenia, dał się zmiękczyć łzom Kamili i go z partii nie wylał, a nawet poręczył jego długi. Lubnauer jednak przekupiła ją obietnicą stanowiska szefowej klubu parlamentarnego partii. Gasiuk-Pihowicz z kolei nienawidzą w partii wszyscy, bo nikogo nie słucha, na wszystkich krzyczy i myśli tylko o sobie. I Lubnauer, i Gasiuk-Pihowicz nienawidzą się też z wzajemnością z Joanną Schmidt, która w ogóle jest wściekła, że wygryzły ją z wiceprzewodniczącej, i w ogóle, że wszyscy widzą w niej tylko „partnerkę" Ryszarda, a ona ma przecież swoje osiągnięcia zawodowe. Inne kobiety z partii – nie tylko wymienione z nazwisk – nie lubią jej za wyjazd z szefem na Maderę, kiedy to bynajmniej „nie stanęły w jej obronie", jak by nakazywała kobieca solidarność, tylko wręcz przeciwnie.

Aha: „W Nowoczesnej nazywają Gasiuk-Pihowicz Zybertowiczem w spódnicy, bo wszędzie wietrzy spiski". A w istocie to ona sama nakręciła spisek, bo do ostatniej chwili obłudnie z Lubnauer zapewniały szefa, że wszystko jest super i dogadane, w tajemnicy obdzwaniając członków partii i namawiając ich do głosowania przeciwko niemu. Dlatego Lubnauer zdaje sobie sprawę, z jaką

eprasa.pl 8d31aeab18

żmiją się sprzymierzyła (ta „żmija" to już nie cytat, tylko moje streszczenie), nie ufa chwilowej sojuszniczce, ale – jak mówi – „w polityce, tak jak w życiu, zawsze ogląda się za siebie".

A Ryszard Petru jest biedny i zdradzony. Wredny babiniec złamał mu karierę i zmarnował cały dotychczasowy dorobek.

LISIE SZTUCZKI

Streszczam nieco złośliwie, ale naprawdę uczciwie. W organie środowiska, które swego czasu zapewniało niezliczoną ilość razy, że obecność kobiet w polityce to wartość, że kobiety niezmiernie ją ucywilizują i tak dalej, spod pióra postępowej dziennikarki leje się obrzydliwa mizoginia i seksistowskie stereotypy – Katarzyna knuje i intryguje, Kamila zadziera nosa i węszy spiski, Joanna „wścieka się", zazdrość, zawiść, histeria… Dlaczego tak?

Jest tylko jedno logiczne wyjaśnienie: dlatego że misją „Newsweeka" jest bronić „jedności opozycji". Kto tę jedność rozbija – a przez wyszydzony w „Newsweeku" babiniec „partia podzieliła się na pół" – tego trzeba zniszczyć, i nie ma wtedy złych chwytów, są tylko nieskuteczne. Mówimy przecież o tygodniku, który swego czasu zdemaskował PiS-owskiego kandydata na prezydenta jako człowieka żonatego z Żydówką, bo naczelnemu, od lat insynuującemu prawicy antysemityzm, wydawało się, że właśnie w ten sposób najskuteczniej go w oczach własnego elektoratu zdezawuuje.

Że publicystyką „Newsweeka" rządzi tylko ta jedna zasada, kolejnym dowodem inny tekst z tego samego numeru: Cezary Michalski atakuje w nim z furią środowiska lewicowe, za to, że są PiS-owskie. Może nie są PiS-owskie – by użyć miłych zapewne Michalskiemu narzędzi dialektycznych – „subiektywnie", bo wydaje im się, że PiS zwalczają, ale są PiS-owskie obiektywnie, bo głosząc rzeczy sprzeczne z „głównym nurtem" opozycji totalnej, uprawiają „szkodnictwo".

Wrogami Michalskiego są już więc nie tylko byli koledzy z prawicy, których od czasu dokonanej przed laty zmiany barw szczerze nienawidzi; wyznawał nawet, że czeka na ich śmierć. Wrogami stali się także ci, do których wtedy uciekł – środowiska lewicowe, Adrian Zandberg, Rafał Woś, Marcelina Zawadzka czy Jan Śpiewak. Wszystkich ich ustawia w jednym szeregu z Kaczyńskim, Ziobrą i Jakim, jako linijki do wyznaczenia tego szyku używając liberalizmu w wersji magdalenkowo-balcerowiczowskiej, czyli nie jako idei państwa przyznającego wszystkim równe szanse, tylko państwa, w którym bogatszy (tu zwany klasą średnią, wbrew utartemu sensowi tego pojęcia) może zrobić z mniej bogatym, co chce – albowiem w ten sposób osiąga się darwinistycznie usprawnienie i wzbogacenie państwa jako całości.

Jak to zwykle u autora obracającego się wyłącznie wśród abstraktów teoretycznie wszystko się zgadza. Podnosząc rękę, np. na handlarzy roszczeń i złodziei kamienic, PiS „przy oklaskach Jana Śpiewaka" ustala „kto ma prawo zachować w Polsce własność, a kto ją utraci" – gdy tymczasem własności raz zrabowanej elity III RP oddawać nie powinny już nigdy. Jeśli to się działaczom lewicowym nie podoba, jeśli swym sprzeciwem wobec złodziejstwa i wyzysku legitymizują działania PiS niszczące dotychczasowy porządek społeczny, który trzymał Kaczyńskiego i PiS z dala od władzy, tym gorzej dla nich!

Michalski jest może przypadkiem szczególnym, trudno za nim nadążyć – był już w swej karierze anarchistą, żarliwym na pokaz katolikiem i apologetą Jana Pawła II, „konserwatywnym modernizatorem", lewakiem z „Krytyki Politycznej" – u Lisa stał się piewcą pomagdalenkowego „pragmatyzmu", ale nikogo zapewne nie zdziwi, jeśli pewnego dnia zobaczymy go obok Mariana Kowalskiego albo w Narodowym Odrodzeniu Polski. Jego wściekły atak na środowiska, które można by nazwać „ideową" lewicą, niewywodzące się z układu interesów i wpływów zbudowanego przez „właścicieli" PRL, tylko temperaturą emocjonalną różni się jednak od dusznych rozterek wobec warszawskiej reprywatyzacji, którym dawał publicznie wyraz Sławomir Sierakowski – z jednej strony, ograbienie przez uprzywilejowaną sitwę miasta i bezbronnych lokatorów to zło, ale z drugiej strony, ściganie takich nadużyć osłabiające władzę służy PiS, a to też zło, więc które zło jest większe? Sierakowski tego dylematu jednoznacznie rozstrzygnąć nie umiał, ale Michalski i jego protektor nie mają wątpliwości. Przeciwko PiS godzi się chwalić każde świństwo i użyć każdego, najbrudniejszego chwytu, bo odsunięcie PiS od władzy jest samo w sobie celem nadrzędnym.

Oczywiście te przykłady z „Newsweeka" to tylko pars pro toto. Kampanię potępienia dla „symetrystów", jak w mowie opozycji totalnej nazwani zostali ci, którzy dostrzegają jakiekolwiek zło w „ćwierćwieczu wolności" czy obecnej „opozycji totalnej" (jedyny wyjątek to krytykowanie jej za to, że nie umiała należycie chwalić się swymi oczywistymi sukcesami i nie przewidziała, że PiS może być aż tak perfidny, podły i bezwzględny), rozpoczął swego czasu bratni tygodnik „Polityka", a zwyczaj sięgania bez żenady po te same argumenty, które w innych sytuacjach były z oburzeniem deprecjonowane, jest stary jak media III Rzeczypospolitej – niedoścignionym jeszcze na długo wzorcem pozostanie tu „Gazeta Wyborcza", która – na przemian – jednego dnia gromi Kościół za wtrącanie się w politykę i popieranie PiS, a drugiego zachwyca się politycznymi wypowiedziami biskupa Pieronka i wzywa Kościół do angażowania się w walkę z rządem PiS.

Obecnie jednak, gdy nawet ostry wizerunkowy kryzys partii rządzącej, nie wspominając o intensywnej pomocy zagranicznej, nie są w stanie pomóc opozycji w ściągnięciu pod swe sztandary jakiejś zauważalnej grupy zwolenników, wściekłość, z jaką antypisowska propaganda sięga po wszystko, czym tylko może uderzyć w PiS, nawet nie zauważając, że bardziej i skuteczniej uderza w siebie, mamy już chyba do czynienia z czymś więcej niż „kalizm", do którego media liberalne od dawna nas przyzwyczaiły.

STALIN ZBŁĄDZIŁ

To już raczej stan całkowitej desperacji, każący otwarcie przyznać, że w istocie nie chodzi tu o nic więcej niż o Leninowskie „kto kogo". Już obojętne, pod jakim hasłem, w imię czego, przeciwko czemu. Gdyby mogło to przynieść upragnione ocalenie od PiS, Tomasz Lis gotów byłby stać się gorliwym wyznawcą o. Rydzyka albo zatrudnić do pisania politycznych analiz zamiast Cezarego Michalskiego dr. Jerzego Targalskiego.

O ile więc – okazuje się – Lenin miał rację, że liczy się tylko „kto kogo" – o tyle Stalin zbłądził. Ponieważ walka klas, jak teraz widzimy, zaostrza się nie w miarę zwycięstw sił postępu, lecz w miarę, jak coraz głębiej się one pogrążają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. MICHAŁ GROCHOLSKI/AGENCJA GAZETA

Śmierć w walce

Radosław Wojtas

Bandyta podjął samobójczą walkę z antyterrorystami i zabił jednego z nich. Czy policja popełniła błędy?

Czy tej śmierci można było uniknąć? Zawiodło rozpoznanie czy popełniono błędy podczas akcji? Śmierć policyjnego antyterrorysty podczas zatrzymania na gorącym uczynku bandytów okradających bankomat w Wiszni Małej pod Wrocławiem przypomniała opinii publicznej o szturmie w podwarszawskiej Magdalence, najkrwawszej akcji polskiej policji. Czy z tragedii w 2003 r. wszyscy wyciągnęli lekcję?

STRZAŁY Z KONTENERA

Notowani już wcześniej przez policję przestępcy wzięli na cel bankomat stojący w kontenerze w Wiszni Małej, miejscowości sąsiadującej z północną częścią Wrocławia. Policja o tym wiedziała i przygotowała zasadzkę. Zakładano, że złodzieje będą chcieli wysadzić urządzenie.

Do zatrzymania przestępców skierowano wrocławskich antyterrorystów. Kiedy dwie drużyny AT, czyli łącznie 12 policjantów, przystępowały do akcji, jeden ze złodziei był w bankomatowym kontenerze. Policjanci utworzyli bojowy szyk. Na pierwszej linii szedł funkcjonariusz trzymający ważącą ponad 30 kg tarczę balistyczną, która idącym za nim gęsiego pozostałym antyterrorystom miała zapewnić ochronę w razie ostrzału. Gdy grupa zbliżyła się do kontenera, bandyta otworzył ogień z kałasznikowa. Strzelał z bardzo bliska, z odległości nieco ponad metra. Antyterrorysta przyjął na tarczę serię sześciu pocisków, a sam został ranny w udo. Opuścił tarczę. Kolejne kule dosięgnęły jego kolegów. Antyterroryści odpowiedzieli ogniem. Przestępca zginął. Ranił jednak czterech funkcjonariuszy. Jednego śmiertelnie.

Drugi złodziej, który czekał w samochodzie, poddał się bez walki. Aresztowano też kolejnego mężczyznę, który współpracował z pozostałą dwójką, ale nie był obecny na miejscu.

LEKCJA Z MAGDALENKI

W mediach natychmiast pojawiły się zarzuty wobec policjantów. Były szef UOP Piotr Niemczyk twierdził, że mogło zawieść rozpoznanie, a policja miała przed akcją za mało informacji. A portal GazetaWrocławska.pl podał, że policjanci zamiast od razu odpowiedzieć ogniem, próbowali obezwładnić uzbrojonego w kałasznikowa bandytę paralizatorem.

Policja prostowała, że odpowiedziano ogniem natychmiast. – Policjanci nie są szkoleni, żeby zabijać, policjanci są szkoleni, żeby zatrzymywać sprawców, wyrządzając jak najmniejszą krzywdę – tłumaczył też w TVN szef Komendy Głównej Policji nadinsp. Jarosław Szymczyk. Przyznał, że paralizator najprawdopodobniej został użyty, ale nie jest tak, że wobec strzelającego napastnika antyterroryści najpierw muszą użyć innych środków, by móc odpowiedzieć ogniem. W zespole każdy ma inną funkcję do spełnienia, grupa była więc przygotowana i na to, że w kontenerze zastaną napastnika uzbrojonego np. tylko w nóż. – W momencie, kiedy pada strzał, każdy wykorzystuje ten środek, którym w danym momencie dysponuje – mówił Szymczyk.

Szefostwo polskiej policji i MSWiA zapewniło, że nie dopatruje się błędów w działaniu policjantów, a wszystkie procedury zostały zachowane, choć akcja będzie jeszcze dokładnie badana. Portal Tvp.info, powołując się na źródło w Komendzie Głównej Policji, podał, że w szyku idącym do kontenera był strzelec wyborowy (który powinien działać z daleka) i policjant operacyjny. Według informacji portalu to właśnie snajper zginął podczas akcji.

– Łatwo jest oceniać sytuację po działaniach, natomiast na etapie planowania, gdzie są pewne niewiadome, nie jesteśmy w stanie wszystkiego przewidzieć – mówi „Do Rzeczy" gen. Roman Polko. – Takim przykładem jest akcja GROM

eprasa.pl 8d31aeab18

w Umm Kasr [akcja zdobycia platformy naftowej w Iraku w 2003 r. – przyp. red.]. Okazała się sukcesem, którym do tej pory się chwalimy, ale i tam popełniliśmy wiele błędów. Na szczęście nie spowodowały one strat wśród żołnierzy. Decyzje podejmuje się w ułamku sekund – opowiada.

Podobnie wiele komentarzy na temat pracy policji pojawiło się po głośnej akcji w Magdalence w 2003 r., kiedy podczas szturmu na dom, w którym ukrywało się dwóch bezwzględnych morderców, od bomby pułapki zginęło dwóch antyterrorystów. 16 funkcjonariuszy zostało wtedy rannych.

Krwawa bitwa policji z bezwzględnymi mordercami pociągnęła za sobą decyzje polityczne – zmiany systemowe i doposażenie jednostek specjalnych, m.in. w nową broń automatyczną i pojazdy opancerzone. – Myślę, że i media wyciągnęły wnioski z Magdalenki. Na szczęście teraz nie powtórzyła się sytuacja z 2003 r., kiedy głupie wypowiedzi pseudoekspertów doprowadziły do tego, że dzielni funkcjonariusze z Magdalenki przez ponad 10 lat tłumaczyli się przed sądem – mówi gen. Polko. Oskarżonych po akcji w Magdalence w końcu uniewinniono. Sąd uznał, że akcję przy posiadanych siłach i środkach przeprowadzono „optymalnie".

Jak zapewnia mł. insp. Mariusz Ciarka, rzecznik komendanta głównego policji, polskim jednostkom specjalnym policji nie brakuje dziś ani sprzętu, ani wyszkolenia. Tragedie, takie jak ta spod Wrocławia, choć ich ryzyko jest wpisane w ten zawód, zdarzają się na szczęście bardzo rzadko. – Niemal każdego dnia na terenie Polski gdzieś oddział antyterrorystyczny podejmuje działania – mówi „Do Rzeczy". – Kiedy akurat nie przeprowadzają żadnej realizacji, ich praca polega na nieustannych ćwiczeniach. Po to, by mieć wyuczoną tzw. pamięć mięśniową, by w takich sytuacjach jak w Wiszni Małej nie spanikować. Kiedy policjant z tarczą został ranny, pozostali policjanci wykonali swoje zadanie, nie rozpierzchli się, otworzyli ogień – podkreśla.

Od 1990 r. na służbie zginęło pięciu funkcjonariuszy jednostek specjalnych. Oprócz poległych w Wiszni Małej i podczas akcji w Magdalence zginęli też jeden pirotechnik i jeden płetwonurek. – Polscy antyterroryści to naprawdę wyśmienici fachowcy, należący do grupy zadaniowej Atlas, zrzeszającej grupy kontrterrorystyczne w UE. Jesteśmy w jej zarządzie i prowadzimy w jej ramach forum snajperów – dodaje mł. insp. Mariusz Ciarka.

DRUGIE ŻYCIE MORDERCY

Policjanta w Wiszni Małej zastrzelił Łukasz W., znany policji z działalności w grupie przestępczej. Był podejrzewany o okradanie bankomatów, według informatora Tvp.info na miejscu jednej z kradzieży znaloziono nawet jego krew, ale – jak powiedziało źródło portalu – „dla prokuratury było to jednak za mało, by go zwinąć".

Fakt24.pl ujawnił, że Łukasz W. kilka lat temu po wypadku motocyklowym zbierał pieniądze na swoją rehabilitację. „Czarny", jak na niego mówiono w środowisku motocyklistów, cudem uszedł z życiem, ale był przykuty do łóżka. „Chcę, by życie miało jeszcze tak cudowny smak jak kiedyś" – miał pisać, prosząc o wpłaty. Rehabilitacja pomogła mu wrócić do pełni sił.

Teraz wparcia potrzebuje rodzina jego ofiary. Wrocławski antyterrorysta osierocił dwoje dzieci. Premier Beata Szydło przyznała renty specjalne dla nich i dla żony zabitego 40-letniego policjanta. Pomoc rodzinie zmarłego i rannym obiecała też policja. Dolnośląski związek zawodowy policjantów organizuje także zbiórkę publiczną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

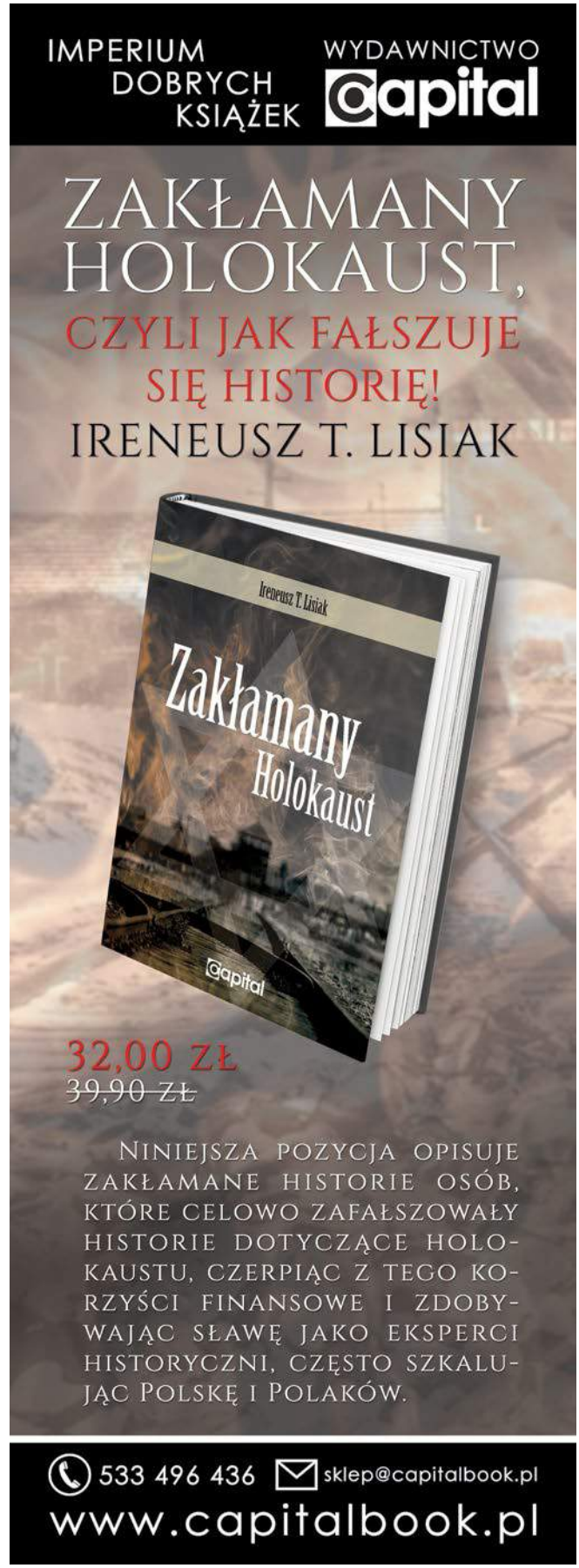

eprasa.pl 8d31aeab18

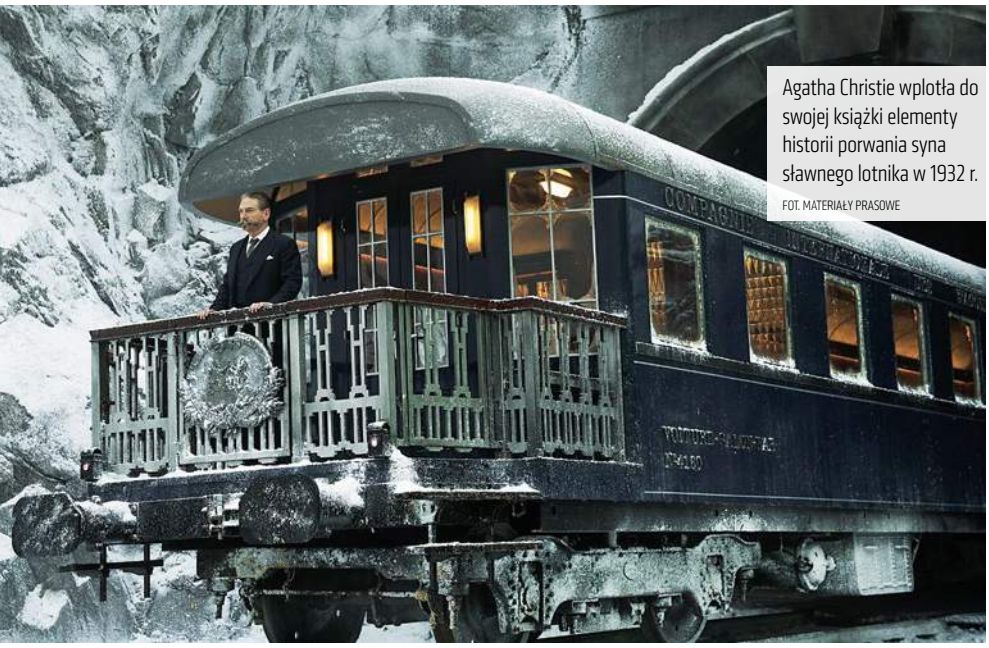

Agatha Christie wplotła do swojej książki elementy historii porwania syna sławnego lotnika w 1932 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Druga podróż Poirota

Wiesław Chełminiak

Agatha Christie nie pochwaliłaby nowej ekranizacji „Morderstwa w Orient Expressie". Hollywood niewiele wzbogacił kolejną wersję

Od lewej: Daisy Ridley, Olivia Colman i Judi Dench

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zakończywszy w Syrii „małą robótkę", która „ocaliła honor Francji", Hercules Poirot o świcie wsiada w Aleppo do „Taurus Expressu", by już następnego popołudnia dotrzeć do Stambułu. Korzystając z nadarzającej się okazji, „prawdopodobnie najlepszy detektyw świata" chce zwiedzić byłą stolicę otomańskiego imperium. Niestety, pilny telegram wzywa go do Londynu. Nie zwlekając, rezerwuje miejsce w „Orient Expressie". W pierwszej klasie, którą belgijski geniusz zwykł podróżować, brakuje wolnych miejsc, lecz od czegóż są znajomi…

W nocy pociąg ugrzęźnie w śniegu, zaś rankiem jeden z pasażerów zostanie znaleziony martwy w przedziale zamkniętym od środka. Dla Poirota to gratka, już zaczynał się nudzić. Przesłucha 12 podejrzanych (nie licząc konduktora), odkryje, że wszyscy kłamią, ale rozwiązanie zagadki jak zwykle podsunie mu intuicja.

KRÓL POCIĄGÓW, POCIĄG KRÓLÓW

W latach 30. Agatha Christie była w szczytowej formie. W tym samym roku co „Morderstwo w Orient Expressie" światło dzienne ujrzały: powieść kryminalna „Dlaczego nie Evans?" (tym razem Poirota wyręczyła para detektywów amatorów), dwa zbiory opowiadań i książka „Niedokończony portret", wydana pod nazwiskiem Mary Westmacott. Autorka rozliczała się w niej z panem Christiem, którego po rozwodzie nie chciała już więcej oglądać na oczy. Jak łatwo zgadnąć, pisząc pod pseudonimem, pozwoliła sobie na większą szczerość niż w oficjalnej autobiografii.

Powieść o zbrodni w „Królu Pociągów" zadedykowała „pamięci Arpaczija". Miała na myśli stanowisko archeologiczne niedaleko Mosulu, gdzie jej drugi mąż, Max Mallowan, prowadził wykopaliska dla British Museum. Agatha pomagała mu, jak umiała: prowadziła notatki, katalogowała i własnoręcznie czyściła oblepione gliną artefakty. Podróżując do Iraku, trzeba było przesiadać się w Stambule. Tam właśnie, w jednym z hoteli, Christie zaczęła pisać „Morderstwo w Orient Expressie".

Słynny pociąg już od półwiecza był symbolem nowoczesności połączonej z arystokratycznym luksusem. W jego składzie znajdowały się kuchnia, restauracja i wagony sypialne. Gdy w 1883 r.

www.DORZECZY.PL

po raz pierwszy przemierzał trasę Paryż – Konstantynopol, był jedynym środkiem transportu łączącym dwa krańce Europy. Rozwijał przy tym zawrotną prędkość 80 km/godz. Trasę z francuskiej stolicy przez Monachium, Wiedeń, Budapeszt i Bukareszt nad Bosfor pokonywał w 67 godzin.

Reputację „Titanica" na szynach umacniali jego pasażerowie: koronowane głowy, politycy, obrzydliwie bogaci kupcy i przemysłowcy, słynni artyści. Czasem tylko w posiadanie biletów udało się wejść wykolejeńcom, takim jak Lew Trocki czy Margaretha Geertruida Zelle, lepiej znana pod scenicznym pseudonimem Mata Hari. Agatha Christie kilka razy korzystała z usług spółki International Wagon-Lits Company. W grudniu 1931 r. na granicy turecko-greckiej pociąg zaliczył nieplanowany postój, bo tory zostały podmyte przez gwałtowną ulewę.

Konduktor opowiedział pisarce, że kiedyś stali w tym miejscu trzy tygodnie. Możliwe, że zmyślał, ale dwa lata wcześniej zdarzyło się, że „Orient Express" miał sześciodniowe spóźnienie z powodu burzy śnieżnej, która zaskoczyła go w Turcji. Tym razem problem rozwiązano sprawnie. Podróżni musieli jednak odbyć kilkukilometrowy spacer, by przesiąść się do innego składu, w którym nie było wody, jedzenia ani przedziałów sypialnych. Do celu dotarli z dwudniowym poślizgiem. Najpoczytniejsza autorka wszech czasów nie zmarnowała okazji – pilnie obserwowała reakcję międzynarodowego towarzystwa na kryzysową sytuację. Portrety współtowarzyszy niedoli, poddane niewielkim retuszom, stworzyły galerię bohaterów powieści.

POMYSŁ GODNY IDIOTY

Współcześni literaci często czerpią natchnienie z mediów. Nie inaczej było w czasach Agathy Christie. Wiosną 1932 r. światowa prasa rozpisywała się o porwaniu półtorarocznego syna idola Ameryki, Charlesa Lindbergha. W pozostawionym liście kidnaperzy zażądali 50 tys. dol. Chociaż sławny lotnik zapłacił okup, to dziecka nie odzyskał. Jak się potem okazało, zabito je zaraz po porwaniu. Pokojówka Lindberghów, podejrzana o współudział w zbrodni, popełniła samobójstwo. Dopiero po dwóch latach policja aresztowała domniemanego porywacza. Niemiecki stolarz, Bruno Hauptmann, zapłacił pieniędzmi z okupu na stacji benzynowej w Nowym Jorku. Skończył na krześle elektrycznym, choć dzisiaj wielu autorów skłania się do tezy, że był niewinny.

Agatha Christie, pisząc powieść, nie mogła znać zakończenia tej ponurej historii, lecz wplotła ją w fabułę, z drobnymi tylko zmianami. Epilog tragedii Lindberghów, nazywanych tutaj Armstrongami, ma miejsce w pociągu, bo ograniczona przestrzeń dodaje intrydze pieprzu. Rok później pisarka powtórzyła ten zabieg w powieści „Śmierć w chmurach". Tym razem pasażerka ginęła na pokładzie samolotu. „Śmierć na Nilu" i „Dziesięciu Murzynków" to kolejne przykłady fabuł z zamkniętym kręgiem podejrzanych.

„Aby rozwiązać zagadkę, należy wygodnie rozsiąść się w fotelu i pomyśleć" – mawiał Hercules Poirot. Szarady, które wymyślała dla niego Królowa Kryminału, z upływem czasu stawały się coraz bardziej cudaczne. Kiedy została przekroczona granica zdrowego rozsądku? Raymond Chandler uznał, że właśnie w 1933 r. „Tylko idiota mógł wpaść na

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
Radio złoteprzeboje
wprost Do Rzeczy VIVA! URODA flesz Party Gitarzysta
Gazeta Bankowa Multikino empik 4GOLD Press Service Vixon Store cgm.pl onet

eprasa.pl 8d31aeab18

Największej transformacji w nowym filmie uległa postać detektywa – Herculesa Poirota FOT. MATERIAŁY PRASOWE

taki pomysł" – skomentował „Morderstwo w Orient Expressie". Zdaje się, że tym idiotą był Max Mallowan, bo to on podsunął żonie prostą, choć przewrotną puentę. Trzeba przyznać, że angielski archeolog przewidział przyszłość. Motyw krwawej zemsty i spiskowe teorie rządzą dzisiejszym kinem i literaturą.

Staroświecka powieść Agathy Christie wydaje się niepokojąco współczesna również z innego powodu. Gdy „Król Pociągów" wyruszał w dziewiczą podróż, twórcy mieli pod górkę. Wymagano od nich, by swymi dziełami nie siali zgorszenia. Pochwała samosądu i moralny relatywizm też nie wchodziły w grę. Autorce „Pułapki na myszy" przyszło żyć w epoce przejściowej. Wojny i rewolucje uważała za dopust boży. Deklarowała się jako zwolenniczka kary śmierci dla morderców. W jej utworach granica między dobrem i złem bywała jednak płynna. Możliwa była nawet sytuacja, że zbrodniarz unikał kary, gdyż był człowiekiem godnym szacunku, zaś ofiara – wręcz przeciwnie.

WĄSY DO POPRAWKI

Christie, delikatnie mówiąc, nie ceniła filmowych adaptacji swej prozy. Trzeba było wielu podchodów, łącznie z protekcją członków rodziny królewskiej, by wyraziła zgodę na ekranizację „Morderstwa w Orient Expressie". Film, wyreżyserowany przez Sidneya Lumeta na fali mody retro, przypadł do gustu krytykom i publiczności. W 1974 r. był najchętniej oglądaną brytyjską produkcją. Chwalono scenografię, kostiumy i muzykę, lecz kluczem do sukcesu okazał się casting. W wagonie Stambuł – Calais podróżowały same znakomitości: John Gielgud, Sean Connery, Michael York, Anthony Perkins, Richard Widmark, Vincent Cassel, Lauren Bacall, Vanessa Redgrave, Jacqueline Bisset oraz Ingrid Bergman. Ta ostatnia otrzymała za rolę szwedzkiej misjonarki trzeciego w swej karierze Oscara.

Amerykanie, decydując się na wyprodukowanie nowej wersji, nie chcieli być gorsi. Negocjacje z Angeliną Jolie zakończyły się fiaskiem, lecz udało się pozyskać Judi Dench, Michelle Pfeiffer, Johnny'ego Deppa, Willema Dafoe i Penélope Cruz, która zagrała hiszpańską misjonarkę. Kilku innym postaciom też zmieniono pochodzenie: włoski biznesmen stał się Kubańczykiem, grecki lekarz – Afroamerykaninem. Intro zamiast w Syrii ma miejsce w Jerozolimie. Do fabuły dołożono prostytutkę, mordobicie, kilka scen akcji i efektownych ujęć. Jak na hollywoodzkie standardy niewiele.

Największej transformacji uległ główny bohater. Nowe „Morderstwo w Orient Expressie" to one-man show. Reżyser Kenneth Branagh nie zapanował nad aktorem Kennethem Branaghem. Powieściowy Poirot był karykaturą Francuza (o Belgach pisarka miała nader mizerne pojęcie). Emerytowany policjant, bystry, lecz próżny sybaryta łasy na słodycze. Fizycznie jest przeciwieństwem Sherlocka Holmesa: stary, niski i gruby. Jajowata głowa, którą zwykł przechylać w jedną stronę, sterczące do góry, przyczernione wąsy oraz miłość do lakierków i garniturów czyniły z Herculesa postać na wpół komediową. Łatwo było go zlekceważyć i niejeden złoczyńca fatalnie na tym wyszedł.

★★★☆☆☆

REŻ. KENNETH BRANAGH
„MORDERSTWO W ORIENT EXPRESSIE" („MURDER ON THE ORIENT EXPRESS")
USA 2017
wyst. Kenneth Branagh, Judi Dench, Johnny Depp

Albert Finney, wypomadowany Poirot z 1974 r., mniej więcej odpowiadał temu opisowi. Pisarka uznała jednak, że aktora dyskwalifikują wąsy, niegodne genialnego detektywa. O wąsach Branagha byłaby pewnie jeszcze gorszego zdania, lecz wygląd to pół biedy. Gorzej, że Irlandczyk nie ma za grosz poczucia humoru i postanowił upodobnić Herculesa do zżeranego skrupułami komisarza Wallandera, w którego jakiś czas temu wcielił się na zamówienie telewizji.

Przykro patrzeć, jak belgijski śledczy traci pewność siebie, układa list do nieboszczyka i dochodzi do wniosku, że w swoim życiu za mało kierował się sercem, a za bardzo rozumem. I jak wzdycha do fotografii jakiejś Katherine, a przecież wiemy z książek, że kobietą życia Poirota była ekstrawagancka hrabina Vera Rossakoff, awanturnica i złodziejka. Indagowany przyznał kiedyś, że kochał piękną Angielkę, która niestety nie umiała gotować. Możliwe jednak, że kłamał, tak jak w kwestii swych sióstr i braci, o których lubił opowiadać niestworzone historie.

W nowym „Morderstwie w Orient Expressie" narcyzm aktora potęguje narcyzm postaci. Tam, gdzie Agatha znacząco milczy, Kenneth wygłasza natchnione tyrady. No cóż, to już nie ten sam człowiek, który odkrył Szekspira dla nowego pokolenia widzów. Branagh Anno Domini 2017 to hollywoodzki najemnik. Ostatnie wyreżyserowane przez niego filmy to komiksowy „Thor", akcyjniak „Jack Ryan: Teoria chaosu" i przeróbka disnejowskiego „Kopciuszka". Wieść niesie, że wkrótce znów przylepi wąsy, by zagrać w „Śmierci na Nilu". Oby z lepszym skutkiem, choć po prawdzie nie dbam o to. Dla mnie Poirot chyba już na zawsze będzie miał twarz Davida Sucheta.

Gdy wychodziłem z kina, przypomniała mi się wystawa poświęcona podróżniczym i naukowym pasjom Królowej Kryminału. Jednym z eksponatów była makieta przedziału „Orient Expressu". W łazience wisiał szlafrok, wykorzystany w filmie z 1974 r. Kiedy ciekawski zwiedzający próbował zajrzeć do środka przedziału, gasło światło, zaś powietrze przeszywał krzyk przerażenia. Z tego, co pamiętam, kobiecy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Prezentowe inspiracje

Najważniejsze znajdziesz w środku

& tylko w empiku

~~39,99~~ **29,99** oprawa miękka

Komedia świąteczna
Victoria Alexander

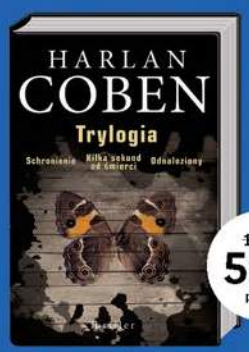

& tylko w empiku

~~103,00~~ **59,90** pakiet

Trylogia: Schronienie / Kilka sekund od śmierci / Odnaleziony
Harlan Coben

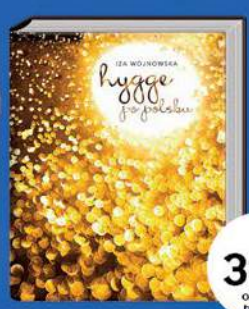

& tylko w empiku

39,99 oprawa twarda

Hygge po polsku
Iza Wojnowska

empik

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**

eprasa.pl 8d31aeab18

Sat-Okh
FOT. DANIEL PACH/FORUM

Z Dariuszem Rosiakiem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Blada twarz Indianina

FOT. DANIEL PACH/FORUM

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Sat-Okh, alias Stanisław Supłatowicz, niczym baron Münchhausen wymyślił sobie życiorys?

DARIUSZ ROSIAK: Po napisaniu książki przyszło mi do głowy inne porównanie. Z Nikodemem Dyzmą. Mamy nieco pogardliwy stosunek do tej postaci, po trosze nieudacznik i ciemny typ, ale nie o ten element mi chodzi. Dyzma mógł istnieć dlatego, że był bardzo potrzebny. Sam siebie nie wymyślił, został wykreowany. Sat-Okh też był w bardzo dużym stopniu produktem naszych oczekiwań, całkowicie naturalnych i pięknych. Żeby istniał świat, w którym dobro zwycięża, króluje wolność, natura i człowiek żyją w symbiozie, drzewa mówią, kamienie mają duszę, a nad wszystkim czuwa Wielki Manitou. I Sat-Okh nam to wszystko dawał. Najpierw dzieciakom czytającym jego książki czy oglądającym go w „Ekranie z bratkiem", a potem dorosłym, którzy naprawdę przychodzili do niego z pytaniem: jak żyć? Między innymi dlatego jego legenda przetrwała. Dlatego też, tak sądzę, nikt nie kwestionował jego tożsamości. Nawet jeżeli istniały wątpliwości, to on nic złego nikomu nie zrobił, po co zatem było burzyć tak piękny i pożyteczny mit.

Był synem katorżnika z PPS-owskim rodowodem czy wodza Szewanezów, spotkanego przez matkę zbiegłą z Syberii do Ameryki Północnej?

Ucieczkę matki na Alaskę – via Czukotka, a potem po lodzie przez Cieśninę Beringa – można włożyć między bajki. Że nie był synem wodza, także jest pewne. Urodził się najprawdopodobniej w roku 1925 w syberyjskiej osadzie Aleksiejewka. Tak figuruje w metryce chrztu, który miał miejsce trzy lata później w Radomiu. Widnieje tam jako syn małżeństwa Stanisławy i Leona Supłatowiczów. Ten ostatni od trzech lat już nie żył, więc Sat-Okh albo przyszedł na świat jako pogrobowiec, albo urodził się z innego ojca. Stanisława Supłatowicz była już wtedy grubo po czterdziestce, to niebezpieczny wiek na pierwszą ciążę. Nie można wykluczyć, że nie była jego matką biologiczną.

Czyli rodzeństwo Supłatowicza pozostałe w kanadyjskim rezerwacie także jest mitem.

Tak. Często bywał w rezerwacie Kahnawake, lecz kontaktował się tam właściwie z jedną rodziną. Być może sprawiły to trudności komunikacyjne; porozumiewał się łamaną angielszczyzną, solidnie uzupełnianą mimiką i gestykulacją. Lubili go i cenili. Nawet jeśli nie był Indianinem z krwi i kości, to nie mieli mu tego za złe. Uważali go za brata i kogoś, kto budował mosty cywilizacyjne i zrobił bardzo wiele dla łączenia kultury białych i czerwonych.

Partyzant o pseudonimie „Kozak" to postać realna?

Tutaj mamy jasność. Był dzielnym żołnierzem Armii Krajowej. Nie przypisał sobie odznaczeń – zdobył je na Kielecczyźnie, zwłaszcza w akcji „Burza". Relacje z operacji zbrojnych, w których uczestniczył, też brzmią wiarygodnie, a udział „Kozaka" w walkach potwierdzają wspomnienia towarzyszy broni, np. gen. Kazimierza Załęskiego „Bończy".

Jak doszło do tego, że po wojnie został marynarzem?

Wstąpił do wojska, został skierowany do Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych, skąd szybko go relegowano, uznając, że na politruka się nie nadaje. Trafił do marynarki. Po przeszkoleniu rozminowywał polskie porty. Służba był ryzykowna, lecz zdarzały się epizody humorystyczne. W Gdyni znajdowała się na wpół zatopiona niemiecka baza okrętów podwodnych. Penetrujący ją nurkowie wracali pijani. Wreszcie dowódca się wkurzył i wysłał Supłatowicza, który w tym czasie był abstynentem. I sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że wytworzyła się poduszka powietrzna w magazynie z alkoholem. Nurkowie odkręcali szybkę, wsuwali się do tego magazynu i pili.

eprasa.pl 8d31aeab18

U progu lat 60. przeniósł się do marynarki handlowej, a następnie pasażerskiej. SB podejrzewała bohatera pańskiej książki o kontrabandę czy kontakty z polską emigracją?

Chyba obydwa powody wchodziły w rachubę. Marynarze w PRL byli mocno inwigilowani. Supłatowicz, znany na Wybrzeżu jako Sat-Okh już od początku lat 50., zyskał renomę, a następnie – za sprawą książek wydawanych nie tylko w Polsce – niemałe pieniądze, do których dokładał pokaźne dewizowe uposażenia zarabiane na pokładach kolejnych statków. Mimo majątku pozostał człowiekiem ogromnego serca. Pomagał każdemu, kto się doń zwrócił. Służba Bezpieczeństwa go rozpracowywała bez próby werbunku.

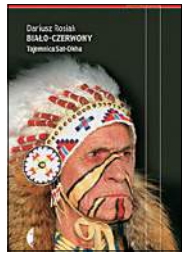

DARIUSZ ROSIAK „BIAŁO-CZERWONY. TAJEMNICA SAT-OKHA" CZARNE 2017

Do literatury wszedł za sprawą Izabeli Czajki?

Nie wiadomo, jak ją poznał. Za Bieruta i Gomułki była osobą wpływową w środowisku twórczym. Egeria artystów II RP, po okupacji spędzonej w getcie, a następnie kryjówce w kuźni, wstąpiła do I Armii Wojska Polskiego, z którą dotarła do Berlina. Potem zasiliła szeregi milicji. Skontaktowała prozaika in spe z Jerzym Broszkiewiczem, przeżywającym wtedy apogeum sławy. Znajomość zaowocowała powieściami „Ziemia słonych skał" oraz „Biały mustang" – do dziś mającymi wyznawców. Sygnował je Sat-Okh. W tamtych czasach nie należało do rzadkości, że zawodowiec pomagał zaistnieć w literaturze naturszczykowi.

Czemu spółka się rozpadła?

Zapewne na przeszkodzie stanął marynarski fach Supłatowicza spędzającego większość miesięcy w roku poza Polską. Do pisarstwa powrócił dopiero po dwu dekadach. Był doskonałym gawędziarzem, ale przelewać słów na papier nie potrafił. Kolejne książki powstały na cztery ręce ze Sławomirem Bralem („Fort nad Athabaską") oraz z Leszkiem Michalikiem („Głos prerii"). Skłócili się jednak z Sat-Okhem i zaczęli publikować indywidualnie. On także i może dlatego wydane już w III RP „Serce Chippeweya" oraz „Walczący Lenapa" nie odniosły sukcesu.

Maciej Drygas usiłował zrobić o „Biało-czerwonym" dokument, a Ryszard Bugajski fabułę...

Zapis ścieżki dźwiękowej z przygotowań tego pierwszego projektu (rok 1988) wykorzystałem w książce. Reżyser go zarzucił, tak się niekiedy zdarza, zwłaszcza jeśli historia przyspiesza, jak to miało miejsce w tamtym okresie. Międzynarodowa koprodukcja Bugajskiego nie powstała zaś z powodów finansowych.

Zrealizowano za to obraz dokumentalny „Wojownik z urodzenia" – do obejrzenia choćby w Internecie.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dariusz Rosiak – rocznik 1962. Z wykształcenia anglista. Dziennikarz francuskiego Radia RFI i polskiej sekcji BBC. Korespondent polskich mediów („Życie Warszawy", „Życie") w Wielkiej Brytanii. Publikował też w „Rzeczpospolitej" i „Ozonie". Obecnie związany z Polskim Radiem. „Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha" jest jego szóstą książką.

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · DoubleTree by Hilton Kraków · RMF · RMF MAXXX · wprost · Do Rzeczy · STYL · PANI · T3 · Multikino · WP · cgm.pl · empik · 4fun.tv · VIXON

eprasa.pl 8d31aeab18

Bank Zachodni WBK
Grupa Santander

FOT. FOTOLIA

Skąd się biorą prezenty

Wszyscy, zwłaszcza dzieci, nie mogą wyobrazić sobie bez nich świąt. Tradycja wigilijnego obdarowywania jest jednak w Polsce stosunkowo młoda

Po dwunastodaniowej wigilijnej kolacji w milionach polskich domów zaczyna się śpiewanie kolęd oraz... niecierpliwe wyczekiwanie na prezenty.

Tradycja obdarowywania się na Boże Narodzenie jest jednak w Polsce stosunkowo młoda. Początkowo – pod koniec XVIII w. oraz na początku XIX w. – prezenty najmłodszym wręczali głównie przedstawiciele ziemiaństwa, a także bogatych rodzin mieszczańskich.

Na wsiach jeszcze w pierwszej połowie XX w. prezenty pod choinką dzieci znajdywały wyjątkowo rzadko. Nawet latorośle zamożniejszych rodziców otrzymywały wówczas głównie owoce, pierniki, orzechy, słodycze oraz symboliczne drobiazgi. W zależności od regionu Polski prezenty przynoszą nam różne postacie: św. Mikołaj, Gwiazdor, Gwiazdka, Aniołek, biały konik szemel czy Dzieciątko.

Dzieci w Polsce mogą cieszyć się prezentami wcześniej niż maluchy w krajach takich jak Francja, Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone, w których św. Mikołaj prezenty w specjalnych gigantycznych skarpetach zostawia dopiero w nocy z 24 na 25 grudnia, a podarki rozpakowuje się dopiero rano w pierwszy dzień świąt.

Z badania firmy doradczej Deloitte wynika, że w tym roku Polacy zamierzają wydać średnio 882 zł na prezenty, jedzenie oraz spotkania z najbliższymi z okazji Bożego Narodzenia. To o 2 proc. więcej niż w 2016 r. Tylko na prezenty wydamy najwięcej: przeciętny Kowalski planuje przeznaczyć na nie 451 zł, czyli o 3,4 proc. więcej niż rok temu.

Najwięcej dorosłych od św. Mikołaja dostanie w tym roku książki, a także kosmetyki oraz perfumy. Większość młodzieży z kolei pod choinką znajdzie słodycze, gry komputerowe oraz książki. Na popularności powoli tracą tradycyjne klocki dla dzieci. Coraz częściej najmłodszym kupujemy bowiem zabawki kreatywne oraz artystyczne. Przy wyborze prezentu często z pomocą przychodzą rodzicom najmłodsi obdarowywani, grzecznie pisząc listy do św. Mikołaja i wypisując wymarzone zabawki, gry czy książki. W poszukiwaniu inspiracji pomóc może też nasz Prezentownik. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 8d31aeab18

Norman Davies przypomina starą prawdę, że „podróże kształcą". Inspirowana podróżą dookoła świata książka w nowy sposób opowiada o globalnej historii.

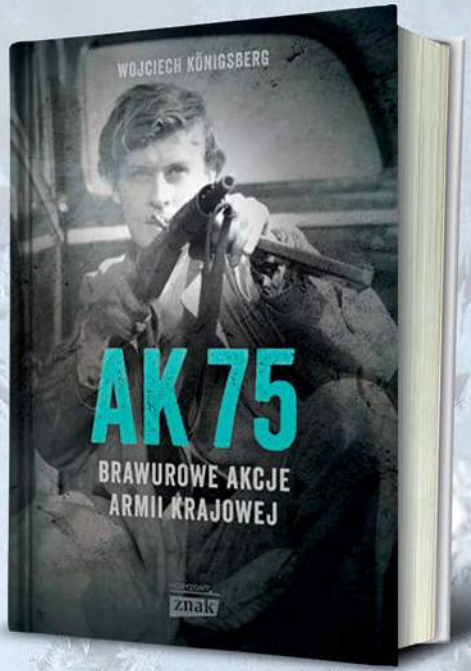

Nigdy nie pogodzili się z klęską 1939 roku. Poznaj najbardziej brawurowe akcje Armii Krajowej. Rusz śladami polskich bohaterów.

Święta pod znakiem książki

Lisa Eldridge, wizażystka gwiazd czerwonego dywanu, przedstawia historię i ewolucję makijażu.

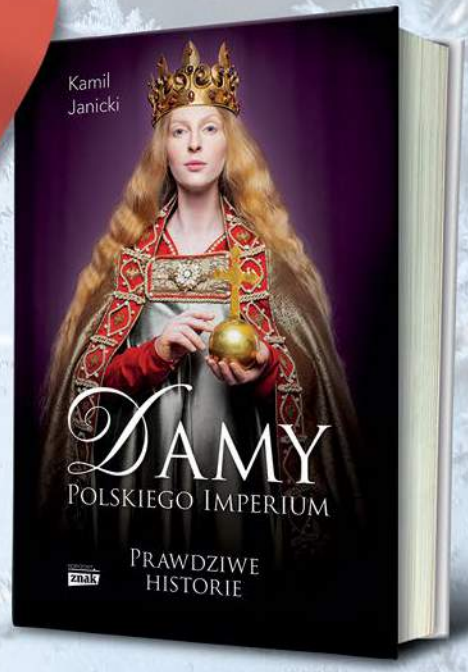

Królestwo potrzebuje prawdziwych bohaterek. Kobiet, które odbudują polskie imperium. Oto historia świętych królowych, które pokochały władzę.

eprasa.pl 8d31aeab18

REKLAMA

REKLAMA

MAGICZNE CHWILE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH

Z rodziną czy we dwoje, na urlop lub weekendowy wypad, Zdrojowa to właściwy adres: od kameralnych aparthoteli po pięciogwiazdkowe resorty z bogatą ofertę SPA & Wellness i wykwintną kuchnią. Wybierz jeden z luksusowych hoteli w Kołobrzegu, Świnoujściu, Ustroniu Morskim lub Szklarskiej Porębie. Rezerwuj pobyt lub zamów voucher.

SPRAWDŹ NA WWW.ZDROJOWAHOTELS.PL

REKLAMA

eprasa.pl 8d31aeab18

Podstawowym atutem obu modeli, które firma ZTE właśnie wprowadziła na polski rynek jest zastosowanie głównego aparatu z asymetrycznymi obiektywami i matrycami 13 Mpx oraz 2 Mpx, dzięki którym robi on znacznie lepsze zdjęcia, szczególnie w trudnych warunkach. Dzięki podwójnej kamerze możliwa jest też zmiana ostrości już po wykonaniu zdjęcia a także uzyskanie artystycznego efektu rozmycia tła (Bokeh) znanego z lustrzanek. Efekt ten pozwala na wybranie elementów rozmytych i wyostrzonych na zdjęciu, także później już po jego zapisaniu.
Oba smartfony są idealnym wyborem dla wszystkich miłośników mobilnej fotografii, multimediów i cyfrowej rozrywki. Zainteresują także osoby ceniące sobie elegancki wygląd, doskonałe parametry techniczne i najwyższą jakość użytych materiałów.

Więcej szczegółów jak również pełna gama oferowanych produktów marki ZTE na:
pl.ztedevice.com

Dostępny w sieci Plus już od 1 zł oraz na rynku poza operatorskim od ok 899 zł.

ZTE BLADE™ V8

- Ekran 5.2’ FullHD 2.5D
- Podwójny aparat 13+2 Mpx – super jakość zdjęć, wysoka jasność, tryb bokeh
- Przedni aparat 13Mpx z lampą LED
- Pamięć 3GB RAM + 32GB, Procesor 8-rdzeniowy
- Elegancka, metalowa obudowa
- Bezpieczeństwo danych – czytnik linii papilarnych
- ZTE Locker – codziennie nowe najwyższej jakości tapety.

Dostępny na rynku poza operatorskim od ok 659 zł.

ZTE BLADE™ V8 MINI

- Ekran 5.0’ HD 2.5D
- Podwójny aparat 13+2 Mpx – super jakość zdjęć, wysoka jasność, tryb bokeh
- Przedni aparat 5Mpx z lampą LED
- Pamięć 2GB RAM + 16GB, Procesor 8-rdzeniowy
- Elegancka, metalowa obudowa
- Bezpieczeństwo danych – czytnik linii papilarnych
- ZTE Locker – codziennie nowe najwyższej jakości tapety.

eprasa.pl 8d31aeab18

REKLAMA

Zapoznaj się z regulaminem loterii na stronie www.lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 24 listopada do 22 grudnia 2017 r. lub do wyczerpania puli kodów przewidzianych przez organizatora. Organizator: Totalizator Sportowy sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań zadzwoń pod numer infolinii: 22 518 21 32 czynnej od poniedziałku do piątku w godz. 8:00-16:00, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

REKLAMA

REKLAMA

eprasa.pl 8d31aeab18

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nieś cierpliwie swój krzyż

★★★★★★

REŻ. STEPHEN SHIN, MICHAEL PARKER
„NA SKRZYDŁACH ORŁÓW” („ON WINGS OF EAGLES”)
USA/HONGKONG/CHINY 2017

wyst. Joseph Fiennes, Shawn Dou, Richard Sanderson

Zła wiadomość dla tych, którzy ostrzyli sobie zęby na sensacyjną fabułę o uwolnieniu amerykańskich zakładników z Iranu. „Na skrzydłach orłów” nie jest ekranizacją powieści Kena Folleta pod tym samym tytułem. Dobra wiadomość dla przekonanych, że bez wiary, nadziei oraz miłości życie nie ma sensu. I że ludzie są z natury dobrzy.

To jest film dla was. Traktuje o ostatnich latach szkockiego lekkoatlety Erica Liddella. Świat przypomniał sobie o nim dzięki „Rydwanom ognia” – nostalgicznej wyprawie do epoki, gdy sportem nie rządziły jeszcze pieniądze.

Szkot był sprinterem nietypowym. Zdarzało mu się wygłaszać kazania w kościołach, rezygnował z udziału w zawodach odbywających się w niedzielę, przed startem podawał rękę rywalom. Biegł, wysoko podnosząc kolana, z przechyloną głową, wpatrzony w niebo i z otwartymi ustami. Niektórych kibiców bardzo to śmieszyło. U szczytu kariery zaskoczył wszystkich (a raczej tych, którzy go nie znali) oświadczeniem, że wyjeżdża do Chin, by kontynuować dzieło ojca – misjonarza.

Akcja zaczyna się w 1937 r., gdy Kraj Środka staje się obiektem inwazji Japończyków. Liddell zawiesił już buty na kołku, biega tylko z dzieciakami, dla zabawy. Wysyła ciężarną małżonkę i dwie małe córki do bezpiecznej Kanady. Sam jednak odmawia wyjazdu, bo chce pomagać ludziom w potrzebie. Gotów jest wymienić cenną rodzinną pamiątkę na leki potrzebne w miejscowym szpitalu. Po ataku na Pearl Harbor razem z innymi zachodniakami ląduje w obozie. Komendant, również sportowiec, ma kaprys zmierzyć się z byłym rekordzistą. Chcąc zachować pozory fair play, dokarmia więźnia. Ten oczywiście rozdaje frykasy towarzyszom niedoli, a sam nadal głoduje.

Narratorem jest młody szofer, zapatrzony w „pana Li” jak w obrazek. Niestety, on sam jest postacią papierową, doklejoną do fabuły chyba gwoli usatysfakcjonowania azjatyckiego koproducenta. Z tego samego powodu, jak mniemam, wyeksponowano wyznanie bohatera, że czuje się Chińczykiem. Pewnie przez zasiedzenie. Ma to swoje konsekwencje: „latający Szkot” (ksywa pochodzi od lokomotywy, kursującej na trasie Londyn – Edynburg) byłby pierwszym chińskim medalistą olimpijskim. Tylko dlaczego startował pod brytyjską flagą?

Sceptykom film może się wydać zbyt naiwny i landrynkowy. Obóz w Weixian bardziej niż więzienie przypomina stanicę harcerską. Joseph Fiennes grał kiedyś Lutra, tutaj udało mu ożywić postać znacznie bardziej posągową. Gdyby Liddell należał do Kościoła katolickiego, wyniesiono by go już na ołtarze. Bóg jednak chciał, by urodził się i umarł jako prezbiterianin. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GWIEZDNE WOJNY: OSTATNI JEDI”

Po sukcesie „Przebudzenia Mocy” najważniejszym pytaniem dotyczącym „Gwiezdnych wojen” stało się nie to, „czy można udanie kręcić je bez George’a Lucasa”, lecz „jak długo można powtarzać to samo”, bo w dużym stopniu była to powtórka z „Nowej nadziei”. Tym większe oczekiwania wobec „Ostatniego Jedi”, który wedle zapowiedzi twórców ma pchnąć gwiezdną sagę w zupełnie nowym kierunku. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi”, reż. Rian Johnson, wyst. Daisy Ridley, John Boyega, Adam Driver, Mark Hamill, Carrie Fisher, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Na mlecznej drodze”, reż. Emir Kusturica, Serbia/Meksyk/Wielka Brytania 2016***
- ***„Louise nad morzem”, reż. Jean-François Laguionie, Francja 2016***
- ***„Na skrzydłach orłów”, reż. Stephen Shin, Michael Parker, Chiny 2017***
- ***„Italian Race”, reż. Matteo Rovere, Włochy 2016***

eprasa.pl 8d31aeab18

Dzień matki

„Rodzina na sprzedaż" to typowe kino festiwalowe. Przez pierwsze pięć minut oglądamy zgnębioną twarz bohaterki w lusterku wstecznym. Towarzyszy temu nieprzyjemny dźwięk, wydawany przez samochodowe wycieraczki.

Tematem jest adopcja, a raczej handel dziećmi, które w pewnych miejscach na świecie schodzą jak ciepłe bułeczki. Malena, dobrze sytuowana lekarka z Buenos Aires, kobietę chętną do odstąpienia potomka znajduje na drugim końcu kraju. Nie podejrzewa, ile ją to będzie kosztowało, także w sensie psychicznym.

Film sfinansował PISF, autorem zdjęć jest Wojciech Staroń. Inwestycja się raczej nie zwróci, bo forma odstraszy potencjalnych widzów, zaś treść każe wątpić, czy aby na pewno żyjemy na najlepszym ze światów. Odkrycie, że instynkt macierzyński w pewnych okolicznościach może okazać się siłą (auto) destrukcyjną, Diego Lerman też mógł zachować dla siebie. Zdarzają się jednak ekscentrycy, którzy w kinie zamiast rozrywki szukają materiału do przemyśleń i poważnych dyskusji przy lampce apulijskiego wina, zakąszanego kozim serem i oliwkami. Im „Rodzina na sprzedaż" przypadnie do gustu. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. DIEGO LERMAN

„RODZINA NA SPRZEDAŻ" („UNA ESPECIE DE FAMILIA")

POLSKA/ ARGENTYNA/ BRAZYLIA/ FRANCJA/NIEMCY/ DANIA 2017

wyst. Bárbara Lennie, Daniel Aráoz, Claudio Tolcachir

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MAŁPA TEŻ CZŁOWIEK

★★★☆☆☆

REŻ. MATT REEVES

„WOJNA O PLANETĘ MAŁP"

USA 2017, IMPERIAL

wyst. Andy Serkis, Woody Harrelson, Steve Zahn, Amiah Miller

Intrygujący wizualnie, ale popadający w klisze film jest najsłabszą propozycją w nowej trylogii o inteligentnych małpach. Prawdopodobnie dlatego, że próbował być zbyt mądry i symboliczny, a to nie zawsze dobrze robi widowiskom. Szympans Cezar i jego gromadka stają naprzeciw demonicznego pułkownika (Woody Harrelson), który jest stylizowany na granego przez Marlona Brando pułkownika Kurtza z „Czasu apokalipsy". Wyszła karykatura: oto szaleniec, który błogosławi znakiem krzyża żołnierzy znęcających się nad małpami, przygrywa im amerykańskim hymnem i bredzi coś o świętej wojnie. No i oczywiście umieści Cezara na krzyżu. Nie brakło w USA krytyków uważających, że to głębokie. Moim zdaniem – po prostu głupie. Ciekawsza jest tu inna warstwa opowieści: odpowiedzialność przywódcy za tych, którzy mu zaufali, przestroga przed przedkładaniem osobistej wendety nad dobro ogółu. Zakręty fabuły są mocno naciągane, za to świetna okazała się muzyka Michaela Giacchino.

ZABILI GO, LECZ UCIEKŁ

★★☆☆☆☆

REŻ. MICHAEL APTED

„TOŻSAMOŚĆ ZDRAJCY"

WIELKA BRYTANIA 2016, MONOLITH

wyst. Noomi Rapace, Orlando Bloom, Toni Collette, John Malkovich

Thriller szpiegowski, w którym za Jamesa Bonda w spódnicy robi Noomi Rapace (jako agentka Alice). Rzecz dzieje się w Londynie, a stawką jest uchronienie miasta przed biologicznym atakiem terrorystycznym. Z jakiegoś powodu bratnie służby (amerykańska i brytyjska) zamiast współpracować ze sobą, zaczynają silnie konkurować. Intryga jest niestety wątła, a scenariusz na siłę poprawny politycznie (zło wyrządzane przez białych i bogatych pomogą naprawić pospołu arabski taksówkarz i radykalny imam z wyrzutami sumienia). W mniejszych rolach pojawia się kilkoro weteranów – John Malkovich, Michael Douglas i Toni Collette. Kompletnym nieporozumieniem jest występ Orlando Blooma, który na weterana z Iraku nadaje się tak samo jak na hobbita. Aż dziw, że ten bałagan firmuje tak wytrawny reżyser jak Michael Apted, twórca „Goryli we mgle" i „Świat to za mało". ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „STAR WARS: BATTLEFRONT II"

★★★☆☆☆

Jeszcze zanim na dobre zagościła w napędach konsol i na dyskach komputerów, druga część „Battlefronta" wywołała największą burzę w branży gamingowej ostatnich lat. Wszystko za sprawą licznych mikropłatności, za pomocą których można było odblokowywać dodatkowych bohaterów albo elementy gry. EA jednak tak zawyżyło ich cenę, że aby zacząć siać chaos jako Darth Vader, trzeba było poświęcić długie godziny albo wyłożyć kilka stówek. Po protestach wygórowane ceny zmniejszono, niesmak jednak pozostał. A sama gra? Więcej tego samego w świecie Gwiezdnych Wojen i nawet ciekawa kampania dla pojedynczego gracza po stronie Imperium. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP/FPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XOMNE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *EA Dice/EA Polska*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 8d31aeab18

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Między nami emigrantami

Zachodni detoks Tyrmanda i Mrożka" – tak Dariusz Pachocki zatytułował wstęp do tomu korespondencji autora „Złego" i autora „Tanga", prowadzonej przez nich przez 17 lat, od roku 1965 do 1982. Większa część listów Tyrmanda pisana była w Ameryce, Mrożka we Francji.

Od czasu do czasu Mrożek zastanawiał się, jakby wyglądało jego życie, gdyby nie wyjechał z Polski. W maju 1967 r. pisał: „I ja bym sobie wybudował domek nad Wisłą, i ja bym się zestarzał spokojnie pod opieką prawnuka Putramenta (ma chyba jakieś potomstwo), Ubezpieczalni i Wojska Polskiego. Może bym też jakiś order wreszcie dostał albo nagrodę… hej. Słowo daję, czasami nie rozumiem, dlaczego już się do tego nie biorę. A ty rozumiesz?".

Sławny dramaturg kontynuuje ten temat w liście do Tyrmanda wysłanym 11 listopada 1968 r., w którym się rozmarza: „Grałbym sobie w tenisa z Krzysiem Toeplitzem (podobno nauczył się wreszcie) i jeździł »mustangiem«, jak Skolimowski i Agnieszka Osiecka, która tą ckliwie zeprzałą liryką daje narodowi złudzenie, że jest wrażliwy, bo docenia za jej pośrednictwem uczucia krasnoludka do leszczyny. Jaki diabeł mi na to nie pozwolił, jakie głody mnie wyrzuciły z tej norki. A przecież możliwe, że byłem za duży na nią, ale jestem za mały na wszechświat. Że tam było mi za ciepło, ale gdzie indziej jest mi za zimno. Może jednak wolę zdychać z zimna niż ze smrodu".

Pisarze poznali się jeszcze w kraju, na początku lat 60. „Zrodziła się między nami dziwna wspólnota, nikt by takiej w Polsce nie przewidywał, a mimo to jest. Tak to czytam i myślę, że rozmawiamy we czwórkę. Ty, ja i każdy ze sobą, przez długie lata". Obaj wybrali emigrację czy też zostali na nią wypchnięci. Tyrmand już do Polski nie wróci, umrze nagle podczas wakacji na Florydzie w marcu 1985 r. Mrożek będzie do Polski przyjeżdżał, najpierw na krótko – jako obywatel francuski, potem sprowadzi się do Krakowa, wreszcie wyjedzie z Polski po raz kolejny – do Nicei, na Lazurowe Wybrzeże, gdzie umrze w sierpniu 2013 r.

Leopold Tyrmand, 1983 r.
FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

Sławomir Mrożek, 2009 r.
FOT. KRZYSZTOF TADEJ/FOTONOVA

W ich korespondencji nie ma pełnej równowagi; to Sławomir Mrożek jest tym lepszym, ważniejszym, co Tyrmand akceptuje i nawet podkreśla w listach takich jak ten z 1965 r., sprzed wyjazdu do Stanów, gdy z Tel Awiwu słał akt strzelisty, donosząc, że: „Wszyscy zgodnie twierdzą, że spektakl »Tanga« to bomba na miarę światową, a Ty wchodzisz już do Panteonu polskich znakomitości, jak Kościuszko, Wiech i Olszynka Grochowska. Mówią to zresztą nie bez dławiącego grymasu zawiści, co sprawia, że im wierzę i [co] czyni ich wypowiedzi cenniejszymi".

Mrożek listy adresował do „Drogiego Leopolda", Tyrmand wykazywał więcej inwencji, rozpoczynając je od słów: „Mrożku – Kochanie", „Och, Senatorze", „Mrożku Najdroższy", „Mrożku słodki" i tak dalej.

Panowie donosili sobie o ważnych wydarzeniach w ich życiu, dzielili się refleksjami nad upływającym życiem (ach to łysienie!) i właściwie, co może dziwić, nie politykowali; najwyżej jeden czy drugi bluznął czasem brzydkim słowem na komuchów. Mieli przypływy czarnych myśli, na ogół jednak dobry humor ich nie opuszczał. Byli, powiedziałbym, dzielni, a w dzielności tej utwierdzały ich niekiedy nieoczekiwane obroty rzeczy i spraw. I tak w październiku 1978 r. Mrożek swój list do „Drogiego Leopolda" zaczął od gratulacji: „Przede wszystkim pragnę pogratulować nam Karola Wojtyły jako papieża". Swoją drogą, gratulacje były na wyrost. Tyrmand w odpowiedzi wzmiankował bowiem w liście o „p. Wojtyle".

W tym kontekście warto też przypomnieć inny jeszcze list Tyrmanda, z listopada 1968 r., w którym wyznawał, że w przeciwieństwie do Mrożka nie przychodzi mu na myśl, że został wyrzucony poza jakiś nawias: „Ja nawet w Niemczech, w czasie wojny, czułem się tylko trochę obco, ja nigdzie nie czuję się zupełnie obco, może to taki parszywy kosmopolityzm, ale to nie obcość tego czy innego kąta ziemi mnie żre. Owszem, ja kocham i mowę ojczystą, i Kochanowskiego, i rynek w Zamościu, i flaki, ale nie usycham bez tego wszystkiego, a są tacy, co usychają".

Czytelnik znajdzie w tym tomie więcej równie ciekawych listów, także takich, które budzą sprzeciw. A najpiękniejszy to ostatni list Mrożka do Tyrmanda, a dokładnie ostatnie zdanie w tym liście z 24 września 1982 r. Zdanie lapidarne: „Śmierć Sowietom!". ©℗

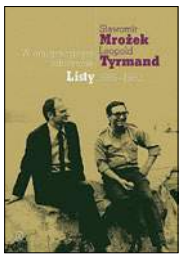

★★★★★★

SŁAWOMIR MROŻEK, LEOPOLD TYRMAND „W EMIGRACYJNYM LABIRYNCIE. LISTY 1965–1982" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2017

eprasa.pl 8d31aeab18

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Historia pewnego rozczarowania

Rozmaite to były podróże. Na Bliski Wschód, gdzie rozmawiał (nieraz) z Arafatem. Do Moskwy, dokąd pierwszy raz trafił akurat, kiedy na placu Czerwonym nielegalnie lądował awionetką niemiecki nastolatek Mathias Rust. W Kambodży był jeszcze przed rządami Czerwonych Khmerów, a w Niemczech, wkrótce po II wojnie, zajął się swoją pierwszą dorosłą pracą – szpiegowaniem dla Brytyjczyków. Jak sam wyznaje, szczególnie druga połowa jego życia (a ma dziś 86 lat) to życie w drodze. Odwiedza miejsca, o których pisze w powieściach, spotyka się z politykami, przestępcami, ludźmi służb.

Nazywa się David Cornwell, ale świat zna go jako Johna le Carré, mistrza powieści szpiegowskiej, kronikarza zimnej wojny. I jako zaciekłego krytyka Ameryki oraz korporacyjnego kapitalizmu, bo w ostatnich dekadach głośno było o jego zaangażowaniu w kampanię przeciw George'owi W. Bushowi, oraz autora książek takich jak „Wierny ogrodnik" (piętnuje w niej międzynarodowe koncerny farmaceutyczne). W książce „Tunel z gołębiami" przedstawia garść autobiograficznych szkiców różnego kalibru. Czasem to tylko drobnostki, ciekawostki (rozdział o niedoszłych ekranizacjach), czasem próby poważnej analizy (fragmenty o konflikcie izraelsko-palestyńskim czy o Rosji), innym razem mierzenie się z niewygodnymi prawdami z własnego życia (arcyciekawy rozdział o ojcu hochsztaplerze).

Najczęściej jednak powraca w tych opowieściach do Niemiec, ostro krytykując brak prawdziwej denazyfikacji, któremu patronowali alianci. I oczywiście do szpiegowskiej roboty – wszak jego dekada pracy dla MI-5 i MI-6 zakończyła się wskutek zdrady Kima Philby'ego, który wyjawił Sowietom tożsamość setek brytyjskich agentów. Nie szczędzi ostrych słów Anglikom, którzy dawali się przez długie lata ogrywać Rosjanom. I podobnie jak w powieściach mocno krytykuje Zachód (szczególnie USA), za to, że stosuje metody nieróżniące się od tych, które były standardem u wrogów wolności, czyli bloku sowieckiego. Moralista socjalista, znakomity pisarz (w przyszłym roku ukaże się jego nowa powieść o George'u Smileyu) na każdym kroku daje wyraz swemu rozczarowaniu miałkością polityki, amoralnością tajnych agentów i bezwzględnością bogatych. Warto go czytać, bo wiele rzeczy widzi wyraźniej. Zapomina o jednym: wszystkie te grzechy to nie owoc XX w. Są z nami trochę dłużej. ©℗

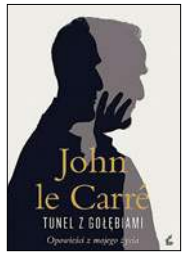

★★★★★★

JOHN LE CARRÉ „TUNEL Z GOŁĘBIAMI" SONIA DRAGA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Świetna i przerażająca analiza zbiorowego samobójstwa, które na naszych oczach popełnia Europa. Klęska polityki multi-kulti, inwazja imigrantów, dwa rodzaje terroru: islamski i politycznej poprawności. Lektura obowiązkowa.

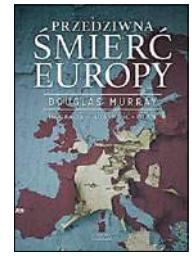

DOUGLAS MURRAY „PRZEDZIWNA ŚMIERĆ EUROPY" ZYSK I S-KA

„Najwspanialsza cywilizacja na świecie" – mówi z przesadą podtytuł. Jednak fakt, dokonania Greków w sztuce, filozofii i polityce sprawiły, że mógł powstać świat Zachodu. Potrzebował jeszcze tylko jednego: narodzin chrześcijaństwa.

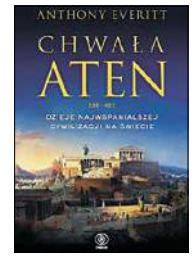

ANTHONY EVERITT „CHWAŁA ATEN" REBIS

Zamachy na Niemców, dywersja, wywiad, likwidacja konfidentów, odbijanie więźniów, pomoc alianckim jeńcom – 75 najważniejszych akcji Armii Krajowej opisanych w 75. rocznicę powstania największej podziemnej armii Europy.

WOJCIECH KÖNIGSBERG „AK 75" ZNAK

Zbiór opowieści stanowiących owoc rozlicznych podróży autora po subkontynencie indyjskim, od Nepalu i Bangladeszu do Sri Lanki. Autor „Powrotu króla" ponownie mistrzowsko łączy reportaż z esejem historycznym. ©℗

poleca Piotr Gociek

WILLIAM DALRYMPLE „KALIJUGA. WIEK WAŚNI I SPORÓW" NOIR SUR BLANC

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Camilla Läckberg „Czarownica" (Czarna Owca) – 10. tom cyklu kryminałów, którego bohaterami są Erika Falck i Patrik Hedström.***
2. ***Zygmunt Miłoszewski „Jak zawsze" (WAB) – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.***
3. ***Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci".***
4. ***Autorzy różni „Wiedźmin. Szpony i kły" (Supernowa) – 11 opowiadań ze świata wiedźmina, efekt konkursu rozpisanego przez „Nową Fantastykę".***
5. ***Nela Mała Reporterka „Nela i polarne zwierzęta" (National Geographic) – kolejny tom bestsellerowej serii podróżniczej dla małych czytelników.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 13 do 26 listopada 2017 r.)

eprasa.pl 8d31aeab18

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Wesela po kielecku

Kapela Tęgie Chłopy FOT.KAROLINA MAJEWSKA

Nie ma bardziej mylącej nazwy niż kapela Tęgie Chłopy. Po pierwsze, nie tylko chłopy, lecz także kobiety (baby). Po drugie, nikt z muzyków nie ma problemu z nadwagą, po trzecie, termin „chłopy" nie oznacza ani rolniczej profesji, ani wiejskiego pochodzenia, lecz rodzaj muzyki. „Chłopy" to trójmiarowe, śpiewne melodie, typowe dla wschodniej Kielecczyzny, zwane także światówkami lub śpiwami.

Zachwyt nad muzyką ziemi świętokrzyskiej sprawił przed laty, że grupa pasjonatów (z których część dziś tworzy kapelę) przewędrowała setki kilometrów, by w okolicach Łagowa, Nowej Słupi, Opatowa natrafić na żywą pamięć o legendarnych kapelach regionu oraz dotrzeć do muzykantów, w tym do Stanisława Witkowskiego.

Okazało się, że w okolicach Sędka mieszkają też śpiewaczki – Maria Kowalik i Maria Gałka. Najlepszym sposobem przyswojenia repertuaru było wspólne granie, dlatego pojawiła się idea warsztatów, czyli Kielecki Tabor. W tej okolicy miarą wartości kapeli jest tak zagrać, żeby „sufit się podnosił". Tak bywało, gdy na zabawach przygrywała kapela braci Witkowskich.

Teraz Tęgie Chłopy już tak potrafią. I nie jest to kopiowanie – tworzenie żywego skansenu. Muzykanci przyswoili sobie kielecką nutę na tyle, że stała się ona ich językiem. Oni już grają swoją opowieść. Elastyczny skład kapeli tworzą: klarnecista Stanisław Witkowski (senior), Michał Żak – klarnet, Ewa Grochowska, Maciej Filipczuk, Michał Maziarz, Marcin Żytomirski – skrzypce, Mateusz Kowalski – akordeon, Szczepan Pospieszalski – trąbka, Dorota Murzynowska – baraban, Maniucha Bikont – tuba i śpiew, Karol Pospieszalski – tuba.

Dwa lata temu pojawiła się płyta „Dansing", a teraz kapela zaprasza na premierę nowego albumu pt. „Wesele". Nazwa nieprzypadkowa, bo tak się złożyło, że w tym roku zespół celebrował aż dwukrotnie zaślubiny i wesela. Najpierw klarnecisty, Michała, a potem trębacza Szczepana. Na razie pauza, bo adwent. Jednak za trzy tygodnie?

Kto wie? ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Przerdzewiała legenda

★★☆☆☆☆
U2
„SONGS OF EXPERIENCE"
ISLAND

Po trzech latach od ukazania się „Pieśni niewinności" dostaliśmy „Pieśni doświadczenia". Pierwszą z płyt otrzymał każdy, nawet jeśli nie chciał, kto miał aplikację iTunes. Druga jest za kasę, więc krąg rozczarowanych będzie mniejszy.

Nazwy albumów „przejęte" z dzieł Williama Blake'a same w sobie są pretensjonalne. W odróżnieniu od przesłań angielskiego poety wystarczy spojrzeć na tytuły piosenek, by znać sens życia według Bono. Cztery razy występuje w nich „miłość", trzy razy „światło" i po razie „dusza", „czerwona flaga" oraz „serce". Banałów jest w bród. Mesjanistyczne ego wokalisty zmusza go do uzdrawiania świata, mamy więc: topiących się uchodźców; Aleppo, gdzie kwiaty rosną w kraterach; demokrację, która leży na plecach, wolność o spękanym obliczu…

Kiedy rusza tournée sponsorowane przez światowy koncern, eksperymenty nie są zalecane. Mimo długiej listy producentów zespół przybliżył się brzmieniowo do Coldplay. Chóralne śpiewy są obowiązkowym elementem stadionowego rytuału, więc album rozpoczyna deklaracja: „Nic nie powstrzyma, by był to najlepszy dzień w ogóle", potem pada objawienie: „Uwolnij siebie, aby być sobą", a kończy hymn z udziałem chóru dziecięcego: „Kiedy myślisz, że jesteś skończony, właśnie się odradzasz".

W 1979 r. Neil Young poruszony eksplozją punk rocka, która dała nam też U2, głosił na albumie „Rdza nigdy nie śpi": „Lepiej jest spłonąć, niż wyblaknąć". ©℗

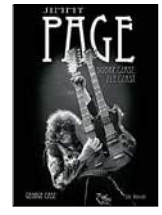

★★★☆☆☆
GEORGE CASE
„JIMMY PAGE. DOBRE CZASY, ZŁE CZASY"
IN ROCK
Rzetelna biografia artystyczna założyciela Led Zeppelin. Niestety, autor nie analizuje szerzej fenomenu zespołu, który zrewolucjonizował przemysł muzyczny, ani nie daje odpowiedzi na pytanie, dlaczego gitarzysta nie odniósł sukcesów jako solista. Dla fanów. ©℗

★★★★☆☆
JEFF LYNNE'S ELO
„WEMBLEY OR BUST"
COLUMBIA
Lynne nie może używać nazwy Electric Light Orchestra, ale ten zespół to on. Trzynastu muzyków dało spektakl, który zachwycił w czerwcu 60-tysięczną dojrzałą rockową publiczność zebraną na stadionie Wembley. Zacny dokument na dwóch CD i DVD. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

Eksportowy stan chorobowy

Choroba zwana afrykańskim pomorem świń (ASF) nie jest wyłącznie stratą dla hodowców trzody, ale dla całej krajowej gospodarki z powodu spadku eksportu polskiego mięsa – ostrzega Dariusz Formela, Prezes Zarządu Gobarto S.A.

DO RZECZY: Do tej pory ASF występował na wschodnich obszarach Polski, tymczasem niedawno stwierdzono pierwszy przypadek na terenie Warszawy. Skąd się wzięła ta choroba w Polsce i czy jest groźna dla ludzi?

DARIUSZ FORMELA: Zacznę od tego, że ludzie nie są wrażliwi na zakażenie wirusem ASF, w związku z czym choroba ta nie stwarza zagrożenia dla ich zdrowia i życia. Pierwszy w historii przypadek tej choroby w Polsce został stwierdzony w lutym 2014 r. u dzika znalezionego w strefie przygranicznej z Białorusią, w województwie podlaskim, prawdopodobne jest więc, że przedostała się do nas właśnie od wschodniego sąsiada. Przez długi czas udawało się ograniczyć jej rozprzestrzenianie do odległości nieprzekraczającej 30 km od granicy polsko-białoruskiej, jednak w ostatnim czasie notuje się rozprzestrzenianie choroby na zachód.

Co dokładnie oznacza dla hodowców trzody odkrycie w ich okolicy (np. w powiecie) ogniska ASF?

Zdiagnozowanie choroby skutkuje dużymi stratami

zarówno samego hodowcy, jak i pozostałych rolników z najbliższego otoczenia. Powiatowy lekarz weterynarii wprowadza procedurę eliminacji i utylizacji wszystkich świń w samym ognisku choroby oraz zniszczenia wszystkich produktów i substancji pozyskanych od zwierząt, w tym pasz. Gospodarstwo, w którym wykryto ASF, musi zostać starannie oczyszczone i zdezynfekowane. Przez minimum 40 dni od dnia zakończenia procesu oczyszczania do obiektu nie można wprowadzać zwierząt. Ponadto w promieniu co najmniej 3 km wyznacza się obszar zapowietrzony oraz obszar zagrożony sięgający co najmniej 7 km poza obszar zapowietrzony, na których wprowadza się restrykcje związane z obrotem zwierzętami i produktami oraz prowadzi się monitoring. Z tego powodu poważnym problemem, co obserwujemy na terenie Polski, jest brak płynności w odbiorze zwierząt przez wyznaczone zakłady mięsne. Odbiór zwierząt w wadze rzeźnej jest bardzo opóźniony, stąd często masa ubojowa tuczników sięga nawet 200 kg, przez co opłacalność związana z klasyfikacją poubojową tusz oraz wskaźniki FCR czy śmiertelności są wysoce niezadowalające. Jednocześnie wydłuża się czas trwania tuczu.

Problem ASF to wymierne straty dla hodowców i dla gospodarki. Na czym one polegają i na ile można je oszacować?

Tak naprawdę trudno oszacować większość strat. Wszyscy hodowcy, u których wystąpiło ognisko ASF, spełniający wymagania z zakresu identyfikacji i rejestracji świń otrzymają odszkodowanie za straty poniesione w związku z działaniami Inspekcji Weterynaryjnej. Wysokość odszkodowania zależy m.in. od liczby świń zabitych z nakazu Inspekcji Weterynaryjnej oraz ilości zniszczonej paszy lub liczby uszkodzonego sprzętu. Odszkodowanie wypłacane jest z budżetu państwa. Jednak większym problemem jest zahamowany eksport mięsa z Polski, co potęguje straty dla krajowej gospodarki. Jak szacują eksperci NIK, jeśli choroba dalej będzie się rozprzestrzeniać, grozi nam gwałtowny spadek pogłowia trzody chlewnej oraz zmiana struktury stada świń. Cała branża może na tym stracić miliardy złotych.

Czy i jak hodowcy trzody mogą uchronić się przed ASF?

Przede wszystkim podstawową sprawą powinno być rygorystyczne przestrzeganie zasad bioasekuracji w zakresie odgrodzenia budynków inwentarskich, dezynfekcji butów przez osoby wchodzące do chlewni oraz samochodów wjeżdżających na teren gospodarstwa. Dodatkowo na wjazdach do gospodarstwa i w wejściach do budynków inwentarskich powinny być wykładane maty i śluzy dezynfekcyjne. W przypadku stwierdzenia w stadzie świń niepokojących objawów chorobowych lub padnięć świń każdy hodowca powinien przekazać tę informację do powiatowego lekarza weterynarii lub właściwego organu samorządu terytorialnego – wójta, burmistrza, prezydenta miasta. Objawy afrykańskiego pomoru świń mogą być niespecyficzne, podobne do innych chorób np.: różycy lub zatruć. Czas odgrywa istotną rolę w zatrzymaniu rozprzestrzeniania się wirusa, dlatego nie należy lekceważyć żadnych niepokojących symptomów.

Rozmawiała Anna Szymczak

eprasa.pl 8d31aeab18

Łukasz Warzecha

Wbrew rewolucyjnym scenariuszom wciąż najbardziej prawdopodobny w przypadku prezydenta Andrzeja Dudy pozostaje ten zakładający kontynuację, czyli start w wyborach w 2020 r. z poparciem Prawa i Sprawiedliwości

Andrzej Duda jak kot Schrödingera

W ubiegłym tygodniu media na krótko zelektryzowała podana przez dziennik „Fakt", nie wiadomo, skąd wydobyta, wiadomość o tym, że PiS rozważa wariant odwołania prezydenta z urzędu. Zapowiedzią tego miały być głosy podczas prac sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka właśnie ze strony posłów PiS – w tym Krystyny Pawłowicz – że kompetencje, jakie w swoim projekcie Ustawy o Sądzie Najwyższym zawarował sobie prezydent, są niekonstytucyjne. Lecz od takich ocen, wygłaszanych zresztą w dość emocjonalnych okolicznościach, do odwołania prezydenta droga bardzo daleka.

O ustąpieniu prezydenta z urzędu może, zgodnie z konstytucją, zdecydować jedynie Trybunał Stanu – ciało skrajnie w polskich warunkach nieefektywne, obsadzone z klucza politycznego, niemające niemal żadnego faktycznego znaczenia. Żeby postawić głowę państwa przed Trybunałem Stanu, potrzebne są dwie trzecie głosów Zgromadzenia Narodowego, czyli obradujących wspólnie Sejmu i Senatu, zaś wniosek w tej sprawie musi złożyć przynajmniej 140 posłów lub senatorów. PiS ma w izbie niższej 235 posłów, a w wyższej – 64 senatorów, zatem wystarczająco wielu, aby wniosek o postawienie prezydenta przed TS podpisać. W Zgromadzeniu Narodowym partii rządzącej brakuje jednak sporo do 373 głosów, czyli dwóch trzecich. Można oczywiście założyć, że gdyby wniosek o postawienie Andrzeja Dudy przed TS faktycznie się pojawił, brakujące głosy udałoby się zebrać wśród opozycji, która kierowałaby się tylko jedną motywacją: chęcią rozchwiania sytuacji politycznej.

I właśnie dlatego przedstawioną przez „Fakt" wizję można spokojnie zaliczyć do kategorii political fiction. To nie byłaby nawet opcja atomowa, ale meteorytowa – jak meteoryt, który prawdopodobnie 66 mln lat temu zgładził dinozaury. Postawienie przed sądem prezydenta przez jego własną, macierzystą formację, a w konsekwencji destabilizacja państwa niemal porównywalna z tą po 10 kwietnia 2010 r., byłyby nie do zaakceptowania przez większość wyborców – nie tylko Andrzeja Dudy, lecz także PiS. Po czymś takim partia Kaczyńskiego mogłaby się prawdopodobnie pożegnać z wygraną w 2019 r., a przez zagranicznych partnerów zostałaby uznana za nieobliczalną pod każdym względem. Opozycja dostałaby do ręki tony amunicji, którą bez trudu zatopiłaby okręt partii rządzącej.

„TRZY DYMISJE"

W przeprowadzonym przeze mnie „Ostatnim wywiadzie" śp. Lech Kaczyński opowiadał, z jakiego powodu nie zdecydował się z bratem po wyborach 2005 r. na pójście przez „trzy dymisje", prowadzące ostatecznie do nowych wyborów. Zamiast tego PiS zawarł koalicję z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. „W przypadku drogi przez trzy dymisje powstawało jednak pytanie, czy ludzie będą w stanie to zrozumieć. Dopiero co odbyły się wybory, a tu trzeba iść głosować ponownie. PiS ma przecież rząd. Jak wyjaśnić ludziom, o co w tym chodzi? To by nie było zrozumiałe nawet w społeczeństwie o znacznie wyższym poziomie wyrobienia politycznego" – wyjaśniał prezydent Kaczyński. Podobnie trudno, a może nawet trudniej, byłoby uzasadnić wariant opisany w „Fakcie". Rozumieją to znakomicie i prezes PiS, i zdecydowana większość polityków tej partii, nawet jeżeli któremuś z nich w chwili zamroczenia wyrwały się jakieś dziwaczne hipotezy.

Wciąż jednak pozostaje pytanie, czy PiS nie zdecyduje się po prostu na wypromowanie innego kandydata w 2020 r., zamiast po raz drugi brać na barki stwarzającego problemy Dudę. Tu kluczowy jest czynnik czasu. Po pierwsze – przed wyborami prezydenckimi są parlamentarne. Prezydent, nie mając pewności poparcia jego kandydatury przez PiS w 2020 r., nie będzie miał motywacji, żeby wspierać macierzystą partię rok wcześniej. A to wsparcie, jakkolwiek nie może być zbyt ostentacyjne, może mieć jednak duże znaczenie, zwłaszcza że PiS będzie walczył o powtórzenie samodzielnej większości.

Po drugie – choć brzmi to paradoksalnie w zestawieniu z punktem pierwszym – jeśli PiS wygra kolejne wybory, nawet

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO/ZUMA/FORUM

gdyby nie były to rządy samodzielne, wielu wyborców będzie szukało w prezydencie wybieranym rok później przeciwwagi. To będzie trudna sytuacja dla Andrzeja Dudy, ale byłaby jeszcze trudniejsza dla alternatywnego kandydata partii rządzącej. Dlaczego? Andrzej Duda próbował w kilku sytuacjach zaznaczyć swoją względną niezależność – przede wszystkim wetując ustawy sądowe, ale możliwe, że nie była to ostatnia taka konfrontacyjna okoliczność. Przed nami jeszcze decyzja prezydenta w sprawie ordynacji samorządowej, która w obecnie proponowanym kształcie oznaczałaby skrajne upolitycznienie wyborów lokalnych. Gdyby PiS wystawił kandydata alternatywnego, byłoby jasne, że oczekuje od niego większej uległości niż od poprzednika, byłoby to zatem pójście w odwrotną stronę, niż chciałaby zapewne spora grupa wyborców.

TRUDNE CZASY

Prezydent nie ma przed sobą łatwego czasu. Sam rozbudził oczekiwania dotyczące referendum konstytucyjnego na stulecie niepodległości, tymczasem nie tylko nie ma wciąż zgody co do tego, kiedy miałoby się ono odbyć, ale Kancelarii Prezydenta nie udało się dotąd nawet stworzyć strony internetowej, gdzie obywatele mogliby się wymieniać poglądami i pomysłami na nową ustawę zasadniczą – choć wydawałoby się to oczywistością.

To jednak drobiazg wobec zasadniczego wyzwania: Andrzej Duda, chcąc wygrać kolejne wybory, musi z jednej strony zachować poparcie wiernego elektoratu PiS, a z drugiej być wystarczająco przekonujący dla umiarkowanie konserwatywnego, a nawet centrowego elektoratu – również tego, który z różnych powodów zraził się bądź zrazi do PiS w ciągu reszty kadencji tej partii. Mówiąc wprost: musi być jak kot Schrödingera – trochę z PiS, a trochę nie z PiS.

Jego przeciwnik z opozycji, ktokolwiek nim będzie, stanie przed znacznie prostszym zadaniem – wystarczy mu połączyć pod jednym sztandarem cały anty-PiS. Znów jednak – łatwiej będzie osiągnąć schrödingerowski cel Andrzejowi Dudzie niż jakiemukolwiek nowemu kandydatowi, którego mógłby zamiast niego podstawić Jarosław Kaczyński.

W jednym z odcinków drugiej serii „Ucha Prezesa" pokazano prezydenta Andrzeja siedzącego samotnie w wielkim gabinecie i czekającego na nocną delegację z Prezesem na czele. No, prawie samotnie, bo obok był jeszcze niezawodny Rzecznik. To oczywiście tylko satyra, ale Robert Górski celnie ujął sytuację prezydenta. Jeżeli Andrzej Duda nie zbuduje własnego zaplecza z prawdziwego zdarzenia – nie „partii prezydenckiej", ale właśnie zaplecza – ostatecznie będzie na łasce i niełasce PiS.

NA RAZIE BILANS JEST MIESZANY

Mocnym momentem były prezydenckie weta, ale kształt ustaw sądowych, na które ostatecznie, jak się wydaje, zgodził się Andrzej Duda, budzi jednak z tego punktu widzenia spore wątpliwości. Na poziomie politycznego teatru sprawa nie została z PiS dogadana w sposób dla prezydenta korzystny. Gdyby tak było, PiS przekazałby swoje oczekiwania Kancelarii Prezydenta tak, aby wszystkie znalazły się w wychodzących stamtąd projektach, a następnie w Sejmie odegrałby spektakl niechętnej i niemal wymuszonej zgody na prezydenckie projekty, żeby Andrzej Duda wyszedł z tego sporu jako zwycięzca. Tak się jednak nie zdarzyło. To prezydent w nieco chaotycznych okolicznościach przełknął poprawki Prawa i Sprawiedliwości. Wydaje się więc, że stracił sporą część z kapitału, który zyskał latem: twardy elektorat jest nim mocno rozczarowany; centrowy widzi, że prezydent w znacznym stopniu ustąpił.

POCZUCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

Sprawie nie służy też ciągnący się spór z ministrem Macierewiczem. Tomasz Sakiewicz napisał, że jeśli Andrzej Duda doprowadzi do dymisji ministra obrony, straci jego głos – i podobnie myśli zapewne najbardziej betonowa część elektoratu PiS, dla której nawet Jarosław Kaczyński jest zbyt miękki, a politycznym wzorem z Sèvres jest szef MON. Tymczasem, o ile Macierewicz po rekonstrukcji rządu pozostanie na stanowisku, o tyle konflikt będzie się ciągnął, bo jego źródłem nie są przede wszystkim kwestie polityczne, które ostatecznie można by rozwiązać, lecz w dużej mierze ambicjonalne i osobowościowe. Wskutek tego twardy elektorat będzie się do prezydenta zniechęcał coraz bardziej, a miękki, centrowy, będzie widział przede wszystkim jego niemoc i bezsilność wobec bądź co bądź po prostu jednego z wielu ministrów.

Ocenę sytuacji utrudnia fakt, że nie dysponujemy sondażami pokazującymi, jak reagują poszczególne segmenty elektoratu na konkretne decyzje prezydenta czy partii. Można przeprowadzić sondaż preferencji partyjnych i na jego podstawie przedstawić prognozę podziału mandatów w Sejmie, ale nie da się przeprowadzić podobnego miarodajnego sondażu prezydenckiego, nie wiedząc, kto stanąłby po drugiej stronie, naprzeciwko Andrzeja Dudy.

Wciąż istnieje oczywiście nikła możliwość, że sam prezydent zrezygnuje z kandydowania na drugą kadencję. Byłaby to jednak decyzja bez precedensu w historii III RP. Trzeba też pamiętać, że choć każdy urząd publiczny – a urząd prezydenta w szczególności – może być dla sprawującej go osoby obciążeniem, to zarazem łączy się z poczuciem odpowiedzialności. Sposób, w jaki Andrzej Duda wypowiada się publicznie – w tym należy też uwzględnić jego zeszłotygodniowe orędzie przed Zgromadzeniem Narodowym – wskazuje, że taką odpowiedzialność za państwo prezydent czuje. A to oznacza, że rezygnacja z kandydowania wydaje się mało prawdopodobna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Sebastian Rybarczyk

Na wypasie w

Czy byli esbecy mogą się czuć wykluczeni społecznie oraz czy nad ich strasznym losem pochylą się naukowcy, badając ich niczym dopiero co odkryty gatunek? Okazuje się, że tak

Dzieje się krzywda profesjonalistom z dawnej SB i WSI. Tak zwana ustawa dezubekizacyjna pozbawia ich sowitych emerytur, a co bardziej „wsteczne" siły w spółkach Skarbu Państwa pozbawiają ich posad, nie licząc się – w ich mniemaniu – z nabytym latami doświadczeniem. Nawet niektórzy prawicowi komentatorzy podważają sens wprowadzonych przez rząd PiS rozwiązań.

Przypomnieć należy jednak, że działania wymierzone w stare postkomunistyczne układy złożone z byłych oficerów cywilnych i wojskowych służb specjalnych zapoczątkowane zostały podczas krótkiego okresu rządów koalicji PiS-LPR-Samoobrona w latach 2006–2007. Ich skala nigdy nawet nie zbliżyła się do tego, z czym mamy do czynienia w ostatnich dwóch latach.

Jednak już rok po upadku rządu Jarosława Kaczyńskiego ukazał się nakładem Instytutu Studiów Politycznych PAN zadziwiający zbiór artykułów naukowych „Naznaczeni i napiętnowani. O wykluczeniu politycznym" pod redakcją prof. Marii Jarosz. Książka nie dotyczy marginalizacji prawicy przez ponad 15 lat istnienia III RP czy też zwalczania, bardzo często fizycznego, ruchów młodzieżowych związanych z ideami narodowej demokracji. Bynajmniej nie znajdziemy w niej artykułów o wykluczeniu społecznym byłych działaczy podziemia antykomunistycznego. „Naznaczeni i napiętnowani" są o byłych funkcjonariuszach komunistycznych służb specjalnych oraz ich kapusiach.

O tym, czym ten zbiór ma być, jasno daje do zrozumienia wstęp „Polska lustrowana" autorki zbioru, prof. Marii Jarosz, która twierdzi: „Rozmaite rodzaje wykluczenia powodują przesunięcie całych grup społecznych na margines społeczeństwa", a pośród nich znajdują się „relatywnie nowe" ze względu na poglądy polityczne bądź wątki biograficzne. W ocenie pani profesor: „Wszystko to osłabia potencjał społeczeństwa obywatelskiego, nasilając konflikty, kompleksy i zawiść. I utrwalając podział na »naszych« i »obcych«". Aby nie było wątpliwości, kto stoi za tym podziałem, dowiadujemy się, że to ludzie z dalszych szeregów opozycji PRL-owskiej, próbujących się przepchnąć na pierwszy plan bohaterów solidarnościowych. Gdy wydaje się, że bardziej już przy użyciu intelektualnego cepa nie sposób tworzyć tez naukowych, pani profesor dodaje: „W latach 2005–2007 miłościwie nam panujący uznali, że przysługuje im prawo politycznej stygmatyzacji, wyznaczania […] osób do roli wrogów władzy i społeczeństwa". Następna konkluzja nie zaskakuje, zwłaszcza gorliwych czytelników „GW": „Trudno nie zauważyć podobieństwa między kreowaniem tych kategorii wykluczonych a ludźmi stygmatyzowanymi w całkiem innych systemach ustrojowych: kułakami, zbuntowanymi studentami, syjonistami czy ogólniej: kontrrewolucjonistami". Krótko rzecz ujmując, prof. M. Jarosz ocenia, że byli komunistyczni szpiedzy znaleźli się w roli prześladowanych wrogów ludu.

Łatwo można byłoby przejść nad tą publikacją do porządku dziennego, gdyż zawiera ona masę obłudnych, słabych merytorycznie, banalnych i zideologizowanych tekstów, gdyby nie artykuł „Funkcjonariusze służb specjalnych – beneficjenci systemu czy ofiary lustracji". Autorzy tekstu nie są kojarzeni bezpośrednio z socjologią polityki czy problematyką bezpieczeństwa państwa. Wiesław Bożejewicz to filozof i etyk zajmujący się etyczno-moralnymi aspektami współczesnych patologii społecznych, w tym infoholizmem, pracoholizmem czy narkomanią. Drugim z autorów jest dr hab. Mariusz Jędrzejko, socjolog zajmujący się zawodowo badaniem patologii i dewiacji społecznych.

Przed naukowcami stanęło niebagatelne zadanie polegające na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czy byli funkcjonariusze komunistycznych służb są ofiarami lustracji czy może beneficjentami transformacji i w jaki sposób potoczyły się ich losy po przełomie 1989 r. Badaniami objęto ponad stu byłych funkcjonariuszy SB i służb wojskowych, na ogół średniej i wyższej rangi, przeprowadzając z nimi serie swobodnych wywiadów z ogólnymi dyspozycjami. Łącznie rozmowy trwały 240 godzin i przeprowadzono je od

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

III RP

kwietnia do grudnia 2007 r., czyli jeszcze podczas trwania pierwszego rządu PiS.

Pośród funkcjonariuszy objętych badaniem znaleźli się przedstawiciele SB, WSW, Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego, którzy następnie rozpoczęli służbę w nowo powstałych UOP i WSI. Niestety, w przypadku Służby Bezpieczeństwa autorzy nie podają, z jakich departamentów wywodzą się ci oficerowie.

PIESZCZOCHY III RP

Ogromna większość ankietowanych przyznaje, że w III RP zdecydowanie im się poprawiło, w porównaniu nawet z wygodnym i bezpiecznym życiem bezpieczniackiej elity PRL. Autorzy badania przyznają, że poprawa ta była „większa niż w całym społeczeństwie". „Pod względem materialnym – konkludują panowie Jędrzejko i Bożejewicz – badani niewątpliwie są zatem beneficjentami transformacji po 1989 r.".

Aby uściślić te twierdzenia, zadano w ankiecie pytania dotyczące statusu materialnego funkcjonariuszy przed 1989 r. i po tej dacie. Na pytanie o posiadanie samochodu 66 proc. odpowiedziało, że posiadali przed zmianami politycznymi, po nich zaś 100 proc. było właścicielami auta. 87 proc. badanych odpowiedziało, że przed 1989 r. posiadali własne mieszkanie, po tym okresie tylko 65 proc. Jednak trzeba tę kwestię rozpatrywać pod kątem posiadania własnej nieruchomości. Właścicielami „domku z ogródkiem" przed 1989 r. było 13 proc., po tym okresie wskaźnik wzrósł do 48 proc. Oznacza to, że prawie połowa z badanej grupy jest w posiadaniu samodzielnego domu.

Jeszcze ciekawsze informacje dostarcza pytanie o status materialny. Jako niski w 1989 r. określa go 20 proc. badanych, ten wskaźnik spada do 5 proc. już po transformacji. Nie zmienia się za to status średni – cokolwiek się pod tym kryje – i dla omawianego okresu przed PRL i po nim wynosi on 60 proc. Standard swojego życia jako wysoki określa 35 proc. badanych esbeków, to jest o 15 proc. więcej niż za czasów Polski Ludowej.

Podczas przeprowadzania wywiadów i analizy zdobytych w ten sposób informacji naukowcy określili, że na wysokich stanowiskach menedżerskich (prezesów, dyrektorów, szefów pionów itp.) oraz właścicielskich znajduje się ok. 300 byłych funkcjonariuszy komunistycznych służb.

Najczęściej pojawiają się oni w następujących obszarach gospodarki: doradztwie finansowym, biznesowym i organizacyjnym, zwłaszcza w obszarach nowych technologii i działań prywatyzacyjnych; ochronie fizycznej, informacji i danych osobowych; rynku obrotu produktami i technologiami specjalnymi; rynku paliwowym i energetycznym; doradztwie dla wielkich spółek i agencji Skarbu Państwa; budownictwie i infrastrukturze specjalnej; inwestycjach w krajach dawnego ZSRS; informatyzacji i telekomunikacji wojska, organów bezpieczeństwa i administracji państwowej.

Wielu z badanych potwierdziło, że „uczestniczyło w tworzeniu wojskowych i cywilnych systemów informatycznych oraz budowie nowoczesnych zabezpieczeń technicznych dla banków, instytucji państwowych i finansowych". Dzięki potwierdzeniu tych informacji przez samych zainteresowanych możemy się domyślić, dlaczego informatyzacja ZUS kosztuje więcej niż wysłanie rakiety na Marsa.

PRL-OWSKIE SIEROTY

Pomimo obfitości dóbr i szans rozwoju kariery, jakie zapewniła im III RP, byli funkcjonariusze podchodzą do państwa polskiego mocno sceptycznie. Na pytanie: „Czy zmiany w Polsce po 1989 r. podążają w dobrym kierunku?" ponad połowa odpowiedziała, że „nie".

Szczególnie negatywnie oceniają „rozprzężenie społeczne" (sic!) i „wszechwładną rolę prasy". Jako wyjątkowo dokuczliwe uznają oni przecieki, co nie miało miejsca w okresie PRL. Nie powinno to jednak dziwić w ustach ludzi wychowanych na „Trybunie Ludu" czy „Komsomolskiej Prawdzie".

Zwracają też uwagę, że w III RP służby specjalne „stały się narzędziem walki politycznej z opozycją […]", nie dostrzegając jednak śmieszności tego stwierdzenia w sytuacji, gdy całe SB w PRL było jednym wielkim narzędziem polityki wewnętrznej, zagranicznej, gospodarczej czy religijnej. Takimi wypowiedziami potwierdzają badani jedynie, że niewiele rozumieją z otaczającego ich świata, a ich możliwości intelektualne nie są w stanie sprostać analizie porównawczej.

Potwierdzając to, obaj badacze konkludują w pewnym fragmencie tekstu, że byli funkcjonariusze „dysponują szeroką wiedzą na temat polityki i polityków, zwłaszcza z okresu, gdy sami sprawowali wysokie funkcje w służbach specjalnych". Na tej bazie zadają pytania: „W jakim celu ludzie ci nadal posługują się tą wiedzą? Czy ma to wymiar jednostkowy czy może zorganizowany?". W tym kontekście charakterystyczna jest wypowiedź jednego z respondentów: „My za dobre i złe informacje płacimy. Komu się da […]. Jak coś wiesz o kimś ważnym, to jesteś o punkt do przodu na słupku startowym. Jak byśmy ujawnili to, co wiemy o paru politycznych bossach, byłaby niezła zawierucha w polityce".

Na stronie 143 książki znajduje się ustęp tyleż rewolucyjny w kontekście tej publikacji co potwierdzający wszystkie dotychczasowe wypowiedzi, w przestrzeni medialnej uznawane do niedawna za „oszołomskie". Badacze Mariusz Jędrzejko i Wiesław Bożejewicz stwierdzają, że język funkcjonariuszy, przypominający ten z minionej epoki, „nierzadko odsłania mentalność i postawy moralne części z nich, a formacja ideowa wyraźnie kłóci się z postawą propaństwową". Po czym piszą wprost: „Tylko w pojedynczych przypadkach odnajdujemy przykłady identyfikacji z nową Polską. Jeśli już pojawia się poparcie dla zmian, to ma ono charakter bardzo partykularny". Być może stosunek do demokratycznego państwa wynika z tego, że badani respondenci nie tylko oczekują przywrócenia dyscypliny

eprasa.pl 8d31aeab18

w wojsku i policji, lecz także „porządku w społeczeństwie".

BRACIA Z BEZPIEKI

Każdy z respondentów przyznaje, że w okresie swojej działalności w III RP przynajmniej raz załatwił pracę swojemu koledze z „branży". 70 proc. badanych potwierdza, że byli oficerowie wspierają się wzajemnie, ale jednocześnie 75 proc. z nich zaprzecza, jakoby istniały pomiędzy nimi jakieś nieformalne układy. Na pytanie badaczy: „Czym kierował się pan, dobierając na współpracownika kolegę ze służb?", właściwie padają zawsze takie same odpowiedzi: „Wiem, że mogę mu wierzyć; wiadomo, szuka się kogoś, komu można zaufać; znaliśmy się wiele lat" itp.

Identyfikacja z byłą służbą komunistyczną i relacjami towarzyskimi wówczas nabytymi silnie wpływa na dalszy rozwój ich kariery. Badacze uznali za interesujące, że w poszczególnych instytucjach pracują nie pojedyncze osoby, lecz całe zespoły wywodzące się z jednego pnia, w których „silnie uwidacznia się poprzednia podległość służbowa".

Zapewne z dużej integracji środowiskowej wynika fakt, iż funkcjonariusze MSW czy WSI „podejmowali wiele działań prowadzących do zabezpieczenia indywidualnych i grupowych interesów". Stąd też wzięła się siatka nieformalnych powiązań w krajowej polityce i biznesie. Sytuacje tę wzmacniało dodatkowo przekonanie, że należą oni do elity i są elitą państwa. Powodem do dumy są sukcesy zawodowe i edukacyjne. Bez kompletnej żenady oficerowie przyznają się w wywiadach, że byli uczestnikami szkoleń moskiewskich czy też ukończyli je ze złotym medalem!

Podobną estymą darzą swoją pracę operacyjną polegającą m.in. na infiltracji spółek farmaceutycznych czy centrali VW, gdzie z sukcesem wykradali technologie objęte embargiem. Rzecz w tym, że oficerowie służb PRL pozbawieni są refleksji, że dzięki staniu na straży niewolniczego ustroju musieli kraść nawet najprostsze wynalazki – takie jak kwasek cytrynowy – gdyż były one niemożliwe do wyprodukowania w Polsce Ludowej. Aż dziw bierze, że podczas chronicznych niedoborów wieprzowiny nie zorganizowali oni dużej akcji przerzutu prosiaków od rolników z Francji czy Niemiec Zachodnich.

Obecnie to nie kradzieże technologii są celem działań gospodarczych, lecz działające w kraju banki, firmy paliwowe, energetyczne, fundusze emerytalne, inwestycje budowlane i drogowe oraz takie spółki jak PKP czy KGHM. Byli esbecy przyznają, że w niektórych „obszarach istnieją nieformalne podziały sfer wpływów" i stworzyły się specyficzne „specjalności", które są pilnie chronione przed infiltracją innych funkcjonariuszy. Istnieją podziały na spółki „obsługiwane" przez byłych oficerów służb wojskowych oraz cywilnych, w ostatnim jednak przypadku podział przebiega pomiędzy dawnymi departamentami MSW wywiadu i kontrwywiadu. Jeden z respondentów, podając (nieujawnione w tekście) nazwisko, stwierdza, że ta osoba rozdaje karty w systemie bezpieczeństwa. Inny informuje, że jak „chcesz się dostać do gościa z Gdańska, musisz przejść przez jego biurko".

W toku zagłębiania się w sporządzone badania nietrudno zrozumieć wewnętrzną solidarność środowiskową. W swojej działalności na rzecz reżimu komunistycznego badani oficerowie nie dostrzegają praktycznie niczego złego. Wszyscy podkreślają, że nie bili, nie szantażowali, nie prześladowali. To inni – mówią – to nie my.

Analizując tę część wypowiedzi funkcjonariuszy, obaj badacze są dla ich poglądów i postaw życiowych wyjątkowo bezwzględni. M. Jędrzejko i W. Bożejewicz, podkreślając ich wykształcenie, doświadczenie biznesowe, ukończone kursy, stwierdzają: „Mamy do czynienia z ludźmi o bardzo ograniczonych zdolnościach do analizowania procesów politycznych i historycznych. Skala wartości, jaka obowiązuje w pluralistycznym społeczeństwie, jest dla nich czymś trudnym do zaakceptowania, a często niezrozumiałym. Dla części respondentów […] państwo, które jest dobrem wspólnym obywateli, to przede wszystkim miniony PRL […]. Jeśli dostrzegają swoje miejsce w nowej rzeczywistości, to powinna ona być ukryta za zasłoną tajemnicy".

Próby likwidacji układu spotykają się z ostrą krytyką tego środowiska. Skala niechęci wobec rządów PiS jest duża u byłych oficerów WSI

NIENAWIŚĆ DO PIS

Nie powinno zatem dziwić, że próby likwidacji tego układu przez PiS spotykają się z ostrą krytyką tego środowiska. 23 z respondentów stwierdziło, że w ramach lustracji – tak sami nazywają proces usuwania ich z uprzywilejowanych miejsc w sektorze publicznym lub prywatnym współpracującym z sektorem publicznym – straciło pozycję zawodową i ograniczono ich wpływ na współpracę z partnerami z sektora państwowego. Wymieniają nawet konkretne sumy rzędu 8 czy 9 tys. zł.

Połowa badanych prowadzących działalność gospodarczą stwierdziła, że zmiany z 2005 r. spowodowały zmniejszenie ich dochodów. Pośród tych zatrudnionych w instytucjach państwowych odsetek skarżących się na straty finansowe jest jeszcze większy i wynosi 60 proc. Dwadzieścia procent z ankietowanych zostało w okresie rządów PiS zwolnionych z agencji rządowych i spółek Skarbu Państwa.

Badacze zauważają, że skala niechęci wobec rządów PiS jest większa u byłych oficerów WSI niż u ich kolegów ze służb specjalnych, którzy podchodzą do niej bardziej cynicznie, z przekonaniem, że jakoś dadzą sobie radę. W ich opinii pomocą mogą im służyć układy, jakie posiadają w Kościele katolickim.

Naukowcy wskazują, że pośród badanych powstał „klimat swoistej fobii, nieuzasadnionego strachu i obsesyjnego przerażenia", zwłaszcza na punkcie osoby ministra Antoniego Macierewicza. Określany jest on jako „osoba niebezpieczna", „człowiek z brzytwą", „szaleniec" czy „polityczny dewiant" i są to najlżejsze oraz jedyne pozbawione wulgaryzmów stwierdzenia. Na liście „szkodników" na wysokich pozycjach znajdują się też Jarosław Kaczyński czy prof. Andrzej Zybertowicz.

Funkcjonariusze żalą się, że radykalna lustracja i pogorszenie ich statusu społecznego oraz materialnego związane są z rezygnacją z „priorytetu opartego na umowie »okrągłego stołu«".

Podsumowaniem tego doskonałego i poszerzającego wiedzę tekstu dwóch naukowców niech będzie jedno z ostatnich stwierdzeń przez nich zamieszczonych:

„Choć nie jest prawdą, że przynależność do służb stanowiła automatyczną przepustkę do bogactwa, nie ulega też wątpliwości, że setki, jeśli nie tysiące […] stały się beneficjentami transformacji […]. Swój sukces zawdzięczali wykorzystywaniu innych ludzi, manipulacji informacją, a nierzadko szantażowi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Towar deficytowy

Coś niedobrego stało się ze wstydem. Zniknął. Likwidując rozmaite przesądy i uprzedzenia, przy okazji wyrwaliśmy wstyd z korzeniami. I świat zupełnie bezwstydny wcale nie jest taki fajny.

Wstyd to dziś rarytas. Rzadki okaz. Gatunek prawie wymarły. Oczywiście tym, którzy wstydu nie mają, żyje się łatwiej. Kilka lat temu jechaliśmy na wielką przedszkolną wycieczkę. Jedno dziecko nie dotarło na czas, ale cóż – ruszyliśmy. Niedługo potem do pani wychowawczyni zadzwonił spóźniony ojciec. Autokar stanął gdzieś w środku Warszawy i czekał. Dzieci się wierciły, rodzice robili miny pełne dezaprobaty i kręcili głowami. Wreszcie po kwadransie spóźnialscy dogonili wycieczkę. Spodziewaliśmy się jakichś przeprosin, tłumaczeń. Mnie w każdym razie byłoby bardzo głupio, gdyby musiało czekać na mnie 50 osób. Tymczasem ojciec wlazł do autokaru i... usiadł. Nawet się nie przywitał.

O niedoborze wstydu pomyślałem oczywiście przy okazji zbiórki na Mateusza Kijowskiego. Ten człowiek stał się – choć oczywiście on nie ma o tym pojęcia – symbolem bezwstydu. Absolutnie nic nie wprawia go w zakłopotanie. Nic nie wywołuje mu czerwonych plam na licach. Nic nie zapędza go do dziury, w której powinien się zaszyć. Nie płaci alimentów? Luzik. Podbiera kasę z własnego stowarzyszenia? Spoko. Ludzie robią mu jedzenie i przynoszą do domu? A pewnie. Nie chce mu się pracować? No problem. Ludzie organizują na niego zbiórkę pieniędzy? Chętnie je przygarnie. Zrzutkę robi się na portalu, który wspiera nieuleczalnie chore dzieci? No i git.

Bez wątpienia dawne czasy kazały nam się wstydzić za dużo i za często. Natomiast likwidując poczucie winy wywołane mezaliansami, samotnym macierzyństwem, rozwodami, orientacją seksualną, seksem oralnym i czytaniem książek Paulo Coelho, zupełnie wyjałowiliśmy społeczną tkankę z substancji, bez której życie jest może łatwiejsze, ale czy ładniejsze? Pani Dulska została wytępiona do szczętu, ale czy pan Kijowski jest postacią budzącą mniejsze obrzydzenie?

W dodatku – i zabrzmi to niestety seksis- towsko – co to za mężczyzna? To jęczenie, mizdrzenie się i obnoszenie ze swoim pseudocierpieniem – jakież to niemęskie. Ta publiczna żebranina. Samotne matki z trojgiem dzieci nie skarżą się po internetach, tylko zasuwają, żeby przetrwać. A ten koleś... ech.

A najgłupsze w tym wszystkim jest to, że ja się wstydzę za niego. I to jest dopiero niesprawiedliwość. Dlaczego on jest żałosny i ma to całkowicie gdzieś, a mnie skręca za wstydu i mam się ochotę pod ziemię zapaść. Chociaż nie mam z typem nic wspólnego. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kapsuła czasu

Niedawno nagrywałem audycję, która ma zostać odtworzona dopiero za kilka lat. Próbowałem w niej odgadnąć przyszłość. Między innymi jutro telewizji. Nie zadawałem sobie pytania, czy w ogóle będzie, bo będzie.

Jak dotąd żaden nawet najbardziej agresywny gatunek nie wykończył całkowicie poprzedniego. Kino nie zabiło teatru, telewizja kina, Internet telewizji... Trzeba się było jedynie posunąć. Oczywiście za parę lat nie będzie to taka telewizja, jaką znamy, oglądana bezrefleksyjnie, gdzie zamiast „wybierz mnie" króluje slogan – „zostańcie z nami". A swoją drogą, jakże pomyliłem się przed laty, kiedy wyobrażałem sobie zupełnie inny rozwój gatunku. Przewidywałem, że walka o jakość i atrakcyjność sprawi, iż na całym świecie ostanie się kilka stacji. Tych najlepszych. Nie przewidziałem destrukcyjnej roli reklamy, która spowoduje, że setki kanałów będą istniały tylko po to, aby stworzyć „przestrzeń reklamową" i łudzić widzów płacących słono w cenie reklamowanych produktów, że mają cały świat za darmo. Płatne kanały tylko częściowo przeciwdziałały trendowi.

Rewolucję przyniosło powstanie nowych sieci, będących połączeniem płatnej stacji globalnej z biblioteką. Nareszcie za swoje pieniądze (w porównaniu z biletem do kina dla całej rodziny minimalne) możesz oglądać, co chcesz i kiedy chcesz. Ostatnio bywało, że jakiś pasjonujący serial śledziłem aż do rana. Powszechność oferty, ergo generowane zyski powodują, że powstają dla niej dzieła wysokobudżetowe, a nie jakieś zapchajdziury. Tworzy się też światowa wspólnota fanów określonych produkcji.

Są rzeczy, które trzeba oglądać na bieżąco. Wiadomości, sport...

Czy oznacza to kres tradycyjnej telewizji z linearnym programem? Sądzę, że jedynie jej przekształcenie. Są rzeczy, które trzeba oglądać na bieżąco. Wiadomości, sport i widowiska z publicznością na żywo. Dlatego wcale się nie zdziwię, jeśli w niedalekiej przyszłości największym kanałem TVP będzie Info. Czego mu serdecznie życzę! ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

Utajnione przyspieszenie

Krystian Kratiuk

Katoliccy publicyści wiele się napracowali, by podkreślać, że to „liberalne interpretacje” papieskiej adhortacji są winne wielkiemu zamieszaniu w kościelnym nauczaniu o moralności. Tymczasem jedną z tych interpretacji Franciszek uznał za oficjalnie obowiązującą. I włączył do Magisterium

Półtora roku temu, po burzliwym synodzie, papież ogłosił adhortację apostolską „Amoris laetitia” dotyczącą nowego podejścia duszpasterskiego do rodzin. Również tych rozbitych. Jeden z zapisów dokumentu okazał się niezwykle kontrowersyjny – mogło z niego bowiem wynikać, że rozwodnicy żyjący w nowych związkach cywilnych mogą przystępować do komunii świętej. A to byłoby de facto anulowanie grzechu ciężkiego, odwołanie nauki Jana Pawła II, uznanie odwiecznej nauki o nierozerwalności małżeństwa za niebyłą, wygumkowanie szóstego przykazania.

Jako że Watykan przyjął strategię nieodpowiadania na prośby o wyjaśnienie sytuacji, interpretacje zaczęły się mnożyć. I tak na przykład niemieccy biskupi uznali, że cudzołożnicy mogą przyjmować komunię świętą, a w Polsce nic się nie zmieniło. Granica herezji przebiega więc wzdłuż linii Odry – znak czasów.

Katolicy zatroskani o los swojej wspólnoty błagali wręcz Franciszka o zakończenie tej gorszącej sytuacji, ale odpowiedzi się nie doczekali. Trwał festiwal interpretowania „Amoris laetitia” na najróżniejsze sposoby – biskupi o nastawieniu konserwatywnym utrzymywali, że dokument ów – tak jak każdy inny – można interpretować w zgodzie z Tradycją. A więc: o ile można na przykład ochrzcić dziecko rozwodnika, o tyle nie wolno temu rozwodnikowi udzielić komunii świętej. Próbowano w ten sposób wyjaśniać samym sobie, ale i wiernym, zamęt w Kościele.

OFICJALNA PUBLIKACJA

Okazuje się jednak, że papież wcale nie dopuszcza „mnogości interpretacji” i nawet zapowiedzi „decentralizacji” Kościoła – poprzez zezwolenie poszczególnym episkopatom na decydowanie o nauce Chrystusa na poziomie lokalnym (sic!) – można włożyć między bajki. Okazuje się bowiem, że Franciszek nakazał oficjalną publikację interpretacji „Amoris laetitia”, otwierającej „w niektórych przypadkach” drogę do udzielania komunii świętej rozwodnikom żyjącym w nowych związkach. Ujawniony przed kilkoma dniami papieski akt z 5 czerwca 2017 r. mówi o podniesieniu do rangi „prawdziwego Magisterium” stwierdzeń zawartych w prywatnych listach Franciszka do biskupów z Argentyny.

Co takiego znalazło się w tych listach? Otóż pochwała stanowiska przyjętego przez biskupów regionu Buenos Aires. A ci dopuszczają przystępowanie do komunii świętej niektórych rozwodników żyjących w nowych związkach – oczywiście po odpowiednim „rozeznaniu” osobistej sytuacji każdego zainteresowanego.

Argentyńczycy wprost piszą także o zniesieniu zapisu z „Familiaris consortio” Jana Pawła II, w którym papież Polak pisał o „możliwości życia jak brat z siostrą” na przykład w wypadku osób opuszczonych przez małżonków, czyli pod dość klarownym warunkiem – zachowania całkowitej wstrzemięźliwości seksualnej. Takie osoby, w myśl Jana Pawła II, nie żyją w grzechu ciężkim, bo – mimo iż ich małżeństwo sakramentalne trwa, zostały porzucone, a ich małżonek od dawna nie powraca – znalazły sobie towarzysza życia, ale żyją z nim w przyjaźni, a nie „jak mąż z żoną”. Biskupi z Argentyny są innego zdania. Powtarzają słowa z „Amoris laetitia”, z których wynika, że takie rozwiązanie można proponować, ale tylko „gdy jest to wykonalne w konkretnych warunkach danej pary małżonków”!

Jak mogłoby to być niewykonalne? Czy według jakiejś nowej teologii człowiek nie jest już w stanie – z pomocą łaski Bożej – powstrzymywać się od grzechu, walczyć z pokusami? Czy istnieją „pewne sytuacje”, w których wytrwanie w czystości jest niemożliwe? Czyżby w związku z tym istniały sytuacje, w których człowiek wręcz musi zgrzeszyć? Na to pytanie biskupi Argentyny nie odpowiadają – ale nauka Kościoła od wieków jest jednoznaczna. Człowiek

eprasa.pl 8d31aeab18

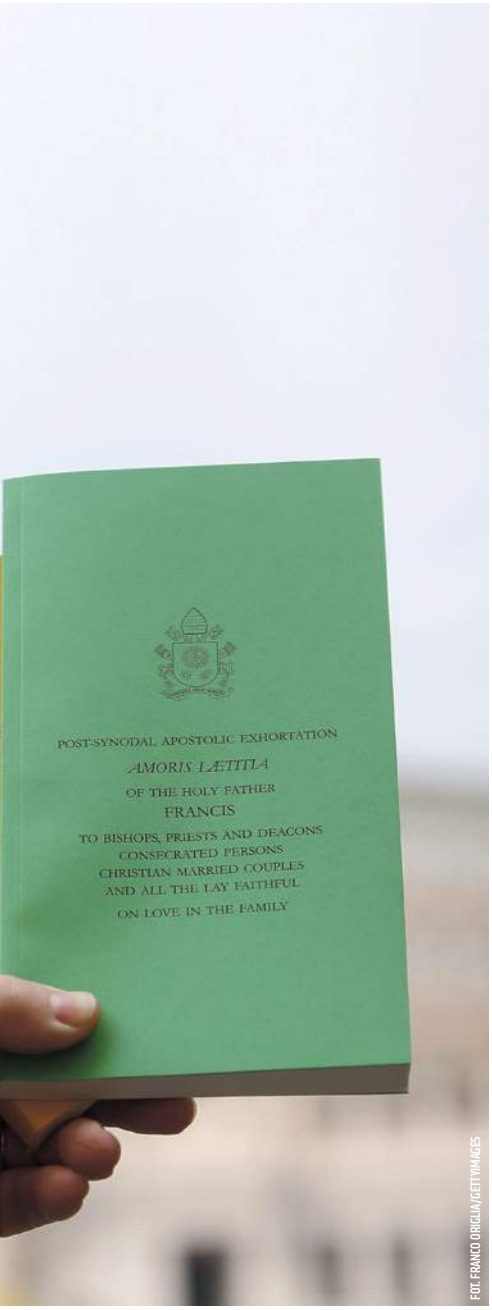

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTYIMAGES

jest w stanie przestrzegać dziesięciu przykazań. Bóg nie postawił przed nami zadania niemożliwego do wykonania.

Jednak sprzeczną z tym nauczaniem, jednoznacznie nieortodoksyjną interpretację, papież Franciszek uznał w swym liście za „bardzo dobrą i w pełni wyjaśniającą »Amoris laetitia«”. Co więcej, Ojciec Święty napisał: „Nie ma innych interpretacji. Jestem pewien, że przyniesie ona wiele dobra. Niech Pan wynagrodzi Wam wysiłek duszpasterskiego miłosierdzia”.

LIST DO WYKAZU

List papieża ujawniono we wrześniu 2016 r. Przez wiele miesięcy funkcjonował jako prywatna korespondencja, którą katolik nie musi sobie zaprzątać głowy. Tak też traktowali go konserwatyści. Jednak na początku grudnia 2017 r. media ujawniły, że Franciszek zażyczył sobie, by ów list, w którym pada ważne zdanie „Nie ma innych interpretacji”, opublikować w oficjalnym wykazie dokumentów Stolicy Apostolskiej (Acta Apostolicae Sedis – kompendium dekretów, encyklik, nominacji i innych oficjalnych aktów watykańskich).

Opublikowanemu dokumentowi towarzyszy notatka sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej, kard. Pietra Parolina, według której na podstawie decyzji papieskiej jego list do biskupów Buenos Aires zyskuje rangę „autentycznego Magisterium”.

Co jeszcze ciekawsze, okazuje się, że wpis do owego spisu dokumentów został dokonany już kilka miesięcy temu. Nikt jednak tego oficjalnie nie ogłosił – ani kardynał sekretarz stanu, ani sam Ojciec Święty, ani biuro prasowe Stolicy Apostolskiej. Ot, podniesiono dokument do rangi oficjalnego Magisterium i nie powiedziano o tym nikomu ani słowa. Dlaczego?

Na to pytanie nie znamy jednoznacznej odpowiedzi – ale do tego w ostatnich latach powinniśmy się byli już przyzwyczaić. Pora więc znów uruchomić nasze zdolności interpretacyjne.

Być może Watykan obawiał się po prostu zintensyfikowania protestów wobec „rewolucji w nauczaniu” – a takie, jak wiemy, stają się coraz liczniejsze (dość przypomnieć, że kilka tygodni temu grupa katolickich uczonych podpisała list upominający papieża i proszący go o zaprzestanie rozprzestrzeniania herezji!). Podanie do publicznej wiadomości informacji o takiej publikacji mogło wszak przynieść kolejną falę kontrofensywy.

A może uznano, że skoro protesty są tak głośne, to odpowiadanie na zapytania może zostać odebrane jako coś w rodzaju umniejszenia papieskiej godności?

KARA ZA NIEGRZECH

A może po prostu informacja o tak znacznym „awansie doktrynalnym” papieskiego listu do biskupów z Argentyny musiała być utajona, by Watykan miał jeszcze czas, aby wpisać na „czarną listę konserwatystów” wszystkich tych, którzy wciąż podważają pomysł, by po „rozeznaniu” grzech ciężki mógł zostać uznany za niegrzech? Jeśli takiej interpretacji ktoś chciałby zarzucić „myślenie spiskowe”, należałoby odbić piłeczkę – to Watykan, a nie np. konserwatyści, przyjął taktykę utajniania informacji, które w sposób oczywisty powinny być jawne. I to w końcu progresiści, a nie obrońcy tradycyjnego nauczania, przykładnie karali w ostatnich miesiącach za sprzeciw wobec „Amoris laetitia” czy pomysłów rozluźnienia dyscypliny moralnej obowiązującej małżonków.

Tak, tak – karali. Kardynał Burke, jeden z sygnatariuszy „dubia”, został odwołany z funkcji szefa ważnej dykasterii, gdy sprzeciwił się modernistycznym wymysłom jeszcze podczas synodu ds. rodziny. Kardynał Gerhard Müller został odwołany z Kongregacji Nauki Wiary za nie dość entuzjastyczne przyjęcie papieskiej adhortacji. A jako że w takich sytuacjach przykład zwykle idzie z góry, również inne instytucje katolickie przyjęły podobny wzorzec postępowania. W USA „skłoniono do rezygnacji” z funkcji doradcy episkopatu o. Thomasa Weinandy’ego, prominentnego kapucyna – uznał bowiem, że „Amoris laetitia” podważa doktrynę katolicką. Filozof i bioetyk, prof. Josef Seifert, został zwolniony z Międzynarodowej Akademii Filozofii w Grenadzie, którą osobiście zakładał! Powód? Otóż, jak pisze, „z poczucia obowiązku zobowiązania do służby papieżowi i Kościołowi”, określił papieską adhortację mianem „teologicznej bomby zegarowej”. Profesor Thomas Heinrich Stark, sygnatariusz „Synowskiego upomnienia”, musiał przestać wykładać w Wyższej Szkole Filozoficzno-Teologicznej Benedykta XVI w austriackim Heiligenkreuz. To tylko najbardziej spektakularne przykłady, kładące się cieniem na obowiązującej przecież – przynajmniej formalnie – „kulturze dialogu”, tak promowanej w ostatnich latach przez Rzym.

Ktoś może powiedzieć, że zabieg polegający na opublikowaniu oficjalnej interpretacji papieskiego dokumentu powinien dać satysfakcję zatroskanym katolikom – przecież domagali się wyjaśnień, chcieli wiedzieć, co konkretnie oznaczają nieprecyzyjne słowa papieża. Trudno jednak ukrywać, że liczyli na wyjaśnienia w duchu tradycyjnego nauczania, zgodnego ze słowami Chrystusa: „Co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela”. Jednak odpowiedź, którą otrzymaliśmy – jak zauważył wybitny znawca spraw Kościoła, Marco Tosatti – „może tylko pogłębić zamęt i niepewność towarzyszącą zarówno kontrowersyjnej adhortacji, jak i sposobowi działania papieża, po raz kolejny, jak się wydaje, odległemu od jasności i prostolinijności, której wielu wiernych mogłoby oczekiwać”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 8d31aeab18

Jacek Komuda

Czapliński kontra

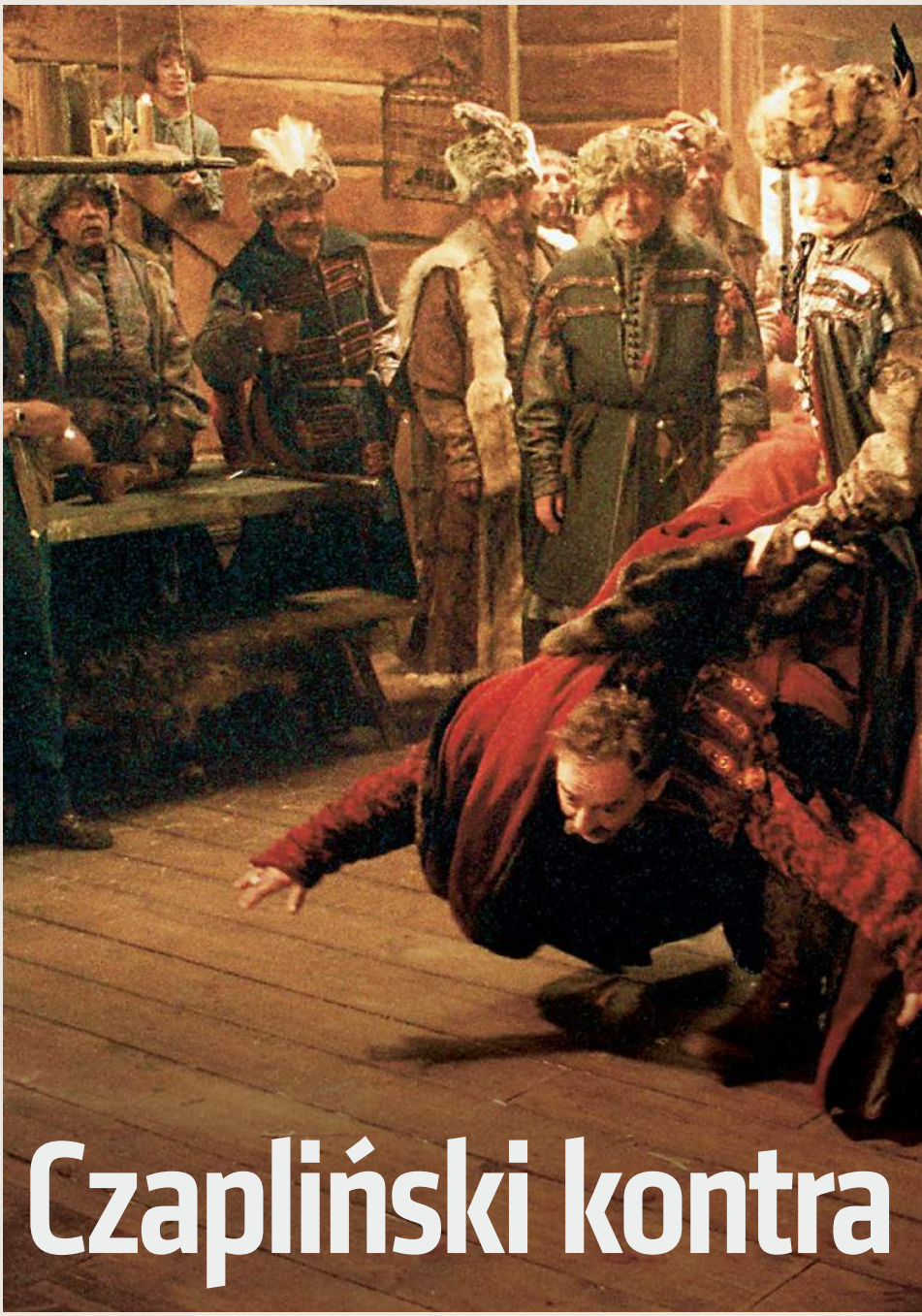

Podstarości czehryński, którego Sienkiewicz i Hoffman zmieszali z błotem, okazał się odważniejszy od niejednego bohatera „Trylogii”

Nienawiść Bohdana Chmielnickiego do Daniela Czaplińskiego (zwanego też Czaplickim), podstarościego czehryńskiego, wstrząsnęła Rzecząpospolitą. Z jego powodu skromny setnik kozacki wywołał największe w dziejach powstanie kozackie zakończone wojną polsko-moskiewską i potopem szwedzkim. Ich wrogość przetrwała bitwy, wojny i rzezie, a w jej historii jak zwykle – jest miłość, zdrada, nienawiść i bohaterstwo, połączone być może z poczuciem winy. Wszystko zaczęło się jak w dobrej powieści historyczno-sensacyjnej: od zajazdu.

Na wiosnę, na przednówku 1647 r., Daniel Czapliński, zarządca dóbr królewskich w starostwie czehryńskim, zajechał pobliski futor Subotów, należący do Chmielnickiego, setnika wojsk zaporoskich. Podstarości urządził napad „z głodnym ludem”, zapewne z chłopami ze starostwa, zrabował przede wszystkim gumna, w których znajdowało się 400 kop zboża, pozamykał też i przejął budynki. Wedle słów samego Chmielnickiego Subotów był bogaty. Miał w nim cztery stawy rybne i młyn, niwy, łąki, bydło, konie, owce i inne dobra. Wszystko to odpowiadało małej wiosce na Mazowszu czy w Małopolsce. Czapliński kazał zapłacić Chmielnickiemu 150 zł odszkodowania, podczas gdy w rzeczywistości majętność warta była tysiąc.

Podstarości nie ograniczył się do zajazdu, ale ciężko poranił syna Chmielnickiego, każąc czeladzi osmagać go kańczugami na rynku. Wedle różnych przekazów był to Ostap, który zmarł z ran, albo Tymofiej, który jednak wyzdrowiał. Ciekawe, że Czapliński odebrał Chmielnickiemu kobietę i przekonał ją lub zmusił do ślubu. Była to owa sławna Helena, która być może stała się głównym powodem awantury. Do dziś nie wiemy o niej niczego konkretnego. Wedle niektórych źródeł pochodziła ona z rodu Komorowskich, którzy stali później po stronie Czaplińskiego, co oznaczałoby, że była z pochodzenia Polką.

Zatarg o Subotów przypominał wiele ukrainnych sporów, w wyniku których wzrastała nienawiść do Polaków wśród Kozaków. Futor zbudował jeszcze ojciec Chmielnickiego, Michał, na pustkach osadniczych. Prawie pół wieku później okazało się, że stoi na gruntach królewszczyzny – starostwa czehryńskiego – a Bohdan Chmielnicki nie ma dokumentów potwierdzających, że należy do niego, choć sam powoływał się na rzekomy przywilej Władysława IV. Tymczasem starostwo zostało nadane Aleksandrowi Koniecpolskiemu, który powierzył jego administrowanie Czaplińskiemu. Ten z kolei postanowił wycisnąć z powierzonych włości jak najwięcej zysku – a więc przejąć ojcowiznę setnika czehryńskiego.

Po napadzie Chmielnicki skarżył się u hetmana wielkiego Mikołaja Potockiego, co mocno uprzykrzało życie Czaplińskiemu. Dlatego podstarości postanowił się go pozbyć – wyglądało to na element szerszej intrygi, ponieważ wzięli w nim udział jego krewni i przyjaciele – zarówno Lachy, jak i Kozacy. Czapliński nie zaniechał zemsty

eprasa.pl 8d31aeab18

W filmie „Ogniem i mieczem” został poniżony przez Skrzetuskiego, który wyrzucił go w błoto. Prawdziwy Czapliński ani wyrzucić by się nie dał, ani by nie stchórzył FOT. ZENON ZYBURTOWICZ/EAST NEWS

Chmielnicki

nawet wtedy, gdy przestał sprawować urząd – zapewne awansując w hierarchii dworskiej u Koniecpolskiego. Nowy zarządca albo podwładny podstarościego – niejaki Dolgert – wykorzystał moment, kiedy Chmielnicki pojechał odstawić do hetmana dwóch schwytanych Tatarów. Pod pretekstem niezapłacenia daniny – powołowszczyzny – kazał zabrać ze stajni setnika siwego konia, „na którym na Dzikie Pola chodził”. Jednocześnie niejaki Komorowski, krewny Czaplińskiego, przysięgał i zapowiadał w obecności starszyzny kozackiej, że wspólnie zabiją setnika. Jak pisał przyszły hetman kozacki, Komorowski, klęknąwszy przy Harasku Niedźwiedziowskim, mówił: „Z tym Chmielnickim nie możemy prawem co czynić, a to przysięgamy, że w lada dzień posłyszycie, że go nie masz, bo my mamy takich sprawców, że go gdziekolwiek zdybawszy, zabiją!”. W tym samym roku miał miejsce zamach na znienawidzonego wroga. Kiedy w czasie napadu Tatarów podróżował ze swym pułkownikiem, niejaki Daszewski, Polak, zajechał go z tyłu i ciął w łeb „aż mu misiurka dotrzymała; mało mu głowy nie rozciął”. A kiedy Chmielnicki zapytał go dlaczego, odparł, śmiejąc się: „Rozumiałem braciszku, żeś Tatarzyn”.

Nie mogąc poradzić sobie z upartym przeciwnikiem ani prawem, ani lewem, Czapliński postanowił zniszczyć go w inny sposób. Za poparciem kilku Kozaków oskarżył go o zdradę – przygotowywanie morskiej wyprawy Zaporożców, w tym czasie zabronionej przez prawo. Jeśli wierzyć regestrowi krzywd kozackich, niejaki Roman Peszta doniósł na Chmielnickiego do chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego. Ów Peszta to postać autentyczna – dowódca kozacki sprzyjający Rzeczypospolitej, który w 1638 r. podpisywał kapitulację Zaporożców. Intryga okazała się celna – Koniecpolski nakazał schwytać setnika. Ten chciał zbiec do hetmana Potockiego, ale wpadł w zasadzkę w Bużynie koło Czehrynia. Następnie uwięziono go w lochu, skąd, jak obiecywał sobie Czapliński, miał wyjść już tylko pod topór kata albo w objęcia kochanki o wiele mniej nadobnej niż Helena – w ramiona szubienicy.

UCIECZKA NA SICZ

Niespodziewanie sprawa okazała się szyta zbyt grubymi nićmi. Za Chmielnickim wstawiła się sprzyjająca wówczas Polakom starszyzna kozacka – w tym pułkownik czehryński Stanisław Michał Krzyczewski, a jak podaje Janusz Kaczmarczyk – także Helena – teraz już żona podstarościego. Dzięki ich poręczeniu setnik został uwolniony, ku wściekłości Czaplińskiego.

Ani Aleksander Koniecpolski, ani jego zausznik nie wiedzieli jednak, że Chmielnicki uczestniczył razem z Iwanem Barabaszem w tajnych rozmowach z królem Władysławem o udziale Kozaków w przyszłej wojnie z Turcją. Ścigany i zaszczuty, jak człowiek, którego dotknęła niesłuszna egzekucja komornicza, w czasie uczty, którą wyprawił po wyjściu z lochu, wykradł Barabaszowi piekielnie ważne listy. Zawierały one obietnicę przywrócenia przywilejów królewskich dla Kozaków. Setnik uciekł z nimi na Zaporoże, nie czekając, aż wróg wymyśli kolejną pułapkę. Na Siczy ujawnił pisma i został obwołany hetmanem, zawarł sojusz z Tatarami, a potem wywołał najstraszniejsze kozackie powstanie w 1648 r.

Co działo się dalej, opisuje chociażby „Trylogia” Sienkiewicza. Ukraina stanęła w ogniu, Chmielnicki i Tuhaj-bej pobili wojska koronne nad Żółtymi Wodami i pod

eprasa.pl 8d31aeab18

Korsuniem, książę Jeremi Wiśniowiecki wycofał się z Zadnieprza, a odtworzona pośpiesznie armia koronna rozpadła się w niesławnej bitwie pod Piławcami.

Cóż uczynił wobec tej lawiny Daniel Czapliński – mimowolny sprawca wszystkiego, grany nieudolnie w „Ogniem i mieczem" przez Jerzego Bończaka i poniżony w filmie przez Skrzetuskiego, który wyrzucił go w błoto?

Prawdziwy Czapliński wyrzucić by się nie dał, a postawiony wobec kozackiej nawały – nie stchórzył! Nie uciekł, nie schował się do mysiej dziury. Pokazał żelazną wolę i odwagę – wstępując do prywatnych wojsk Aleksandra Koniecpolskiego, które przeszły później na żołd Rzeczypospolitej. Chociaż żył w cieniu zemsty potężnego wroga, zasłynął jako dzielny zagończyk i jakby pragnąc odkupić winy, dokazał czynów, które przyniosły mu sławę. A wszystko to w obliczu wywołującego dreszcz zagrożenia. Wszak jego wróg nie był już pogardzanym setnikiem czehryńskim, ale hetmanem wojska zaporoskiego. Gdyby w czasie szaleńczych wypraw Czapliński dostał się w ręce Kozaków, czekałaby go śmierć w niewyobrażalnych mękach.

GNIEW HETMANA

Chmielnicki wcale nie zapominał o urazie. Już w rejestrze krzywd kozackich sporządzonym na początku powstania, wypominał odebranie mu Subotowa i liczne opresje, których nie szczędził mu Czapliński. Kiedy w lutym 1648 r. do hetmana przybyło poselstwo Adama Kisiela, Chmielnicki przymawiał podstarościemu i domagał się ukarania dwóch osobistych wrogów – podstarościego i księcia Wiśniowieckiego, mówiąc: „Trzeba mi koniecznie, żeby mi jeden był wydany, a drugi skazany". Po zdobyciu władzy udało mu się odzyskać Helenę – korzystając ze swej pozycji, uzyskał absolucję u patriarchy, który – jak podaje diariusz poselstwa – „Dał mu zaraz tam ślub z cudzołożnicą, żoną Czaplińskiego". W zamian za to Chmielnicki dał patriarsze sześć koni i 1 tys. zł. Ten zaś posłał żonie oczyszczenie z grzechów, a dodatkowo trzy świece, które się same zapalały, mleko Najświętszej Marii Panny i cytryny. Jednak pomimo zawarcia związku małżeńskiego hetman nie darował krzywd. Nienawidził podstarościego tak, iż dokończenie komisji sporządzającej regestra kozackie, która miała zebrać się na Zielone Świątki, uzależniał od jego wydania. Jednak Jan Kazimierz odmówił mu tego w liście z końca marca 1649 r.

Kolejny raz kozacki hetman przypomniał sobie o wrogu pod Zborowem. W czasie pertraktacji o zawarcie pokoju domagał się ukarania go śmiercią. Potem, wypełniając postanowienia ugody, nie chciał przeprosić króla, dopóki nie wyda podstarościego. Doszło do starcia, bo z kolei posłowie polscy odpowiedzieli, że to raczej on powinien wydać Helenę – bigamistkę, poślubioną najpierw Czaplińskiemu, a potem hetmanowi, co doprowadziło do awantury, którą z trudem dało się zażegnać.

WINA I POKUTA

W 1650 r., w sierpniu, mając u siebie posłów polskich, ubliżał im, mówiąc, że nie odda szlachcie majętności, dopóki nie wyda mu się Czaplińskiego, o którym wypowiadał się, że jest „wszystkiemu złemu początkiem". O podstarościm przypominał za każdym razem, kiedy przyjeżdżali posłowie od Polaków. Jeszcze w listopadzie tego roku, kiedy przyjechał do niego wysłannik hetmana Marcina Kalinowskiego, mówił z okrutną pewnością siebie: „Jeśli mi król na tym sejmie Czaplickiego nie wyda, że go w Warszawie i Gdańsku szukać będę. A już nie ja jego, ale on mój!".

A cóż na to Czapliński? Brał groźby Chmielnickiego – jak to się mówi – „na klatę". Najpierw odznaczył się przed bitwą pod Piławcami – jako człowiek Koniecpolskiego dowodził kilkoma setkami prywatnych żołnierzy na harcach pod Konstantynowem. 13 września 1648 r. prowadził rozpoznanie w polach korczowskich. Wysłany później na podjazdy – powracał kilkakrotnie, przyprowadzając jeńców. Razem z Semenem Zabuskim uznawany był za najlepszego zagończyka.

Rok później Czapliński został z wojskiem oblężony w Zbarażu. I jako pierwszy – przed Skrzetuskim (!) – przedarł się przez Kozaków i ordę z listem do króla. Co więcej – w czasie wyprawy pojmał jeńca – Tatara, którego przyprowadził 12 lipca Zygmuntowi Denhoffowi, staroście sokalskiemu, stojącemu w Brodach. Udzielił też dokładnych wieści o oblężeniu. Czapliński prawdopodobnie został już wówczas rotmistrzem jednego z oddziałów pod komendą Aleksandra Koniecpolskiego i być może to jego chorągiew wymieniona jest jako kozacka (pancerna) w kompucie przed bitwą pod Beresteczkiem. Wcześniej najprawdopodobniej brał udział w krwawej i okrutnej kampanii zimowej Marcina Kalinowskiego na Podolu, gdzie zginął sławny kozacki watażka Daniel Neczaj.

Za rok Czapliński po raz kolejny miał nieprawdopodobne szczęście. Uniknął śmierci w czasie bitwy pod Batohem zakończonej pogromem wojsk koronnych i rzezią jeńców. Najprawdopodobniej wcale nie było go na polu bitwy, ponieważ komput wojska nie zawiera jego chorągwi. W 1653 r. uczestniczył w kolejnej wyprawie żwanieckiej, później zaś wybrano go deputatem do trybunału w Lublinie. I w tymże 1654 r. tracimy go ostatecznie z oczu.

Co myślał przez te wszystkie lata, stając przeciwko Chmielnickiemu? Czy czuł wyrzuty sumienia, oskarżany przez swoich o doprowadzenie do wybuchu powstania? Tego już się nie dowiemy, nie zachowały się żadne jego pisma i listy. Jedno jest pewne – był człowiekiem niesamowitej wręcz odwagi, ale jeszcze większej siły i brutalności. I jako taki, prawdziwy, niepozbawiony wad bohater wart jest dla mnie więcej niż dziesięciu rozmodlonych Skrzetuskich i Kmiciców! Czapliński był brutalnym zdobywcą kresów, niestety jednocześnie jednym z licznych ukraińskich urzędników i dzierżawców, którzy wyrządzili Kozakom wiele krzywd, co popchnęło ich do powstania. Znaczną część winy można jednak z niego zdjąć – nawet gdyby nie prześladował biednego setnika czehryńskiego, Zaporożcy i tak by się zbuntowali. Tyle że być może na ich czele nie stanąłby pałający nienawiścią do osobistego wroga Chmielnicki.

Od 1651 r. hetman nie wspominał już o Czaplińskim. Zapewne dlatego, że jego związek z Heleną – przyczyną zatargu – skończył się tragicznie. Otóż nie była ona wierna nawet hetmanowi. W 1651 r., na kilka miesięcy przed wyprawą beresteczką, Chmielnicki nie mógł doszukać się jednej z beczek z dukatami, które przechowywał w Czehryniu. Gdy podejrzenie padło na miejscowego zegarmistrza, kazał go wziąć na tortury, w czasie których wyszło, że miał romans z Heleną; razem wspólnie okradali wielkiego Bohdana. Chmielnicki wpadł we wściekłość – żonę i jej kochanka kazał powiesić nago, związanych razem, na bramie w Czehryniu. A sam odtąd szukał zapomnienia w gorzałce i poradach czarownic. Bezwzględny i zręczny w polityce i wojaczce, okazał się żałosny w sprawach miłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

RED IS BAD™

PROMOCJA ŚWIĄTECZNA

-20%
NA WSZYSTKO

TRWA DO 13.12.2017

OBOWIĄZUJE RÓWNIEŻ W SKLEPIE
WWW.SYMBOWEAR.COM

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa:
Jagiellońska 69
Chmielna 7
Kraków:
Szewska 25

www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
22 290 66 55

RED IS BAD™

eprasa.pl 8d31aeab18

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zagłada ziemian

To jeden z najpiękniejszych albumów, jaki widziałem. A jednocześnie jaki smutny! Przeglądałem go z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony z podziwem dla autora – Grzegorza Rąkowskiego. A z drugiej strony z wielkim przygnębieniem. Czy naprawdę historia musiała potoczyć się dla nas tak fatalnie?

Czego dotyczy książka Rąkowskiego? Reliktów zgładzonego bezpowrotnie świata. Mowa o świecie ziemian Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dzisiaj nie ma już ani tej kasty społecznej, ani tego kraju. Ziemian wyniszczyli bolszewicy, a Wielkie Księstwo rozerwały na kawałki zajadłe nacjonalizmy – polski, litewski i, w mniejszym stopniu, białoruski.

Cóż więc zostało po tamtych ludziach, tamtych czasach i tamtych – niezrozumiałych już dla współczesnych – ideach? Pozostały budynki. Nieliczne dwory, które jakimś cudem przetrwały obie wojny światowe i największą katastrofę w dziejach ludzkości: triumf bolszewizmu.

Album przedstawia dwory dawnego województwa wileńskiego II RP. Ze zgrozą przeczytałem, że spośród 2250 dworów, które istniały na tym terenie przed 1939 r., do obecnych czasów dotrwało 120. Z czego zaledwie 75 jest we względnie dobrym stanie. Reszta powoli obraca się w ruinę.

W albumie znalazły się piękne zdjęcia, mapy, plany zespołów pałacowych i parków. Autor w ciekawy sposób przedstawił historie dworów. A przede wszystkim dzieje ich prawowitych właścicieli – znakomitych litewskich rodów szlacheckich. Za tę wspaniałą pracę Grzegorzowi Rąkowskiemu należy się order.

Na koniec pozwolę sobie jednak na krytyczną uwagę. Nie jestem w stanie zrozumieć zamysłu serii. Otóż autor zapowiada, że w następnych tomach będzie przedstawiał dwory kolejnych województw II RP: nowogródzkiego, poleskiego, wołyńskiego itd. Po cóż wprowadzać takie sztuczne ograniczenie!?

Obraz ziemiańskiego świata Litwy i Rusi będzie niepełny bez zaprezentowania dworów i pałaców Kowieńszczyzny, Mińszczyzny, Podola czy Kijowszczyzny. A co z Inflantami Polskimi? Rzeczpospolita Obojga Narodów nie kończyła się przecież na nieszczęsnej granicy ryskiej, która tak bezwzględnie przepołowiła naszą ojczyznę. ©℗

★★★★★★

GRZEGORZ RĄKOWSKI
„KRESOWE REZYDENCJE. WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE”
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koneksje Słowackiego

W 1806 r. w Krzemieńcu osiedlił się ambitny syn zarządcy dóbr Rzewuskich w Podhorcach, Euzebiusz Słowacki. Całe życie (ur. 14 grudnia 1772 r.) związał z nauką, w wieku 20 lat uzyskał patent królewskiego geometry, potem pracował jako prywatny nauczyciel, aż wreszcie został profesorem poezji i wymowy w Gimnazjum Wołyńskim w Krzemieńcu. Zdobył tam uznanie jako teoretyk literatury i autor mów okolicznościowych, napisał też dwie tragedie („Wanda” i „Mendog”). W Krzemieńcu poznał też 16-letnią Salomeę Januszewską, córkę zarządcy gimnazjum, którą dwa lata później poślubił, a po roku przyszedł na świat Juliusz.

Przez pewien czas rodzina mieszkała w apartamentach Nowosilcowa!

Słowaccy mieszkali na Wołyniu do 1811 r., wtedy pan Euzebiusz objął Katedrę Literatury Polskiej na Uniwersytecie Wileńskim. Niestety, niebawem zmarł i Salomea z synem powróciła do rodzinnego domu. Juliusz rozpoczął naukę w gimnazjum, ale edukacja trwała tylko rok, gdyż matka ponownie wyszła za mąż. Tym razem jej wybrankiem był August Bécu, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, i przyszły wieszcz ponownie trafił nad Wilię.

Opinie współczesnych o ojczymie Słowackiego były dość podzielone. Z jednej strony podnoszono jego zasługi – wprowadził obowiązkowe szczepienia przeciwko ospie, dbał o stan sanitarny Wilna podczas odwrotu wojsk napoleońskich. Opinię publiczną drażnił jednak jego serwilizm wobec władz carskich i zażyłe stosunki z osławionym senatorem Nowosilcowem. Profesor odegrał również niepochlebną rolę w śledztwie przeciwko filomatom i filaretom, dzięki czemu stał się pierwowzorem postaci Doktora z III części „Dziadów”. Zmarł we wrześniu 1824 r., prawdopodobnie porażony przez piorun kulisty. Okoliczności śmierci Bécu nigdy nie zostały ostatecznie wyjaśnione. Współczesnym wydawało się, że piorun szukał go wewnątrz mieszkania… Przy okazji stopieniu uległy leżące w pobliżu pistolety (a nie srebrne ruble – jak napisał Mickiewicz). Jego negatywny obraz, jaki wykreował autor „Pana Tadeusza”, przez długi czas był przyczyną konfliktu Mickiewicza ze Słowackim.

Salomea pozostała w Wilnie. Przez pewien czas rodzina (obok Juliusza jeszcze dwie córki ojczyma z poprzedniego małżeństwa) mieszkała w apartamentach Nowosilcowa!

Pani Bécu była z tego faktu bardzo zadowolona, pisała, że „pysznie, jak senatorowie mieszkają”. Gorący patriota, przyszły wieszcz narodu, korzystał z gościny jednego z najgorszych polakożerców. Naprawdę czasami dziwnymi drogami toczyły się losy naszych romantyków. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

PRAWDA O MARSZAŁKU!

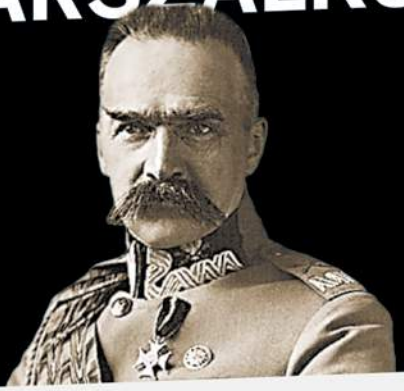

DODATEK NA 150. ROCZNICĘ URODZIN JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Piotr Zychowicz – **Konstanty na króla Polski**
Maciej Rosalak – **Mogliśmy pokonać Rosję!**
Adam Zamoyski – **Powstanie czy rewolucja**
Josh Dean – **Sowieckie rakiety z dna oceanu**
Marian Zacharski – **Komunistyczne ciągoty Joliot-Curie**
Sławomir Koper – **Romanse gen. Kasprzyckiego**
Tomasz Stańczyk – **Ukraiński zamach na Potockiego**
Mikołaj Iwanow – **Polak bolszewickim admirałem**
Arkadiusz Karbowiak – **Spór o mord w Wierzchowinach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8d31aeab18

Buntownik

Łukasz Zboralski

Raz już z opozycją doprowadził do zmiany władzy w Gruzji. Czy to samo chce zrobić na Ukrainie? I czy w ogóle ma na to szanse?

Na Ukrainie zrobiło się politycznie gorąco. A w środku awantury jest Micheil Saakaszwili – człowiek bez obywatelstwa, za to z politycznymi ambicjami. Jeszcze nie tak dawno był prezydentem Gruzji i Gruzinem. Potem – przez dość krótki czas – Ukraińcem. Za to wciąż jest politykiem, założycielem i liderem ukraińskiej partii Ruch Nowych Sił, która domaga się ustąpienia ze stanowiska prezydenta kraju Petra Poroszenki i rozpisania nowych wyborów parlamentarnych.

KTO Z TĄ MOSKWĄ?

Polityczna spirala zaczęła się rozkręcać po tym, gdy Ruch Nowych Sił zorganizował w Kijowie demonstrację. Dwa dni po niej – w ubiegły wtorek rano – do kijowskiego mieszkania Saakaszwilego wkroczyli agenci Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Zamierzali go zatrzymać w związku z podejrzeniami o sabotowanie władzy za pieniądze, które mają mu dostarczać ludzie byłego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza.

Prokurator generalny Jurij Łucenko poinformował, że Saakaszwili na antyrządowe akcje miał otrzymać blisko pół miliona dolarów z Rosji, a finansowaniem jego działalności ma zajmować się Siergiej Kuczenko. Ten miliarder, uważany za człowieka blisko współpracującego z Janukowyczem, po Majdanie w 2014 r. uciekł z własnego kraju do Rosji. Jest przez Ukrainę ścigany od trzech lat, sankcje finansowe zastosowały wobec niego UE i Kanada. Pośrednikiem w przekazywaniu funduszy od Kuczenki – zdaniem prokuratury – miał być współpracownik Ruchu Nowych Sił Sewerion Dangadze.

Czy to czegoś nie przypomina? Zwycięzcy pomarańczowej rewolucji – Wiktor Juszczenko i Julia Tymoszenko – także oskarżali się o korupcję i działania na rzecz Rosji. Tymoszenko jeszcze jako wicepremier, skonfliktowana z prezydentem Kuczmą, została aresztowana właśnie pod zarzutem korupcji, potem sąd te zarzuty oddalił i anulował areszt. Za prezydentury Juszczenki została oskarżona o zdradę kraju i działanie na rzecz interesów Rosji. W 2011 r. trafiła do kolonii karnej w Charkowie po skazaniu za spowodowanie strat Naftohazu Ukrainy. W jej sprawie – obawiając się, że postępowanie nie było bezstronne – interweniował Europejski Trybunał Praw Człowieka. Trzy lata temu, po przegłosowaniu przez ukraiński parlament zmian w prawie karnym, odzyskała wolność. A niedługo potem Sąd Najwyższy Ukrainy uznał, że w sprawie kontraktu gazowego nie doszło do przestępstwa. Tymoszenko nadal ma mandat posła.

Saakaszwili także zaprzecza związkom z Rosją. A o współpracę z Moskwą oskarża obecne władze Ukrainy. Nie chciał dać się zaaresztować SBU i uciekł na dach domu. Krzyczał, że SBU chce go zatrzymać, bo wstawił się za ludnością Ukrainy. Funkcjonariusze ostatecznie go zatrzymali i wsadzili do samochodu.

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. AP/EAST NEWS

Ale zwolennicy byłego prezydenta Gruzji wybili szyby i wyciągnęli Saakaszwilego z pojazdu. Nie wiadomo, dlaczego agenci odpuścili. Wiadomo za to, że szef Ruchu Nowych Sił wraz ze zwolennikami po tej akcji pomaszerował prosto przed ukraiński parlament. – Będziemy się domagać impeachmentu prezydenta – rzucił dziennikarzom Micheil Saakaszwili i podkreślał, że stawiane mu zarzuty są fałszywe.

Zwolennicy politycznego buntownika postawili w Kijowie namiotowe miasteczko. SBU po raz kolejny przyszła, by go zatrzymać. Ponieważ aktywiści zaczęli stawiać opór i bronić lidera antyrządowego ugrupowania, policja przypuściła szturm na miasteczko. Użyto gazu łzawiącego. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie było informacji o tym, czy Saakaszwili został doprowadzony do prokuratury. Jeśli zostanie aresztowany i skazany, będzie to chyba koniec jego politycznego marszu na Ukrainie. Zatriumfuje Poroszenko – ten, który Gruzinowi ściganemu przez własny kraj dał azyl, obywatelstwo i nominację gubernatorską w Odessie. A potem wszystko odebrał.

Wszystko wskazuje na to, że w pewnym momencie Micheil Saakaszwili chciał powtórzyć to, co udało mu się w Gruzji, tylko smutny finał nadszedł na Ukrainie wcześniej niż w jego ojczyźnie.

PIERWSZA REWOLUCJA

U siebie w kraju Saakaszwili ruszył po władzę na początku lat 2000 z oskarżeniami o korupcję wobec władz. Założył opozycyjny Zjednoczony Ruch Narodowy i wygrał samorządowe wybory w Tbilisi. Rok później stanął do rozgrywki na szczeblu krajowym jako jeden z liderów rewolucji róż, która zmiotła ze stanowiska Eduarda Szewardnadze. Na nowego prezydenta Gruzini wybrali Saakaszwilego.

Jego polityczni przeciwnicy zarzucali mu, że pod pretekstem walki z korupcją prześladuje opozycję, że dąży do autorytarnych rządów, że ogranicza wolność mediów. W 2007 r. w Tbilisi doszło do masowych demonstracji, które prezydent kazał rozpędzić, po czym wprowadził stan wyjątkowy. Jego zdaniem protesty inspirowały poprzednie elity, które nie mogły się pogodzić z odsunięciem od władzy. Saakaszwili rozpisał nowe wybory prezydenckie i wygrał je – w styczniu 2008 r. objął urząd po raz drugi.

Pół roku później nagle musiał zmierzyć się z wojną w Osetii Południowej. Zaczęło się to, co potem powtórzyło się na ukraińskim Krymie. Najpierw konflikt z separatystami, a potem szybko do gry włączyła się Rosja, która uznała, że Gruzini ostrzelali stacjonujące tam „rosyjskie siły pokojowe". Cztery dni po rozpoczęciu awantury z separatystami rosyjskie wojska – po zbombardowaniu Gori – były już 40 km od stolicy Gruzji. Dzięki ówczesnemu prezydentowi Polski Lechowi Kaczyńskiemu 12 grudnia w Tbilisi oprócz polskiej głowy państwa pojawili się przywódcy Ukrainy, Łotwy, Litwy i Estonii. Zapewnili Gruzinów, że nie zostaną sami w konflikcie z Rosją. A potem jeszcze w listopadzie śp. Lech Kaczyński przejechał w konwoju z Saakaszwilim w pobliżu posterunków na terytorium Osetii – konwój zatrzymano, a rosyjscy żołnierze ostrzelali go serią z automatu (Rosja oczywiście temu zaprzeczyła).

Jednak polityczna pozycja prezydenta Gruzji osłabła. W 2012 r. jego partia przegrała wybory. Saakaszwili wyjechał z kraju jeszcze przed zakończeniem kadencji. Tymczasem w kraju prokuratura chciała przesłuchiwać go m.in. w sprawie ułaskawienia urzędników departamentu bezpieczeństwa MSW, których sądzono za zabójstwo. Krótko potem Saakaszwilego oskarżono o przekroczenie uprawnień w sprawie rozpędzenia protestów opozycji. Sąd wydał nakaz jego aresztowania. Po tym, jak oskarżono go jeszcze o przywłaszczenie środków budżetowych, gruzińska prokuratura w 2014 r. wydała za nim międzynarodowy list gończy.

„Misza" jednak miał już inne zajęcie. Zaangażował się w ukraiński Majdan. Zyskiwał popularność w kraju kolegi ze studiów – Petra Poroszenki. Wydawało się, że zyskuje drugi polityczny oddech. Ukraina odmówiła Gruzji jego ekstradycji. Dostał też ukraińskie obywatelstwo i posadę przewodniczącego Odeskiej Obwodowej Administracji Państwowej. Miał reformować region. Nie udało mu się. Saakaszwili twierdzi, że przez korupcję. Ostatecznie otworzył fronty nie tylko z biznesmenami i miejscowymi władzami, lecz także z rządem w Kijowie. Pokłócił się nawet z kolegą prezydentem.

DRUGA PRÓBA

Wtedy znów postanowił pójść na całość. I znów z hasłem o zwalczaniu korupcji na sztandarze próbował stworzyć partię, która naprawi Ukrainę. Pierwszy projekt nie wypalił. Wtedy Micheil Saakaszwili zostawił posadę w Odessie i z partią Ruch Nowych Sił uderzył w centralne władze – ogłosił, że hołdują korupcji i nie chcą zerwać z oligarchicznym systemem.

Poroszenko zareagował szybko. Zaledwie po dwóch latach odebrał swojemu dawnemu przyjacielowi ukraińskie obywatelstwo. Saakaszwili nie dał za wygraną: z grupą swoich zwolenników nielegalnie przekroczył granicę polsko-ukraińską i w towarzystwie mera Lwowa zapowiedział objazd po kraju oraz budowanie siły politycznej, która zmiecie prezydenta.

Nie trzeba było długo czekać, aby stał się nie tylko persona non grata, lecz także człowiekiem, któremu ukraiński wymiar sprawiedliwości stawia oficjalne zarzuty. – Prokuratura Generalna Ukrainy wysłała list gończy za Micheilem Saakaszwilim – poinformował rzecznik prokuratury Andrij Łysenko.

Przywódca ukraińskiej opozycji zapowiada, że na żadne przesłuchania chodził nie będzie. I że zaprasza prokuratorów do namiotowego miasteczka opozycji. Kto do kogo przyjdzie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Piotr Włoczyk

Kanadyjska ustawa, którą przedstawiano jako ochronę prawa do odczuwania tożsamości płciowej, okazała się narzędziem opresji dla krytyków nowej ideologii

Opresja C-16

Każdy zwolennik genderowego postępu powinien wykuć na blachę nowe angielskie zaimki m.in.: „ze, „zie" oraz „xie". Ideolodzy gender stwierdzili, że – w związku z odkrywaniem coraz to nowych tożsamości płciowych – klasyczne zaimki przestały się sprawdzać. Postanowili więc nauczyć społeczeństwo, jak powinno się zwracać do osób o wyjątkowo skomplikowanym poczuciu własnej tożsamości płciowej. Mowa m.in. o osobach neutralnych płciowo, półkobietach, półmężczyznach, czy też osobach panseksualnych i... bezpłciowych (dla jasności: powyższe kategorie płciowe są oficjalnie uznawane przez teoretyków gender).

Dodanie kilkudziesięciu nowych sztucznych form, ma – zdaniem ideologów gender – przyczynić się do mniejszej dyskryminacji tej grupy osób. Wszystko to można byłoby zbyć śmiechem, gdyby nie to, że do akcji włączył się kanadyjski parlament. Dzięki staraniom bardzo wrażliwego na te kwestie premiera Justina Trudeau w Kanadzie od pół roku obowiązuje drakońskie prawo, które nie mogłoby chyba bardziej wychodzić naprzeciw oczekiwaniom środowiska LGBTQ. Krytycy tej ustawy przekonują, że państwo zmusza ich do używania zideologizowanego języka, co jest jawnym pogwałceniem ich prawa do wolności wypowiedzi.

HITLEROWSKI ARGUMENT

Właśnie dyskusji o tych nowych, wymyślonych zaimkach dotyczyły jedne z zajęć prowadzonych przez Lindsay Shepherd. Ta młoda doktorantka z Wilfrid Laurier University w prowincji Ontario stała się bohaterką afery, która wybuchła pod koniec listopada w kanadyjskim świecie akademickim. Kanadyjczycy przekonali się przy okazji, jak w praktyce wygląda wolność wypowiedzi na ich uniwersyteckich kampusach.

Shepherd puściła swoim studentom fragment telewizyjnej debaty pomiędzy dwoma nauczycielami akademickimi wykładającymi na University of Toronto. Jednym z nich był Nicholas Matte, gorący zwolennik wprowadzenia do angielskiego kilkudziesięciu nowych zaimków, specjalizujący się w gender studies. Matte swój udział w dyskusji rozpoczął od sakramentalnego: „Tak naprawdę twierdzenie, że płeć jest kwestią biologiczną, to błąd. To bardzo często popełniany błąd". Jego adwersarzem był prof. Jordan Peterson, psycholog, który stał się

eprasa.pl 8d31aeab18

Psycholog Jordan Peterson zapowiedział, że nie będzie wykorzystywał w mowie „zaimków gender", i stał się twarzą antygenderowego ruchu w Kanadzie FOT. RENE JOHNSTON/GETTY IMAGES

główną twarzą antygenderowego ruchu oporu w Kanadzie.

Wyświetlając swoim studentom debatę na temat gender, młoda doktorantka nie brała strony w tym sporze. Chciała potraktować to tylko jako punkt wyjścia do dyskusji nad tym, jak język może wpływać na stosunki społeczne. Któryś ze studentów uznał jednak najwidoczniej, że zaprezentowanie opinii prof. Petersona było pogwałceniem standardów akademickich. Efektem tego był donos do władz uczelni.

Z Shepherd natychmiast skontaktowało się uniwersyteckie Biuro Różnorodności i Równości, stojące na straży uczelnianej czystości ideologicznej.

Przeczuwając, że spotkanie z przedstawicielem biura może być mało przyjemne, Shepherd postanowiła nagrać rozmowę.

Na upublicznionym przez nią nagraniu słychać tyradę przedstawiciela biura oraz profesora, który jest przełożonym doktorantki. Została ona oskarżona o tworzenie „toksycznego środowiska" na zajęciach, a dr Nathan Rambukkana porównał prof. Petersona do... Hitlera. Prezentacja poglądów krytycznych wobec ideologii gender została jednomyślnie uznana za zatruwanie umysłów studentów. Na nic zdały się argumenty Shepherd, że ona sama nie chciała przekonywać studentów do żadnej z opcji, a zależało jej jedynie na zdrowej, uniwersyteckiej dyskusji. „Chciałam tylko, żeby sami wyrobili sobie zdanie o tym wszystkim" – powiedziała władzom wydziału.

Efektem tej rozmowy było stanowcze i jednomyślne potępienie pomysłu przedstawienia racji strony antygenderowej. Poza tym władze wydziału nakazały Shepherd z góry przedstawiać do akceptacji plan zajęć, by uniknąć w przyszłości podobnych incydentów.

Najgorszym straszakiem była jednak sugestia – uczyniona przez dr. Rambukkanę – że pokazując debatę, doktorantka mogła złamać obowiązującą od pół roku w Kanadzie ustawę C-16. Prawo to bierze pod specjalną ochroną poczucie tożsamości płciowej. Jej przeciwnicy uważają ją za knebel – za kwestionowanie podstaw teorii gender grożą bowiem konkretne sankcje karne m.in. grzywny.

Upublicznienie rozmowy wywołało szok i niedowierzanie. Nawet najwięksi postępowcy musieli przyznać – a przynajmniej publicznie to przyznawali – że takie postawienie sprawy to jednak absurd. Do sprawy musiały się w końcu odnieść władze Wilfried Laurier University.

„Po odsłuchaniu nagrania doszłam do wniosku, że konieczne są przeprosiny. Rozmowa, którą usłyszałam, nie przystaje do wartości i praktyk, do których Laurier aspiruje" – napisała w liście wicekanclerz uczelni Deborah MacLatchy.

Przeprosić musiał też dr Nathan Rambukkana. „Uważam, że masz rację, iż gwarantowanie miejsca dla kontrowersyjnych lub przeciwnych poglądów jest ważne, a wręcz konieczne na uniwersytecie" – napisał w liście do Shepherd.

GRZYWNA ZA PRZEKONANIA

Sprawa doktorantki zwróciła uwagę Kanadyjczyków na C-16. Czy rzeczywiście prawo to daje możliwość kneblowania krytyków gender? Kanadyjscy prawnicy są w tej sprawie podzieleni, ponieważ zapisy prawne są tu bardzo ogólne i mnóstwo w nich niejasności. Don Plett, jeden z kanadyjskich senatorów, który jest głośnym przeciwnikiem C-16, postulował w trakcie procesu legislacyjnego (widząc, że zdecydowana większość senatorów jest skłonna to prawo uchwalić), by dodać do ustawy jedno zdanie: „Dla większej pewności nic w tej Ustawie nie zmusza do stosowania konkretnych słów lub wyrażeń, które odpowiadają tożsamości płciowej jakiejkolwiek osoby".

Poprawka ta nie została jednak przegłosowana... Uchwalenie C-16 było wielkim zwycięstwem Justina Trudeau, który na wieść o wynikach ostatecznego głosowania zatweetował: „Great news".

Od czasu tego parlamentarnego zwycięstwa zwolenników ideologii gender prof. Jordan Peterson wyrósł na ich głównego medialnego przeciwnika. – Wymagają ode mnie, bym używał konkretnego zestawu słów, które są stworzone przez ludzi kierujących się polityczną ideologią, w którą nie wierzę i którą uważam za niebezpieczną – mówi prof. Peterson. – Chodzi o te wszystkie wymyślone słowa, które ludzie obecnie określają jako „neutralne płciowo". To próba kontroli języka w kierunku, który nie jest naturalny, lecz prowadzony jest pod groźbą i przymusem.

Profesor Peterson wielokrotnie prowadził na terenie University of Toronto dyskusje na temat gender, ale władze uczelni coraz bardziej stanowczo domagają się od niego, by przestał tak wyraziście zabierać głos w tej sprawie.

Uchwalenie ustawy C-16 było wielkim zwycięstwem kanadyjskiego premiera Justina Trudeau

C-16 jest wciąż bardzo świeżym prawem, więc nie wiadomo jeszcze, jaki wpływ będzie miało na kanadyjskie społeczeństwo.

Profesor Peterson zapowiada jednak, że bez względu na sankcje nie będzie używał ani „ze", ani „zie", ani nawet „xie".

– Jeżeli ukarzą mnie grzywną, to nie zapłacę jej. Jeżeli wsadzą mnie do więzienia, to rozpocznę strajk głodowy – mówił w czasie jednej z ostatnich debat telewizyjnych. – Dla mnie to prosta sprawa: nie będę używał słów, których użycia ktoś ode mnie wymaga, szczególnie jeżeli są one wymyślone przez radykalnych lewicowych ideologów – dodał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Agnieszka Niewińska

Ciężar sumienia

FOT. ROMAN KOSZOWSKI/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

Sprawa dr Katarzyny Jachimowicz, polskiej lekarki, która została zwolniona z pracy w Norwegii, bo obstawała przy klauzuli sumienia, stanie na wokandzie norweskiego Sądu Najwyższego

Dwa lata dokształcania się i nauka niełatwego języka norweskiego – tyle czasu dr Katarzynie Jachimowicz zajęła zamiana gabinetu lekarza rodzinnego w Polsce na gabinet w Norwegii. Dokształcanie było konieczne, bo lekarz rodzinny w kraju fiordów ma dużo szersze kompetencje niż jego kolega po tej samej specjalizacji w Polsce. Musi wykonywać drobne zabiegi chirurgiczne, mieć podstawowe kompetencje z zakresu ginekologii, prowadzi ciąże pacjentek, a jeśli jest potrzeba, to udziela także podstawowej pomocy psychologicznej.

Doktor Jachimowicz wraz z mężem – także lekarzem – i dwójką dzieci do Norwegii przyjechała w 2008 r. – Zdecydowaliśmy się na wyjazd nie tylko z powodu frustracji wywołanej stanem polskiej służby zdrowia. Była w nas ciekawość świata, ale także chęć rozwijania się zawodowo, popracowania w innych warunkach niż polskie. Taki wyjazd zawsze jest dla lekarza rozwojowy – opowiada dr Jachimowicz. I dodaje: – W Polsce co chwila zmieniają się przepisy, kompetencje lekarza rodzinnego są niejasne, ograniczane. Chciałam popracować tak naprawdę, a nie tylko wypisywać skierowania i recepty. Zakładaliśmy, że zostaniemy trochę w Norwegii, i jak się zmieni sytuacja w polskiej służbie zdrowia, to wrócimy do kraju.

BEZ ABORCJI I WKŁADEK

W 2011 r. dr Jachimowicz znalazła pracę w przychodni w gminie Sauherad, ok. 130 km na południowy zachód od Oslo. Najpierw na roczne zastępstwo, stały angaż dostała rok później. Zastrzegła, że ze względu na wyznawany światopogląd nie będzie kierować pacjentek na aborcję ani zakładać wkładek domacicznych, które mogą mieć działanie wczesnoporonne. Jak mówi – pracodawca nie miał obiekcji.

Problem pojawił się w 2015 r., kiedy w Norwegii weszły w życie nowe przepisy. Zgodnie z nimi lekarze rodzinni nie mogą korzystać z klauzuli sumienia, choć medycy i inny personel w szpitalu może się nią posłużyć, jeśli nie chce uczestniczyć w aborcji. Ponieważ dr Jachimowicz zastrzegła, że nie kieruje pacjentek na aborcje i nie zakłada wkładek, po wejściu w życie nowych przepisów została wezwana przez pracodawcę. Jako jedyna, bo choć w przychodni wkładek domacicznych z braku umiejętności nie zakładał żaden lekarz, to tylko ona powołała się na klauzulę sumienia. – Postępowałam jak wszyscy inni lekarze w mojej przychodni. Kierowaliśmy pacjentki do ginekologa. Gmina chciała jednak, żebym poszła na szkolenie i nauczyła się zakładania wkładek. Zwróciłam jednak uwagę, że wchodzi tym samym w nie swoje kompetencje. Jako lekarz chętnie się dokształcam, ale pod warunkiem że jest to zasadne medycznie, a dana umiejętność będzie mi przydatna. Tymczasem z ogólnonorweskich statystyk wynika, że w 2014 r. zakładanie tych wkładek stanowiło 0,27 promila wykonywanych usług medycznych. Gdybym nawet nauczyła się to robić, nie udałoby mi się tej umiejętności

eprasa.pl 8d31aeab18

zachować, nie miałabym gdzie ćwiczyć, zwłaszcza że Sauherad to gmina rolnicza, jej mieszkańcy to głównie starsze osoby, które nie korzystają z wkładek domacicznych. Gdzie tu logika? – pyta dr Jachimowicz. – Nikogo innego gmina nie chciała wysłać na szkolenie, tylko mnie, która miała obiekcje natury moralnej.

Doktor Jachimowicz ostatecznie została zwolniona z przychodni – jako jedyna, choć spornych zabiegów dalej nie wykonuje tam żaden inny lekarz. – Blisko 900 osób straciło swojego lekarza rodzinnego, i to w gminie, w której trudno jest znaleźć kogoś na stałe. Moi pacjenci pisali do ministra zdrowia z prośbą o przywrócenie mnie do pracy, swoją petycję wystosowali także Polacy mieszkający w Norwegii. Pozostały bez odpowiedzi – opowiada dr Jachimowicz.

„NIE PRÓBUJĘ SIĘ RZĄDZIĆ"

Szybko znalazła drugą pracę – na oddziale psychiatrycznym szpitala. Jednak z dużo niższą pensją, bo dopiero robi specjalizację z psychiatrii, a lekarz bez specjalizacji zarabia mniej. I choć podkreśla, że przyjechała do Norwegii, żeby w spokoju pracować, a nie żeby walczyć, to postanowiła wystąpić do sądu w sprawie swojego zwolnienia. – Lekarze norwescy nie wykazywali chęci walki w tej sprawie, uznali, że skoro państwo ma wymagania sprzeczne z ich światopoglądem, to zmienią pracę. Ja jednak pomyślałam sobie, że skoro w tym kraju mieszkam, skoro tu pewnie będą już mieszkać moje dzieci, skoro jest tu dużo Polaków, to powinnam zawalczyć – mówi dr Jachimowicz. – To nie jest historia polskiej katoliczki, która przyjechała do Norwegii i próbuje się rządzić. Jestem polską katoliczką, która chce się dostosować do fajnej, norweskiej, protestanckiej tradycji. Moja batalia sądowa to kwestia walki o prawa człowieka w Norwegii. Jednym z nich jest wolność wyznania i przekonań. To jest historia norweska i ogólnochrześcijańska – mówi dr Jachimowicz.

Po dziewięciu miesiącach od zwolnienia pomoc polskiej doktor zadeklarowała Norweska Unia Lekarzy Chrześcijańskich (NKLF), pieniądze na pokrycie kosztów prawnych wpłacali zwyczajni obywatele Norwegii, jej działania poparł katolicki biskup Bernt Eidsvig, przyszło też wsparcie z zagranicy – z międzynarodowej organizacji CitizenGO i Alliance Defending Freedom z USA.

Magnar Kleiven z NKLF tłumaczy nam, że jego organizacja od wielu lat walczy o to, żeby norwescy lekarze mieli prawo do odmowy wykonywania zabiegów niezgodnych z ich światopoglądem – głównie aborcji. – Od 1978 do 2011 r. mieliśmy rodzaj nieformalnego prawa do wolności sumienia. Lekarz mógł zawrzeć porozumienie z lokalnymi władzami i korzystać z wolności sumienia tak długo, jak długo kobieta miała mimo to dostęp do aborcji. W 2011 r. rząd wystosował list, w którym te nieformalne umowy określił jako nielegalne. Część gmin zignorowała to pismo, tak jak gmina Sauherad, w której pracowała dr Jachimowicz. W innych wielu lekarzy, którzy nie chcieli kierować kobiet na aborcję czy zakładać wkładek domacicznych, musiało odejść z pracy. Jednak w 2014 r. przegłosowano ustawę w tej sprawie – tłumaczy Kleiven. Dodaje, że dr Jachimowicz dostała pełne wsparcie organizacji – zarówno finansowe, jak i w formie petycji. – Było to zupełnie naturalne. To nie tylko jest walka Katarzyny, ale wszystkich lekarzy, którym zależy na wolności sumienia w Norwegii.

Wyrok w pierwszej instancji, który zapadł w lutym, nie był korzystny dla dr Jachimowicz. Sąd uznał, że powołanie się przez polską lekarkę na klauzulę sumienia było dyskryminacją kobiet. Jednak sąd drugiej instancji, który wydał wyrok pod koniec listopada, uznał, że zwolnienie jej z pracy było naruszeniem praw człowieka. – Gmina Sauherad zdecydowała, że odwoła się od tego wyroku do Sądu Najwyższego Norwegii – poinformował nas mec. Frode Laureid, pełnomocnik gminy. – Gmina nie podziela punktu widzenia sądu, jakoby doszło do złamania praw człowieka w tej sprawie. Zwolnienie dr Jachimowicz było niezbędne, by zabezpieczyć prawa pacjentów.

Doktor Jachimowicz ze swoim prawnikiem też zastanawia się nad odwołaniem. – Ten werdykt nie jest jasny. Obie strony czują, że to wygrana, ale nie bardzo wiadomo, co z niej wynika. Z jednej strony, sąd uznał naruszenie praw człowieka, ale z drugiej – zwrócił uwagę, że gmina postąpiła zgodnie z przepisami. Nie zasądzono mi odszkodowania, a gmina musiałaby mnie przywrócić do pracy, ale jedynie w 20-procentowym wymiarze. Orzeczenie, że naruszone zostały prawa człowieka, jest pewną furtką, ale nie wiem, czy mogliby na tym skorzystać inni lekarze – mówi. Jest gotowa na to, by w sprawie wystąpić nawet przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka (ETPCz).

Kleiven liczy, że Sąd Najwyższy przyzna dr Jachimowicz rację, a to zmusi Norwegię do zmiany prawa. – Jeśli tak się nie stanie, to będziemy wspierać Katarzynę także w sprawie przed ETPCz – deklaruje.

W Polsce podpisy pod petycją do norweskich polityków w sprawie dr Jachimowicz zbiera CitizenGo. Podpisało się pod nią blisko 200 tys. osób. – Dziękuję wszystkim, którzy do tej pory udzielili mi wsparcia. Ci, którzy chcieliby dołączyć do tej grupy, mogą to zrobić na trzy sposoby: modlitwą, rzetelnym informowaniem o mojej sprawie, a także wpłatami na rzecz kosztów prawnych, jakie mnie jeszcze czekają, a są to kwoty trudne do udźwignięcia – mówi dr Jachimowicz.

SOLIDARNOŚĆ PO NORWESKU

Prezes Instytutu Ordo Iuris, mec. Jerzy Kwaśniewski, który występuje w sprawach o łamanie międzynarodowych konwencji przez Norwegię, zwraca uwagę, że obecność 100 tys. Polaków w tym liczącym 5,3 mln mieszkańców kraju ma duży wpływ na debatę publiczną. – Zaczynają się w niej pojawiać tematy, które wcześniej nie były obecne. Polacy, którzy nie ulegli norweskiej politycznej poprawności, kiedy widzą, że ich podstawowe prawa są łamane, protestują, zabierają głos. Chodzi nie tylko o sprawy rodzinne, lecz także relacje między dziećmi a rodzicami. Polacy podnieśli też kwestię wolności zrzeszania się w związkach zawodowych, bo zobaczyli, że te, które funkcjonują w Norwegii, bywają fasadowe, mocno związane z pracodawcą. To paradoks, że w socjalistycznej Norwegii Polacy zaczęli walczyć o prawa pracownicze, zakładać własne związki – m.in. Solidaritet Norge – mówi mec. Kwaśniewski i dodaje, że dyskusja o ograniczaniu lekarzom korzystania z klauzuli sumienia przed sprawą dr Jachimowicz była nieobecna w szerszej dyskusji akademickiej, w mediach. – Teraz jest szansa na zmiany. Klauzula sumienia lekarzy jest obecna w doktrynie ETPCz, znalazła też potwierdzenie w uchwale Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Nie ma powodu, by lekarze w Norwegii mieli być pozbawieni tego środka ochrony wolności sumienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. LASKI DIFFUSION/GETTY IMAGES

ZBRODNIARZ PATRONEM SZKOŁY

Feliks Dzierżyński, zwany też Krwawym Feliksem oraz Czerwonym Katem, został patronem szkoły średniej w Krasnodarze na południu Rosji. Według lokalnego portalu informacyjnego był to pomysł szkolnej społeczności i regionalnego zarządu Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Samo liceum od dawna objęte jest patronatem FSB. Uczniowie stworzyli w nim ekspozycję opowiadającą o służbie w organach bezpieczeństwa. Szkoła zdecydowała się na wybór twórcy Czeka, odpowiedzialnego za wymordowanie setek tysięcy „wrogów ludu", czyli przeciwników bolszewików, we wrześniu, bo wtedy mijała 140. rocznica urodzin Dzierżyńskiego.

POSEŁ GEJ, HOMOUSTAWA I OŚWIADCZYNY

W Australii politycy debatują nad zalegalizowaniem małżeństw osób tej samej płci. Podczas omawiania zapisów przyszłej ustawy liberalny poseł Tim Wilson ze łzami w oczach zaproponował taki związek (wciąż jest nielegalny) swojemu ukochanemu, śledzącemu obrady parlamentu na galerii. – Obaj wiemy, że to nie jest powód, dla którego zaangażowaliśmy się w politykę – powiedział Wilson. – Jednak w moim pierwszym wystąpieniu zdefiniowałem więź dotyczącą obrączki na naszych lewych dłoniach. I pozostało mi tylko jedno pytanie: Ryanie Patricku Bolger, czy wyjdziesz za mnie? – zapytał. Jego wybraniec się zgodził. Czy jednak, mimo zarzekania, nie jest to prawny lobbing we własnym, pardon, interesie?

SAMOCHODEM W KOSMOS

Elon Musk – znany z tego, że dorobił się na internetowych płatnościach PayPal i zapowiada wciąż, że dorobi się na kolejnych, spektakularnych przedsięwzięciach – ogłosił, iż jego kosmiczna firma SpaceX wyśle w przestrzeń rakietę, której ładunkiem będzie samochód Tesla Roadster. Potem sam to zdementował. Nie wiadomo, co Musk wyśle w kosmos. Na razie kosmicznie wychodzi mu „przepalanie" pieniędzy w firmie produkującej elektryczne samochody. Co kwartał notuje wielkie straty, spóźnia się z dostawą aut do klientów, a w dodatku – tak jak ostatnio plotkowano w mediach – samochody są już tak szybko i źle produkowane, że przed oddaniem klientom mają trafiać na linię naprawiania usterek.

SELFIE Z GRANATEM

Pewien Rosjanin z Łabińska korespondował z kolegą za pomocą SMS-ów. W pewnym momencie podesłał zdjęcie z granatem bez zawleczki, który trzymał w dłoni. To prawdopodobnie było jego ostatnie w życiu zdjęcie – jak poinformowała policja, mężczyzna zginął. Zdaniem funkcjonariuszy nie był w stanie włożyć zawleczki granatu z powrotem. Jest też podejrzenie, że Rosjanin mógł być przekonany, że granat wybucha dopiero, gdy się go rzuci. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O odrażających Włochach

Kłamstwo, wierutne kłamstwo i statystyka" – stopniował Mark Twain. Gdyby żył dziś, musiałby jeszcze dodać „statystyka zaangażowana". W słusznej sprawie walki z przemocą wobec kobiet zideologizowany organ włoskich postępowców „La Repubblica", druga gazeta Italii, wyprodukował w zeszłym tygodniu super fake newsa.

Tytuł krzyczał: „6 788 000 Włoszek, czyli co trzecia, w wieku od 16 do 70 lat doświadczyło męskiej przemocy". Dane przerażające i porażające, nawet biorąc pod uwagę, że południe Włoch to bastion kultury macho. Okazało się jednak, że imponującą rozmiarami i dokładnością liczbę dziennik wywiódł, ekstrapolując na całą żeńską populację dane sondażu sprzed trzech lat oraz zakładając, że spośród rzekomych 6,7 mln ofiar 4,4 mln nie doświadczyło przemocy fizycznej, ale psychicznej.

Naturalnie psychicznego znęcania się nad kobietami lekceważyć nie wolno. Natomiast metodologię zastosowaną przy konstrukcji i analizie sondażu – jak najbardziej. Autorzy badań nie zaufali indagowanym paniom. Nie zapytali wprost o przemoc psychiczną, bo wyszli z założenia, że Włoszki są maltretowane psychicznie przez panów, ale nie zdają sobie z tego sprawy. Postawili im 20 podchwytliwych pytań, a następnie diagnozę. Pytania? Oto kilka: „Czy partner krytykuje sposób, w jaki pani się ubiera lub czesze?", „Czy partner krytykuje przygotowywane przez panią potrawy?", „Czy kontroluje, ile i jak wydaje pani pieniądze?", „Czy szantażuje panią, że się zabije?".

„Tak" na którekolwiek z tych pytań kwalifikowało respondentkę jako ofiarę przemocy. Wyjaśnijmy od razu, że sakramentalnego pytania o to, jak partner reaguje na przesoloną zupę, nie było. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 8d31aeab18

Z Szewachem Weissem, profesorem nauk politycznych, byłym przewodniczącym Knesetu oraz byłym ambasadorem Izraela w Polsce
rozmawia Jacek Przybylski

Trump musi mieć plan

Decyzja Donalda Trumpa o oficjalnym uznaniu Jerozolimy za stolicę Izraela wywołała gwałtowne protesty Palestyńczyków FOT. AP/EAST NEWS

JACEK PRZYBYLSKI: Decyzja prezydenta Donalda Trumpa o uznaniu Jerozolimy – świętego miejsca trzech wielkich religii – za stolicę Izraela wzburzyła Arabów. Przywódca libańskiego Hezbollahu, szejk Hasan Nasr Allah, wezwał Palestyńczyków do nowej intifady. Liderzy Hamasu w Gazie ogłosili, że deklaracja Trumpa „otwiera bramy piekieł". Czy wkrótce dojdzie do kolejnego krwawego powstania Palestyńczyków przeciw izraelskiej okupacji?

SZEWAH WEISS: Hasan Nasr Allah wzywa Palestyńczyków do powstania średnio raz na tydzień. Podobnie rzecz się ma z przywódcami Hamasu. Te dwie organizacje znacząco utrudniają kroki zmierzające do podpisania przez Palestyńczyków umowy pokojowej z Izraelem.

Czy wybuchnie nowa intifada? Tego nie wie nikt. W 2015 r. zaczęła się „intifada noży", polegająca na dokonywaniu przez Palestyńczyków napadów na Izraelczyków właśnie z użyciem noży.

Izrael dał sobie z tym radę. To tragiczne wydarzenia dla obu stron. Trzeba jednak pamiętać, że Bliski Wschód jest targany przemocą już od wielu lat. W Syrii, Iraku, Jemenie i innych częściach regionu toczą się krwawe wojny.

Ta deklaracja Trumpa nie uspokoi sytuacji w regionie. Dlaczego prezydent USA mógł podjąć taką decyzję?

Nikt na pewno tego nie wie. Dziwne byłoby jednak, gdyby Trump przed ogłoszeniem tej decyzji nie konsultował się z premierem Izraela. USA mają wiele różnych interesów na Bliskim Wschodzie i budują w regionie różne koalicje, np. do walki z Państwem Islamskim. Ameryka stara się też nie dopuścić do poszerzania rosyjskich wpływów w regionie. Do grona amerykańskich sojuszników poza Izraelem należą więc choćby Egipt, Arabia Saudyjska, Jordania i inne kraje. Trump, ogłaszając zatem swoją deklarację w sprawie Jerozolimy, musiał zdawać sobie sprawę z wagi tej decyzji. Po niemal roku prezydentury wiemy już, że Donald Trump – wraz z armią doświadczonych doradców – działa o wiele bardziej racjonalnie, niż można by sądzić po jego przemowach czy wpisach na Twitterze.

Ta deklaracja Trumpa to przecież koniec marzeń o procesie pokojowym. Palestyńczycy mówili jasno, że nie zaakceptują Jerozolimy jako stolicy Izraela.

Niekoniecznie. Rzeczywiście Stany Zjednoczone nie będą mogły już być głównym negocjatorem między Izraelem i Palestyńczykami w sprawie realnego procesu pokojowego. Oficjalnie ten proces został przerwany, ale nie wiemy, co się dzieje za kulisami. Zauważmy jednak, że proces ten przerwano m.in. dlatego, że Izrael nie może się zgodzić na umowę pokojową dopóty, dopóki któryś z palestyńskich liderów nie zagwarantuje, że będzie ona realizowana i Hamas nie będzie jej podważał. Wracając do Trumpa, nie wyobrażam sobie, by podjął taką decyzję bez długofalowego planu. Zwłaszcza że ogłoszenie takiej deklaracji zapowiadał jeszcze podczas kampanii wyborczej.

Mógłby on np. zakładać, że po jakimś czasie USA zaczną naciskać na Izrael, aby doprowadzić do powstania niezależnego państwa palestyńskiego, i wymuszą na izraelskich władzach zgodę, aby Jerozolima była nie tylko stolicą Izraela, lecz także stolicą państwa palestyńskiego. To oczywiście skomplikowana kwestia: dla Izraela Jerozolima jest symbolicznym centrum tożsamości, historii, kultury i państwowości żydowskiej. Podobne wartości Jerozolima ma też dla Arabów. Próbę rozwiązania tego problemu podjął prezydent Bill Clinton w styczniu 2001 r. w Camp David, proponując na tydzień przed końcem swojej kadencji, aby w Jerozolimie znalazło się miejsce dla stolic dwóch krajów: Izraela i państwa palestyńskiego. Arafat nie zgodził się jednak na takie rozwiązanie.

Przeniesienie ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy wywołało ogromne wzburzenie nie tylko wśród Palestyńczyków, lecz także w wielu miejscach na świecie. Turcja ostrzegła, że decyzja Trumpa pogrąży Bliski Wschód i świat w „pożodze bez końca". Przed „niebezpiecznym krokiem" ostrzegał USA król Arabii Saudyjskiej. Czy to oznacza, że Bliski Wschód jest o włos od wybuchu wojny regionalnej?

Ogień na Bliskim Wschodzie pali się cały czas. Owszem, sytuacja jest napięta. Państwa arabskie, takie jak Egipt, Jordania czy Arabia Saudyjska, nie zdecydują się na wojnę z Izraelem. Nie zrobi tego też Turcja. Każde z tych państw zdaje sobie bowiem sprawę, jaką siłą dysponuje Izrael. Bardzo bym jednak nie chciał, aby sytuacja zmierzała ku wojnie. Nadal mam jednak nadzieję, że uda się doprowadzić do porozumień pokojowych.

USA będą jedynym państwem, które uznaje Jerozolimę za stolicę Izraela. Czy spodziewa się pan, że do Ameryki dołączą inne kraje?

Nie sądzę. Z deklaracją Trumpa nie zgadzają się Francja, Wielka Brytania, Rosja, Chiny, Australia oraz wiele krajów w Europie i poza nią. Polska nie zrobi zaś nic dramatycznego bez porozumienia z Unią Europejską. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

Nowa moc uchroni przed

Jacek Przybylski

Wprowadzenie rynku mocy w Polsce może dać impuls do niezbędnych inwestycji w energetyce. Bez nowych rozwiązań odbiorcom mogą grozić przerwy w dostawie prądu oraz ogromny wzrost wysokości rachunków

W zorganizowanej w redakcji „Do Rzeczy" debacie o rynku mocy wzięli udział (od lewej) Jarosław Broda (Tauron Polska Energia), prof. Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej, Jarosław Dybowski (Energa Obrót), Mirosław Kowalik (Enea), minister energii Krzysztof Tchórzewski, Eryk Kłossowski (Polskie Sieci Elektroenergetyczne) oraz Henryk Baranowski (PGE Polska Grupa Energetyczna) FOT. PROFESJONALNA.TV

Zatrzymane schody ruchome i windy w centrach handlowych, wyłączona klimatyzacja w biurowcach, wygaszone światła na klatkach schodowych oraz apele o to, aby między godz. 11 a 15 ograniczyć korzystanie z pralek i zmywarek. Tak wyglądał „blackout" latem 2015 r. Wprowadzenie 20. stopnia zasilania sprawiło wówczas także, że część polskich fabryk musiała ograniczyć produkcję. Takie sytuacje mogą się powtarzać. Brak prądu może też prowadzić do czarnego scenariusza i prawdziwego blackoutu, gdy nie działają bankomaty, sklepy czy stacje benzynowe, a po kilku dniach wyczerpują się awaryjne źródła zasilania szpitali.

Polskie Sieci Elektroenergetyczne już w zeszłym roku ostrzegały: w latach 2021–2035 w Polsce może wystąpić nie tylko niedobór wymaganej nadwyżki mocy, lecz także brak możliwości pokrycia zapotrzebowania odbiorców przez krajowe elektrownie. Import brakującego prądu z Niemiec czy Szwecji oznaczałby zaś wyższe rachunki. Bezpieczeństwo energetyczne kraju wymaga jednak, aby Polska mogła liczyć głównie na siebie.

NIEBEZPIECZNA RULETKA

Sytuację może poprawić budowa nowych lub modernizacja już istniejących bloków energetycznych (wymaga jej większość z działających w Polsce bloków klasy 200 MW). Ta jednak wymaga nakładów idących w dziesiątki miliardów złotych. Przy obecnym stanie rynku trudno oczekiwać od szefów firm energetycznych podjęcia tak ogromnych inwestycji.

Aby dać do nich impuls i zachować długoterminowe bezpieczeństwo dostaw energii, rząd zdecydował o wprowadzeniu w Polsce rynku mocy. Ministerstwo Energii trudne negocjacje w tej sprawie z Komisją Europejską prowadzi już od wielu miesięcy. Minister energii Krzysztof Tchórzewski jest jednak dobrej myśli i zakłada, że przyjęta w środę przez posłów ustawa wejdzie w życie w styczniu 2018 r. Po notyfikacji odbędą się pierwsze aukcje główne na dostawy w latach 2021–2023.

– Rok 2015 odebraliśmy jako ostrzeżenie. Możemy mieć pewne kłopoty np. z planowanymi wyłączeniami bloków energetycznych związanymi z koniecznymi naprawami i przeglądami.

Zwłaszcza że wzrost gospodarczy i rosnąca zamożność Polaków powoduje wzrost zużycia energii elektrycznej w Polsce i po stronie przemysłowej, i po stronie indywidualnego odbiorcy. Poradzimy sobie z tymi wyzwaniami, chociaż musimy przyspieszyć inwestycje. Temu właśnie służy wprowadzenie rynku mocy – mówił podczas debaty w redakcji „Do Rzeczy" minister energii Krzysztof Tchórzewski, zaznaczając, że już od stycznia do Krajowego Systemu Elektroenergetycznego wejdzie nowy blok w Kozienicach o największej mocy w Polsce (1075 MW). Pod koniec 2018 i w 2019 r. do systemu będą wchodziły również dwa bloki w Opolu. – Szybkie wdrożenie rynku mocy jest konieczne, ponieważ w obecnym systemie, w którym pierwszeństwo ma energetyka odnawialna, moce konwencjonalne stoją w odwodzie i czekają, przez co nie wypracowują takiej liczby godzin, które generowałyby przychody zapewniające rentowność tych bloków energetycznych – tłumaczył minister Tchórzewski.

Elektrownie wiatrowe mają bowiem tę wadę, że gdy zapotrzebowanie na energię w Polsce jest największe – np. w szczycie letnim – to akurat wtedy kręcą się dużo słabiej, ponieważ wiatru nie ma niemal wcale. Braki prądu muszą wówczas uzupełniać elektrownie konwencjonalne.

Obowiązujący obecnie w Polsce jednotowarowy rynek energii już wkrótce zostanie więc zastąpiony rynkiem dwutowarowym (energii i mocy).

– Jednotowarowy rynek energii niedopełniony rynkiem mocy w Europie przypo-

eprasa.pl 8d31aeab18

blackoutami

mina kasyno. Generalnie ceny utrzymują się na dość niskich poziomach, gdyż są dyktowane przez energetykę odnawialną – silnie subsydiowaną, pozbawioną takiego czynnika jak koszty zmienne, przez co jej koszt krańcowy jest bardzo niski. Ceny wypiętrzają się jednak w sytuacjach stresu w systemie energetycznym. Czy jednak jako bankier lub racjonalnie działający inwestor zaryzykowałbym swoje pieniądze w tym kasynie i dał te miliardy energetyce, jeżeli muszę liczyć na to, że cały mój zwrot z inwestycji zależy od tego, czy rzeczywiście pojawi się tych kilka godzin stresu, kiedy to ceny wypiętrzą się do niebotycznych poziomów sięgających kilkudziesięciu tysięcy euro za megawatogodzinę? Nie. A jeśli mam zrobić coś takiego pod jakąś presją, to zażądam nienormalnie wysokiej premii na pokrycie tego ryzyka – tłumaczył Eryk Kłossowski, prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych SA, dodając, że koszt tak drogiego kredytu w ostatecznym rozrachunku zostanie przerzucony na odbiorców energii. – Bez rynku mocy te ceny prędzej czy później musiałyby wzrosnąć, ale już w sposób kompletnie niekontrolowalny dla polityków, zarządów spółek energetycznych, opinii publicznej czy odbiorców energii. Myślę, że nie chcemy żyć w rzeczywistości kasyna, rynek mocy jest więc szansą na zaprowadzenie porządku – podkreślał Kłossowski.

Podobnie uważa prezes zarządu Enea SA. – Nie możemy eksperymentować i grać w tym energetycznym kasynie, bo albo nie zdobędziemy pieniędzy na inwestycje, albo będą one na tyle drogie, że i tak musielibyśmy ten koszt przełożyć na klienta, co oznaczałoby o wiele wyższe rachunki za energię – zaznaczył Mirosław Kowalik. – Od 1990 r. energetyka poniosła ogromne koszty na modernizację istniejących bloków i dostosowanie ich do unijnych regulacji. Popyt na energię rośnie i trzeba odpowiedzieć sobie, jak możemy pokryć zapotrzebowanie w okresach szczytowych: zimą oraz latem. A według szacunków PSE do 2035 r. zapotrzebowanie na moc wzrośnie do 35 GW. Potrzeba więc nowych elektrowni. Rynek mocy będzie stabilizował jednostki wytwórcze, zwiększy dostępność elektrowni konwencjonalnych dla operatora systemu przesyłowego, a także da impuls inwestycyjny. Jeżeli dostaniemy wsparcie na 15 lat na nowe inwestycje, to jesteśmy w stanie zdobyć na rynku tańszy pieniądz – zauważył Mirosław Kowalik, prezes Enei.

– Rynek energii podlega ogromnej presji regulacyjnej i już dawno przestał być wolnym rynkiem. Preferowanie odnawialnych źródeł energii i wiele innych elementów sprawiło, że swobodna konkurencja przestała istnieć. Tradycyjne jednostki, stanowiące podstawę systemu, nie zarabiają zaś na swoje modernizacje. Rynek mocy ma naprawić rynek energii i wprowadzenie takiego elementu jest niezbędne, aby nasi klienci mieli stały dostęp do energii. Warto też podkreślić, że to nie będzie prezent dla firm energetycznych. Odbędą się aukcje, dzięki którym takie rozwiązanie będzie efektywne kosztowo – przekonywał podczas debaty Jarosław Broda, wiceprezes zarządu Tauron Polska Energia. – Alternatywą dla rynku mocy byłyby skokowe wzrosty cen w szczytach, podczas których ceny energii wzrastałyby nagle ze 160 zł do 6–8 tys. zł. Wówczas firmy energetyczne miałyby pieniądze na inwestycje. Jestem jednak przekonany, że ani braku prądu, ani tak dużej zmienności żaden klient nie chce – dodał Jarosław Broda.

ILE ZAPŁACI KOWALSKI?

Doświadczenia brytyjskie pokazują jednak, że wprowadzenie rynku mocy nie musi automatycznie dawać wystarczających sygnałów inwestycyjnych do budowy nowych bloków. Może też prowadzić do wzrostu cen. A ile do rynku mocy i inwestycji w bezpieczeństwo energetyczne – do 2030 r. koszty mogą wynieść ok. 30 mld zł – dopłaci przeciętny Kowalski?

Według uczestników debaty „Do Rzeczy" dla przeciętnego gospodarstwa domowego koszt wprowadzenia rynku mocy wyniesie kilka złotych miesięcznie. Opłata mocowa doliczana będzie do rachunku za prąd dopiero od 2021 r. – To obciążenie uzależniamy jednak od wielkości odbioru, czyli de facto od zamożności klienta. Dla tych najmniejszych odbiorców opłata mocowa wyniesie 2–2,5 zł miesięcznie, a dla najbogatszych 7–9 zł miesięcznie – wyjaśnił minister Tchórzewski.

– Rynek mocy to mechanizm stosowany już w kilku krajach europejskich. Potrzebujemy dodatkowych pieniędzy na inwestycje, ponieważ musimy spełniać wymagania klimatyczne wyznaczane przez Unię Europejską i musimy modernizować nasze instalacje. Z wyliczeń Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej wynika, że przez niewprowadzenie rynku mocy i zaniechanie inwestycji klienci straciliby z powodu zakłócenia bezpieczeństwa energetycznego i przerw dostaw ok. 10 mld zł w latach 2021–2030 – zauważył podczas debaty Henryk Baranowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Jarosław Dybowski, prezes zarządu Energa Obrót SA, przekonywał z kolei, że klienci nie mają się czego bać, ponieważ podobny mechanizm jak rynek mocy, czyli kontrakty terminowe, już w Polsce funkcjonował. – Pozwoliło to m.in. na odbudowę mocy wytwórczych w energetyce, ograniczenie emisji itd. Rynek mocy jest podobny, tyle że bardziej efektywny – podkreślił Jarosław Dybowski.

eprasa.pl 8d31aeab18

– Rynek mocy to nie jest żaden rynek. To scentralizowany system subsydiów energetyki konwencjonalnej. Oczywiście te subsydia nie są dawane tak ot, tylko są rozdawane w systemie przetargowym, ale są to subsydia – tłumaczył prof. Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej. – Potrzebujemy tych subsydiów, ponieważ sytuacja w energetyce jest zła. 70 proc. majątku wytwórczego ma już 30 lat, a to jest już wiek graniczny itd. Dane GUS pokazują, że spadek inwestycji w energetyce za pierwsze trzy kwartały wynosi ponad 18 proc., a w zeszłym roku spadek ten wynosił 13 proc. Widać więc, że energetyka potrzebuje dodatkowego zasilania. Gorzej jest tylko w górnictwie – dodał prof. Władysław Mielczarski, który boi się jednak, że rynek mocy nie spełni tego zadania. – Miałem mniej obaw, dopóki projekt rynku mocy w Polsce nie został zmieniony pod naciskiem Unii Europejskiej z trzech koszyków technologicznych do jednego koszyka, co prawdopodobnie skończy się tak jak w Wielkiej Brytanii, że 80–90 proc. pieniędzy zdobyły elektrownie istniejące, czyli pieniądze te znów pójdą po prostu na remonty – przekonywał prof. Mielczarski.

KONIECZNA TRANSFORMACJA

Ministerstwo Energii kładzie również nacisk na rozwój nowych technologii. Za niecałe 10 lat w Polsce ma powstać np. elektrownia o mocy 500 MW, która będzie zasilana paliwem ze zgazowanego węgla. To nowatorska technologia i czystsze źródło energii. Takie źródła są dziś niezbędne, ustalenia brukselskie wywołują coraz ostrzejsze limity emisji zanieczyszczeń do powietrza.

– Wprawdzie w Unii Europejskiej nie ma zakazu budowy elektrowni węglowych, jestem jednak przekonany, że Bruksela nie zgodzi się na to, aby po 2020 r. ktokolwiek dostał publiczne pieniądze na budowę tego typu bloków – prognozował prof. Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej, który spodziewa się, że rynek mocy w Polsce „i tak za pięć lat umrze śmiercią naturalną".

– Presja na sektor energetyczny ze strony Unii Europejskiej trwa od wielu lat i pewnie nie zniknie. Dlatego budowanie dzisiaj elektrowni węglowych bez żadnego mechanizmu gwarantującego bezpieczeństwo zwrotu z inwestycji jest bardzo trudne – zauważył Jarosław Broda, wiceprezes zarządu Tauron Polska Energia. – Paradoksalnie postrzegam rynek mocy i utrzymanie jednostek 200-megawatowych jako mechanizm, który może wspomóc transformację energetyki. Bo gdy mamy zapewnioną stabilność dostaw, to możemy eksperymentować np. z większym otwarciem na import energii, z różnymi systemami odnawialnych źródeł energii. I nawet jeśli za pięć lat skończy się rynek mocy dla istniejących jednostek, to i tak zyskamy czas, aby zmieniać energetykę efektywnie kosztowo i z korzyścią dla gospodarki – dodał Jarosław Broda, zaznaczając, że za parę lat niektóre odnawialne źródła energii mogą być o wiele tańsze niż obecnie.

– Energetyka się zmieni, kiedy zostaną opanowane magazyny energii, ogniwa paliwowe, kiedy prosument rzeczywiście będzie prosumentem. Na to potrzeba jednak jeszcze kilkunastu lat – prognozował Henryk Baranowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej SA.

Dla najmniejszych odbiorców opłata mocowa wyniesie 2–2,5 zł miesięcznie, a dla najbogatszych 7–9 zł miesięcznie

W co inwestować tak duże pieniądze? – Każda z grup przygotowuje się na transformację. Kierunki zmian wskazuje nam Ministerstwo Energii. Mówimy więc o klastrach energetycznych, instalacjach hybrydowych i tych elementach, które zmierzają w stronę energetyki rozproszonej – mówił Mirosław Kowalik, prezes Enei, ostrzegając przed niekorzystnym dla gospodarki „przeregulowaniem" rynku energii, do którego doszło m.in. w Czechach czy w Hiszpanii. – Każda z firm patrzy na nowe technologie i obserwuje, kiedy zostanie przekroczony punkt opłacalności w Polsce. Musimy więc mądrze zmieniać miks energetyczny, pamiętając, że w wielu krajach świata nadal inwestuje się w energetykę węglową – przekonywał prezes Kowalik, podkreślając, że firmy energetyczne muszą być też przygotowane do wyzwań, jakie niosą za sobą digitalizacja czy nowa rewolucja przemysłowa. – Priorytetem jest bezpieczeństwo dla klientów, przedsiębiorców i rozwoju gospodarki. Drugą rzeczą jest budowanie potencjału finansowego firm energetycznych. Osiągamy zyski i inwestujemy nie tylko w wytwarzanie, lecz także w infrastrukturę sieciową – podkreślił Mirosław Kowalik.

Prezes PGE zauważył, że Polska nigdy nie będzie tak samo efektywnym producentem energii z instalacji fotowoltaicznych jak Hiszpania czy też energii z wiatru, jak np. Holendrzy, bo to jest uzależnione od warunków pogodowych, a na nie wpływu nie mamy. – Powinniśmy więc opierać się na tych zasobach, które są u nas najtańsze i najłatwiej dostępne. Z biegiem czasu będą się one zmieniały. Obecnie jest to jednak węgiel – przekonywał Henryk Baranowski.

– Polska jako kraj na dorobku powinna inwestować w te technologie, które są efektywne ekonomicznie. Energetyka, inwestująca kilkanaście miliardów złotych rocznie, może być też kołem zamachowym dla gospodarki i może pomóc w rozwinięciu nowych technologii. Rynek mocy daje nam gwarancję stabilności systemu, dzięki czemu zyskujemy czas na przygotowanie sieci i systemu do trochę innego funkcjonowania, na rozwinięcie własnych technologii oraz na inwestowanie w efektywne ekonomicznie technologie OZE – podkreślił Jarosław Broda.

– Ważne, aby spojrzeć na rynek mocy całościowo. Kiedyś najważniejszy w energetyce był handel hurtowy. Dzisiaj coraz ważniejszy staje się poziom dystrybucji i sprzedaży. Spadek cen fotowoltaiki oraz alternatywnych źródeł energii sprawia, że jest coraz więcej prywatnych wytwórców, prosumentów, i ich głos jest coraz ważniejszy. I choć duże elektrownie nadal są konieczne, bo dbają o bezpieczeństwo całego systemu, to musimy się dostosowywać do tego, że firmy energetyczne już nie tylko wytwarzają, lecz także pełnią funkcję integratora, kogoś, kto zbiera energię wytwarzaną przez te wszystkie rozproszone źródła. To nowy kierunek, w którym powinniśmy podążać – przekonywał Jarosław Dybowski, prezes zarządu Energa Obrót SA.

– Pracuję w energetyce od 1974 r. Rozwój technologiczny w tych latach, a zwłaszcza po roku 1990, pokazuje, jak szybko za jednymi nowymi technologiami idą następne. Wiele rzeczy dawniej niemożliwych stało się już możliwe. W przyszłości może się więc okazać, że wystarczy fotowoltaika na Saharze, aby bezprzewodowo przesłać energię do Polski. Dla nas najważniejsze jest jednak dziś, czyli pięć lat do przodu, oraz jutro, czyli 10 lat do przodu – mówił minister energii Krzysztof Tchórzewski. – W ramach tej debaty możemy zapewnić Polaków, że energii elektrycznej nie będzie im brakowało – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

Ze Zbigniewem Derdziukiem, byłym prezesem ZUS
rozmawia Stefan Sękowski

Zalepianie dziurek w systemie

STEFAN SĘKOWSKI: W październiku wszedł w życie nowy wiek emerytalny i – jak podaje „Dziennik Gazeta Prawna" – liczba wniosków o ustalenie emerytury już jest wyższa od przewidywanej przez rząd liczby osób, które miałyby wcześniej skończyć pracować. Rząd się przeliczył?

ZBIGNIEW DERDZIUK: Skorzystanie z prawa przejścia na emeryturę jest swobodną decyzją obywateli i zależy od wielu czynników. Założono, że będzie z niego chciało skorzystać 80 proc. uprawnionych, bo tyle w ubiegłych latach przechodziło na emeryturę. I to się sprawdziło.

Jeszcze miesiąc do końca roku. Te emerytury mogą kosztować więcej, niż zaplanowano.

Zachowania obywateli zależą nie tylko od kalendarza, lecz także od oceny bieżącej sytuacji, postrzegania wydolności systemu oraz kalkulacji. To naturalne ruchy społeczne, których nie da się do końca przewidzieć. ZUS powinien być na to przygotowany i zaplanować wypłatę wszystkich świadczeń. Poza limitami przewidzianymi w ustawie budżetowej minister finansów może udzielić FUS pożyczki do 12 mld zł. Wypłaty emerytur nie są zagrożone.

Czyli wszystko jest pod kontrolą i obniżenie wieku emerytalnego nie będzie miało negatywnego wpływu na finanse publiczne?

Odróżniajmy dwie kwestie. Jeśli pyta pan, czy system jest doraźnie przygotowany do wypłaty tych świadczeń, to odpowiadam, że tak. Jednak czym innym jest to, jakie długofalowe skutki przyniesie obniżenie wieku emerytalnego. Co roku przyrasta zadłużenie państwa i już wynosi 1 bln zł. Jeśli wcześniejszy wiek emerytalny rocznie kosztuje nas dodatkowe 10 mld zł, to w ciągu pięciu lat ta suma wyniesie 50 mld zł. Prognozy ZUS na lata 2018–2022, uwzględniające obniżenie wieku emerytalnego, pokazują zmiany struktury ludności. Liczba osób w wieku emerytalnym wzrośnie do 2022 r. o 1,2 mln, a pracujących zmniejszy się o 1,4 mln. Osoby w wieku poprodukcyjnym stanowią 35,1 proc. osób w wieku produkcyjnym, za pięć lat ten współczynnik wyniesie 39,6 proc. Przesunięcie wieku emerytalnego istotnie wpływa na te proporcje.

Emeryci będą coraz większą grupą wyborczą, która będzie naciskała na to, by dopłaty do emerytur były wyższe

Dopóki instytucje finansowe chcą nam pożyczać, dopóty możemy sobie na to pozwolić.

To krótkowzroczne myślenie. Są kraje, którym pożyczkodawcy w końcu odmówili pieniędzy. Zobaczmy, jak drogie były greckie obligacje w kryzysie i jak bolesne były cięcia wymuszone przez rynki finansowe. A już dziś rocznie płacimy ponad 30 mld zł odsetek od naszego długu i mamy niskie oprocentowanie.

Gdy Standard & Poor's określał niedawno naszą perspektywę jako stabilną, było wiadomo, że wiek emerytalny będzie obniżany. Także inne agencje ratingowe już nie traktują nas tak surowo jak na początku rządów PiS.

Agencje ratingowe patrzą na sytuację bieżącą. Emeryci będą coraz większą grupą wyborczą, która będzie naciskała na to, by dopłaty do emerytur były wyższe. Bo świadczenia i zdolność siły nabywczej emerytur będą spadały. Nie tylko ze względu na obniżenie wieku emerytalnego. Pojawiają się nowe pomysły wakacji składkowych, które mają stymulować przedsiębiorczość, a które w dłuższym okresie będą skutkowały niższymi emeryturami, bo gdy nie ma składek, to i kapitał jest niższy. Są też osoby pracujące na umowy o dzieło, od których nie płacą składek

Z drugiej strony Sejm przyjął zniesienie górnego limitu składek dla osób najlepiej zarabiających.

Sprawa dotyczy mniej niż 350 tys. osób, których emerytury w przyszłości będą bardzo wysokie. Będą je wtedy opłacali inni, którzy zarabiają znacznie mniej. To jest bardzo drogie finansowanie bieżących wydatków. Nie jest wykluczone, że ktoś będzie chciał te wypłaty w przyszłości ograniczyć.

Tyle że osoby zamożniejsze, które już od 1 stycznia 2018 r. mają płacić składki od całego dochodu, będą w większym stopniu dorzucać się do systemu. A kiedy one przejdą na emeryturę, to młodsi zamożniejsi też będą płacić te składki. To się nie bilansuje?

eprasa.pl 8d31aeab18

Wpływy będą wyższe o ok. 5,5 mld zł, pod warunkiem że te osoby nie zoptymalizują swoich dochodów, korzystając z którejś z form unikania opodatkowania. Jest jeszcze jeden element, o którym chyba nikt nie pomyślał. Osobom, które do 1999 r., w ramach starego systemu, płaciły składki od całości zarobków, zaliczono do kapitału początkowego tylko te odprowadzone do 30-krotności średniego miesięcznego wynagrodzenia. Teraz te osoby mogą powiedzieć: to niesprawiedliwe, że ci, którzy tak jak my będą teraz płacić składki od całego wynagrodzenia, będą otrzymywać emerytury oparte na całych składkach, a nam obcięto kapitał początkowy. Mogą zechcieć, by tę różnicę im wyrównać.

Co te osoby mogą w tej chwili zrobić?

Być może pojawią się takie roszczenia lub skargi do Trybunału Konstytucyjnego.

Trudno mi sobie wyobrazić, by obecnie TK przyznał im rację.

Sędziowie mają swoje kadencje, a rozstrzygnięcie może się pojawić, gdy zostanie złożony taki wniosek. Zakładam, że bez względu na to, kto wybrał sędziów, Trybunał rozstrzyga zgodnie z konstytucją, a nie zgodnie z polityczną intencją, i takiego założenia chciałbym się trzymać.

Wiek emerytalny, 30-krotność... Mam wrażenie, że zmiany w systemie emerytalnym polegają na niekończącym się zalepianiu kolejnych dziur.

Tych dziur nie da się zalepić bez uporządkowania systemu, w czym m.in. pomogłoby wprowadzenie jednolitej daniny – czegoś, co jest zaniechaniem wielu kolejnych rządów. Pomysł przedstawił dr Paweł Wojciechowski, ale chyba mało osób było w stanie go odpowiednio publicznie przekazać. Taką próbę podjęła premier Ewa Kopacz...

... która sama nie potrafiła go wytłumaczyć.

Tak się dzieje, gdy politycy próbują złożone rozwiązania przekazać w sloganie politycznym. Uproszczony przekaz polityczny nie może pomijać solidnej analizy danych. Te kwestie trzeba solidnie przeliczyć i opisać wpływ na poszczególne grupy interesariuszy. Takie wyzwanie w tym rządzie podjął minister Henryk Kowalczyk...

... ale i ten pomysł został odstawiony na półkę.

FOT. TOMASZ HOŁOD/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Tutaj zabrakło umiejętności dobrej komunikacji i pokazania, jak wiele zyskujemy na tym rozwiązaniu. Nie udało się osiągnąć politycznego konsensusu, bo grupy niezadowolone były sprawniejsze w argumentacji. Udane rozwiązanie to nie tylko poprawna teoria, lecz także przede wszystkim zdolność do przekonania decydentów.

Jednak system emerytalny to nie tylko sposób ściągania składek, lecz także metody naliczania należności i ich wypłacania. Może to należałoby zmienić?

Pojawiają się głosy, że powinniśmy przejść na system emerytury obywatelskiej. Nie podzielam tej idei. Ona z jednej strony jest powszechnym zabezpieczeniem socjalnym, ale jest oczywiste, że nie zapewni odpowiedniego poziomu życia. Wprowadzenie emerytur obywatelskich wymaga rozstrzygnięcia, jakie świadczenia płacić osobom uprawnionym w okresie przejściowym. Co z prawami nabytymi? Ćwiczyliśmy to już przy reformie emerytalnej z 1997 r. Sposób naliczania według systemu zdefiniowanego świadczenia jest korzystniejszy dla emeryta niż obecny system zdefiniowanej składki. To widać wyraźnie, gdy popatrzymy na kapitał początkowy, czyli sumę składek, jaką mają zapisane na koncie osoby pracujące przed 1999 r. Ponadto w 1997 r. założono, że będzie nas stać na wypłacanie bieżących świadczeń na bieżąco oraz odkładanie na przyszłość. To się nie potwierdziło, mamy niższe stopy zastąpienia oraz rosnące zadłużenie.

Jednak nie było nas stać.

Deficyt finansów publicznych się pogłębiał, bo trzeba było płacić świadczenia na bieżąco, jednocześnie przeznaczając część składki na filar kapitałowy. Wprowadzając emeryturę obywatelską, nie da się obciąć wszystkim emerytur do równego poziomu, a byłby on raczej niski. Byłby to szok polityczny i gospodarczy. Pojawia się pytanie: Jak finansować model przejściowy, w którym musimy udźwignąć wygasający stary system i jednocześnie budować nowy z niskimi świadczeniami? Jak zmotywować tych, którym obiecamy niską emeryturę, do

eprasa.pl 8d31aeab18

płacenia składek na wyższe świadczenia bieżących emerytów? To spowoduje erozję zaufania do systemu emerytalnego. Kraje, które mają system emerytur obywatelskich, posiadają też rozbudowane systemy dodatkowego oszczędzania. Obecnie w Polsce dodatkowe oszczędzanie nie jest popularne. Jest kilka instrumentów oszczędzania na emeryturę w ramach III filaru i mamy zapowiedzi nowych instrumentów budowy kapitału.

Są one bardzo słabo wykorzystywane.

Tak, korzysta z nich nie więcej niż jakieś 10 proc. ubezpieczonych, co daje ok. 1,5 mln rachunków IKE, IKZE i PPE.

Część z tych kont jest martwa lub uśpiona, ale nawet jeśli wszystkie pracują, to 10 proc. i tak nie powala na kolana. Dlatego minister Morawiecki chce wprowadzić kolejne rozwiązania w ramach Programu Budowy Kapitału.

Swoje pomysły opiera na rozwiązaniach brytyjskich. Na Wyspach wszyscy mają obowiązek zapisania się do systemu dodatkowych oszczędności, choć mogą się wypisać, sporo jednak zostaje w systemie. To powoduje koszty po stronie pracodawcy, pracownika i państwa. Ten pomysł jest zasadny i mam nadzieję, że się rozwinie, przy czym trzeba uważać, by te środki nie były w nadmierny sposób przechwytywane przez instytucje zarządzające, bo celem tego rozwiązania jest akumulacja środków przez ubezpieczonych, a nie zarabianie przez tych, którzy świadczą te usługi.

Czy te rozwiązania są wystarczające?

Zasadniczym parametrem, który wpływa na wydolność systemu emerytalnego, jest demografia. Niektóre kraje, takie jak Norwegia, przygotowują się, tworząc fundusze zabezpieczenia na przyszłość. Inwestują środki pozyskane np. ze sprzedaży surowców naturalnych – ropy w przypadku Norwegii. Tam istnieje świadomość, że za jakiś czas ich społeczeństwa będą się starzeć i trzeba będzie z czegoś opłacić emerytury. My nie mamy nadmiernych bogactw naturalnych, więc musimy liczyć głównie na demografię. Wiek emerytalny to jedno z narzędzi dostosowywania liczby płacących składki do konsumujących. Jego obniżka spowoduje, że będziemy mieli niższe świadczenia emerytalne, tu arytmetyka jest nieubłagana. Zapewne z czasem coraz więcej osób będzie nadal pracować, mimo przekroczenia wieku emerytalnego.

Ich wybór. Dzisiaj nikt nie zmusza do przechodzenia na emerytury, ludzie mogą pracować dalej.

Na to, czy się przechodzi na emeryturę, wpływa kilka czynników: czy w ogóle mogę pracować, jak bilansują mi się różne strumienie dochodów i poczucie zaufania do systemu. W końcu jeśli ciągle mówimy o jego zmianie, to wiele osób może myśleć: nie wiadomo, co będzie, więc może lepiej przejdę na emeryturę już teraz, bo może później mi zabiorą tę możliwość. Taka niestabilność systemu nie jest dobra. Wracając do demografii – przy obecnym stanie parametrów dzietności i umieralności populacja Polski spadnie o 250 tys. osób do 2022 r. Wiele krajów stosuje świadomą politykę migracyjną do poprawy sytuacji demograficznej.

Rząd chce odwrócić negatywny trend przez politykę prorodzinną, ale współczynnik dzietności mamy nadal jeden z najniższych w Europie.

Na to wpływa wiele czynników. Także zmiany struktury społecznej, które dotyczą nie tylko poziomu życia, lecz także stylów życia, podejścia do pracy czy rodziny. Jednak to dobrze, że ten trend próbuje się odwrócić także polityką prorodzinną. Robiły to już poprzednie rządy – np. wydłużając urlopy macierzyńskie czy wprowadzając składki emerytalne opłacane matkom w czasie urlopów wychowawczych. Poważny bodziec pojawił się dwa lata temu, w postaci „500+", promowany od lat przez Związek Dużych Rodzin 3+ i podchwycony przez PiS. Przy czym to, czy on pozytywnie przekłada się na dzietność, zweryfikujemy za kilka lat, a jego pozytywny wpływ na system ubezpieczenia społecznego odczujemy dopiero za jakieś 25 lat.

Im „500+" będzie bardziej skuteczne, jeśli chodzi o zachęcanie do dzietności, tym będzie kosztowało drożej. To nie jest błędne koło?

Nie. Dzieci mają pozytywny wpływ nie tylko w przyszłości na system emerytalny, lecz także na konsumpcję. To jest element solidaryzmu – płacimy na dzieci, które są przyszłym zasobem państwa. To oczywiście wymaga dyscypliny w innych pozycjach budżetowych.

Czy obecny rząd prowadzi dobrą czy złą politykę, jeśli chodzi o emerytury?

Populistyczne uleganie dążeniu do obniżenia wieku emerytalnego będzie miało negatywne skutki, nie tylko jeśli chodzi o finanse publiczne, lecz także o konkurencyjność naszej gospodarki. Podniesienie składek lub podatków będzie nie do uniknięcia. System emerytalny jest elementem redystrybucji dochodu narodowego, a w sytuacji starzenia się społeczeństwa naturalnie pojawią się napięcia. Z drugiej strony polityka prorodzinna po liberalnych w tym zakresie latach 90. wraca na dobre tory wsparcia dzietności, przy czym nie można tutaj opierać się tylko na czynniku finansowym. Ważne są także dobre wzorce i budowanie pozytywnego przekazu, że rodziny wielodzietne to nasza lepsza przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zbigniew Derdziuk *– socjolog, minister w rządach J. Buzka, K. Marcinkiewicza i D. Tuska. W latach 2009–2015 prezes ZUS. Członek zespołu Komitetu Dialogu Społecznego KIG. Doradca zarządu mBank SA.*

eprasa.pl 8d31aeab18

PROSTO ZYGZAKIEM

Nie dość dobra zmiana

PIOTR GABRYEL

Czasami można się bardzo starać coś naprawić, a okazuje się, że to wciąż za mało, by owa naprawa wystarczająco stan tego czegoś polepszała. A nawet jeśli polepsza, to na tle zmian dokonywanych przez innych – konkurentów – okazuje się niewystarczająca.

To właśnie przypadek Polski. Tak bowiem jest z deklarowaną od lat – bo i za niesławnych rządów Platformy oraz PSL (i, rzecz jasna, wcześniej), i teraz, za rządów PiS – poprawą warunków prowadzenia u nas działalności gospodarczej; zarówno przez Polaków, jak i cudzoziemców. Ileż to się o tym już nasłuchaliśmy, wciąż słuchamy i – obawiam się – jeszcze nasłuchamy, bez większego efektu? Ileż to już miało zostać i ponoć zostało ufundowanych – z myślą o dobru przedsiębiorców – pakietów ułatwień, udoskonaleń, udogodnień? Na czele z najnowszą Konstytucją Biznesu Mateusza Morawieckiego, której pierwsza część weszła w życie w styczniu 2017 r., a druga dopiero została wyszykowana przez rząd i której dobroczynny wpływ na życie firm bywa kwestionowany.

A efekty? Niestety, są nie tylko widoczne gołym okiem dla każdego, kto w Polsce prowadzi interesy, lecz także dostrzegane za granicą. Z tego powodu nasz kraj w ostatnim roku spadł o trzy miejsca – z 24. na 27. – w prestiżowym rankingu prowadzenia biznesu Doing Business. I choć udało się poprawić pozycję Polski w dwóch ocenianych kategoriach, to inni okazali się jeszcze lepsi od nas – w rankingu wyprzedziły nas: Zjednoczone Emiraty Arabskie, Mauritius i Tajlandia.

A udało się poprawić pozycję Polski, jeśli chodzi o uzyskiwanie pozwoleń na budowę i odzyskiwanie należności. W trzech innych kategoriach utrzymaliśmy pozycję (przepisy sprzyjające szybkiej wymianie towarów, rozwiązywanie sporów gospodarczych i rejestracja nieruchomości), natomiast w pozostałych pięciu zanotowaliśmy regres. A chodzi w tym przypadku o sprawy niebagatelne, bo m.in. o łatwość zakładania firm, płacenia podatków i uzyskiwania kredytów oraz ochronę praw udziałowców mniejszościowych.

No i tak to właśnie jest. Nawet jeśli zmierza się we właściwym kierunku (jeśli się zmierza), to może się okazać, że robi się to za wolno. Tak jak w przypadku redukowania deficytu publicznego. W końcu co nam po „tylko" 20–30 mld zł deficytu na koniec tego roku, gdy inni w tym samym czasie potrafią sprawić, że obywatele ich państw od pewnego czasu mogą się cieszyć rosnącą nadwyżką budżetową, czyli regularnym zmniejszaniem długów swych państw, a zatem także spadkiem związanych z ich spłatą obciążeń podatników.

Polacy na spłatę długu swego państwa muszą ostatnio wydawać co roku już ponad 30 mld zł. Gdyby nie to, moglibyśmy te pieniądze przeznaczyć na coś innego, choćby na znaczne powiększnie naszych wydatków na służbę zdrowia, dzięki czemu moglibyśmy dłużej i zdrowiej żyć. ©℗

RYBIM OKIEM

Skutki wyższej składki ZUS

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

Rząd podjął decyzję o zniesieniu limitu 30-krotności średniego wynagrodzenia, po którego przekroczeniu zamożni Polacy przestawali płacić składki emerytalne. Warto się zastanowić, jakie są przesłanki i ekonomiczne skutki tej decyzji.

Każdy płaci podatki: PIT, ZUS, VAT i akcyzę. Jeżeli uwzględnimy te wszystkie podatki, to Polak, zarabiający 2 tys. zł miesięcznie, jest opodatkowany w wysokości 57 proc., a bogatszy – w wysokości 37 proc. Różnica wynika z dwóch faktów: biedny wydaje wszystkie dochody na konsumpcję i płaci od nich VAT, a bogaty wydaje tylko część dochodów, więc płaci procentowo mniej VAT; i z tego, że biedny płaci pełny ZUS, a bogaty tylko do wysokości 30-krotności średniej krajowej. Zatem mamy degresywny system podatkowy, w którym bogaci płacą o wiele mniej podatków jako procent dochodów niż biedni.

Emerytury będą finansowane z „podatków" płaconych przez roboty

Oczywiście można dyskutować, jaki powinien być system podatkowy, degresywny, liniowy czy progresywny, ale to kwestia poglądów, a nie analizy ekonomicznej. Zatem zniesienie limitu 30-krotności średniego wynagrodzenia powoduje, że system podatkowy w Polsce stanie się mniej degresywny.

Można się spierać, czy składka emerytalna ZUS to podatek. Rząd bowiem zabiera nam część dochodu, ale odda nam za kilkadziesiąt lat w postaci wyższej emerytury. Tracimy część dochodu, a w zamian otrzymujemy zapisy na serwerach w ZUS, na podstawie których zostanie obliczona emerytura w przyszłości. Jednak wiemy, że polskie społeczeństwo starzeje się bardzo szybko i za kilkadziesiąt lat emerytów będzie tak wielu, że dotrzymanie zobowiązań prawdopodobnie będzie niemożliwe. I jakiś kolejny minister finansów zrobi to co minister „Sami Wiecie Który" za czasów rządów PO, czyli zresetuje zapisy na serwerach w ZUS. Zatem jak najbardziej uprawnione jest traktowanie ZUS jako podatku, a nie jako składki emerytalnej.

Jest jednak iskra nadziei. Robotyzacja postępuje tak szybko, że za kilkadziesiąt lat być może większość pracy będą wykonywały komputery i algorytmy, co rozwiąże problem zbyt małej liczby osób aktywnych zawodowo. Wówczas emerytury pokolenia seniorów będą finansowane z „podatków" płaconych przez roboty.

Uważam, że rząd powinien przeznaczyć jakąś część z dodatkowych dochodów w wysokości 5,4 mld zł, które uzyska z podwyższenia podatku ZUS, na rozwój polskiej robotyki i technologii sztucznej inteligencji. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 8d31aeab18

TEST „DO RZECZY”: LG V30

Najnowszy flagowiec południowokoreańskiego producenta to telefon, po który śmiało mogą sięgać audiofile, miłośnicy smartfonowej fotografii oraz miłośnicy najlepszych gadżetów na rynku. Model V30 to bowiem najprawdopodobniej najlepszy smartfon w historii LG.

To, że mamy do czynienia z produktem z górnej półki, widać na pierwszy rzut oka. Ascetyczny design, zredukowane do minimum ramki otaczające ekran OLED, stylowe szkło po obu stronach telefonu, eleganckie metalowe wstawki oraz wodoszczelna obudowa. Solidnie wykonany LG V30 wygląda na tyle dobrze, że śmiało może konkurować z takimi rywalami, jak HTC U11, Huawei Mate 10 Pro, Samsung S8 czy iPhone 8 Plus.

Ekran OLED o rozdzielczości 6 cali robi dobre wrażenie. Kolory są żywe, kontrast fantastyczny, a dzięki gęstości pikseli wynoszącej 538 pikseli na cal detale na ekranie są świetnie widoczne. Maksymalna jasność ekranu mogłaby być jednak wyższa. Poważnym minusem jest także wrażenie nierównego podświetlenia ekranu, co przeszkadza np. podczas nocnego czytania książek.

Model V30 to też świetna propozycja dla osób, które flirt ze smartfonową fotografią chcą wreszcie przenieść na wyższy poziom. Do dyspozycji mamy podwójny aparat fotograficzny. Pierwszy o matrycy wielkości 16 Mpix i przysłonie f/1,6 oraz drugi szerokokątny z matrycą o wielkości 13 Mpix i przysłonie f/1.9. Uzbrojony

w laserowy autofokus LG V30 umożliwia także nagrywanie filmów w rozdzielczości Ultra HD. Zaletą nowego flagowca jest wiele manualnych ustawień, dzięki którym LG V30 w niektórych sytuacjach może pozwolić na porzucenie o wiele cięższych lustrzanek. Zdjęcia są ostre, pełne detali i z przyjemnymi kolorami. Niestety, fotografie zrobione w gorszym oświetleniu są już wyraźnie gorsze. W porównaniu z konkurentami dość słabo wypada też przedni aparat do robienia selfie (o rozdzielczości 5 Mpix).

Zaletą nowego flagowca LG jest rewelacyjna jakość brzmienia uzyskana dzięki zastosowaniu wysokiej jakości przetwornika dźwięku (32-bitowy Hi-Fi Quad DAC). Dzięki temu muzyka brzmi bardziej naturalnie. Jest mniej szumów i mniej zniekształceń.

Smartfon został wyposażony w 4 GB pamięci RAM oraz nowoczesny procesor Qualcomm Snapdragon 835. Taka konfiguracja sprawia, że bez trudu możemy uruchomić kilka aplikacji naraz lub włączyć jedną z nowych gier.

Wbudowaną pamięć o pojemności 64 GB można bez problemu poszerzyć za pomocą kart SD o pojemności nawet 2 TB. Zaletami są radio FM oraz szybko i niezawodnie działający czytnik odcisków palca, który został umieszczony z tyłu w o wiele wygodniejszym miejscu niż w Samsungu Galaxy S8 czy Note 8.

Bateria o pojemności 3300 mAh na jednym ładowaniu wytrzymuje średnio jeden dzień. Dobra wiadomość: V30 można już ładować bezprzewodowo.

Cena: 3799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

KOSMICZNY ODLOT

„Jeżeli ludzkość nie wyląduje na Marsie za mojego życia, to będę rozczarowany” – miał powiedzieć jakiś czas temu Elon Musk, człowiek znany z tego, że nie było dla niego rzeczy niemożliwych dopóty, dopóki nie zafiksował się na punkcie pasażerskich lotów kosmicznych i eksploracji Marsa. Na razie ma z tym, mimo swojego potencjału intelektualnego i finansowego, spore problemy; a skoro on sobie nie radzi, to tym bardziej w podróż po wszechświecie nie wyśle nas Polska Agencja Kosmiczna, znana na razie głównie z kosmicznych wydatków. Miłośnikom literatury i filmów SF oraz spotkań z obcymi cywilizacjami pozostaje więc tylko wpatrywać się tęsknym okiem w niebo gwiaździste. Lepiej to robić oczywiście okiem uzbrojonym np. w eVscope, czyli wysokiej klasy smart teleskop. Przydatny będzie także amatorom, którzy przygodę z „mapą nieba” dopiero rozpoczynają, wyposażony jest bowiem w system rozpoznawania obiektów, co umożliwi nam rozróżnienie Wielkiej Niedźwiedzicy od sąsiadki wieszającej pranie na balkonie 16. piętra w bloku naprzeciwko. W dodatku dzięki aplikacji na smartfona pozwala też na zamieszczanie zdjęć uchwyconych ciał niebieskich na portalach społecznościowych. Całość, jak przekonuje konstruktor, działa, wykorzystując autorską technologię, która powoduje, że: „wzmocniony obraz jest wyświetlany z nieskończoną ostrością w oku obserwatora, przy współczynniku kontrastu 1 000 000:1, tworząc prawdziwe i żywe doświadczenie obserwacji nieba”. To brzmi dobrze. Cena brzmi gorzej. Minimum 3,8 tys. zł za sztukę. Można zamawiać na Kickstarterze.

TROCHĘ MIĘŚNI, WIĘCEJ WODY...

To wszystko już w zasadzie było, ale projektanci Aura Band, czyli inteligentnej bransoletki monitorującej, która do sprzedaży trafi pod koniec stycznia przyszłego roku, przekonują, że stworzyli projekt unikatowy. Dlaczego? Bo oprócz informacji o naszej aktywności fizycznej, przebytych odległościach, spalonych kaloriach bransoletka analizuje również, dzięki systemowi czujników, dane dotyczące nawodnienia organizmu i składu ciała, co z kolei ma pozwolić na bieżąco monitorować, jak wpływa na nas aktywność fizyczna. Oczywiście jest możliwość podzielenia się tymi informacjami ze znajomymi na portalach społecznościowych. Opaskę można zamawiać na stronie producenta w cenie ok. 600 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8d31aeab18

Katarzyna Pinkosz

Po królikach zachęcających w prokreacyjnych spotach do zdrowego odżywiania i aktywności fizycznej do zmiany stylu życia namawia teraz człowiek z głową konia. Czy uda mu się przekonać młodych?

Chroń się, człowieku!

Ty patrzysz na mnie, ja na ciebie, ale ty chcesz być mną. Każdy chce być mną, bo każdy chce mieć końskie zdrowie. Jak jeść, co badać, jak się ruszać: ja to wiem i ci profilaktycznie powiem. Zacznij dbać o siebie – namawia człowiek koń w najnowszym spocie „Profilaktyka, człowieku", sygnowanym przez Ministerstwo Zdrowia.

Chociaż spoty trzeba potraktować trochę z przymrużeniem oka, problem jest poważny. Podczas niedawnej konferencji „Po pierwsze zdrowie – badania przesiewowe podstawą polityki zdrowotnej", zorganizowanej w Senacie przez prof. Henryka Skarżyńskiego i marszałka Stanisława Karczewskiego, specjaliści od kardiologii, okulistyki, urologii, dermatologii, chirurgii naczyniowej, periodontologii, audiologii zgodnie podkreślali, że stan zdrowia Polaków jest zły. Pod wieloma względami znajdujemy się na końcu europejskich statystyk. Niewiele osób wie, jak dbać o swoje zdrowie, a jeśli nawet wiedzą, to nie stosują się do odpowiednich zaleceń. O zdrowiu zwykle zaczynamy myśleć, gdy coś nam dolega. Tylko że wtedy często jest już za późno, by zapobiec chorobie, i można tylko minimalizować jej objawy.

Dlatego, zdaniem specjalistów, pomysł nakłaniania młodych ludzi do zdrowego stylu życia jest trafiony w dziesiątkę. Dzisiaj już wiadomo, jak ważne jest zdrowe odżywianie w przypadku kobiet w ciąży i w pierwszych latach życia dziecka. Przedszkola zaczęły wprowadzać „lekcje gotowania", zagadnienia profilaktyki znalazły się (wreszcie!) w nowych programach nauczania w szkołach. Najbardziej problematyczny jest jednak okres, kiedy młody człowiek zaczyna podejmować samodzielnie decyzje, a autorytetami stają się rówieśnicy. W dodatku w tym okresie młody człowiek praktycznie znika z systemu opieki zdrowotnej (ostatni bilans zdrowia jest w wieku 18 lat), a wraca do niego dopiero, gdy mu coś dolega. Tymczasem już co dziesiąty 18-latek w Polsce ma nadciśnienie tętnicze (zwykle niezdiagnozowane), które – nieleczone – prowadzi do chorób serca, zawału serca i udaru mózgu. 20-, 30-latek o tym nie myśli, gdyż dobrze się czuje. Nie boli też nadwaga i otyłość (na które cierpi co piąty młody człowiek), a palenie papierosów nie od razu powoduje raka. Jak więc młodych ludzi przekonać do jedzenia warzyw, owoców, ruszania się, niepalenia i profilaktycznego przebadania się od czasu do czasu?

AUTORYTET YOUTUBERA

Tomasz Hryniewiecki, dyr. Instytutu Kardiologii w Aninie (a prywatnie m.in. zapalony płetwonurek), od wielu lat wystawia młodym ludziom zaświadczenia o tym, że są zdrowi i mogą nurkować. – Przychodzą do mnie często przed wakacjami, oczywiście nie po to, żeby się leczyć, tylko po „papierek", żeby móc nurkować. Czasem przy okazji badania stwierdzam u nich różne nieprawidłowości, np. nadciśnienie, i zalecam leczenie. Pojedyncze osoby przychodzą potem do mnie, żeby się leczyć. Nie pamiętam ani jednej osoby, która przychodziłaby dłużej. Jeśli ktoś nawet podjął próbę leczenia, to tylko na krótko – opowiada prof. Hryniewiecki.

Nadciśnienie, podwyższony poziom cholesterolu i cukru, nadwaga przez wiele lat nie powodują dolegliwości, dlatego młody człowiek nie widzi powodu, by dbać o swoje zdrowie. – Mówienie osobom w wieku 18–25 lat, że przez niezdrowy

eprasa.pl 8d31aeab18

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

tryb życia narażają się na zachorowanie za 30 lat, jest dla nich całkowitą abstrakcją. Przecież oni jeszcze nawet tylu lat nie przeżyli – dodaje prof. Hryniewiecki.

Tyle że poczucie zdrowia u młodych ludzi bywa złudne. Niewykryte nadciśnienie i cukrzyca niszczą naczynia krwionośne. 12 mln osób w Polsce ma różnego typu objawy alergii. – Wiele osób nie wie, że ma alergię, wydaje się im, że doskwierający katar i kaszel to jedynie objawy przeziębienia. Kaszel, świszczący oddech i duszności mogą być objawem astmy oskrzelowej, która często występuje u ludzi młodych. Szczególnie zagrożone są osoby, które mają alergię, a jednocześnie palą papierosy – mówi dr Piotr Dąbrowiecki, alergolog i pulmonolog z Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

Eksperci chwalą ministerialną akcję „Profilaktyka, człowieku", bo to jedna z pierwszych akcji skierowanych do młodych odbiorców. Spoty są proste, mają zwrócić uwagę i odesłać do strony internetowej. W akcję włączyli się eksperci z dziedziny alergologii, kardiologii, medycyny rodzinnej i dietetyki, a jako ambasadorów kampanii zaangażowano tym razem nie znanych artystów, lecz popularnych youtuberów – m.in. Krzysztofa Golonkę (Trenuj z Krzychem), Adama Drzewickiego (Matura to Bzdura), których filmy oglądają setki tysięcy młodych osób. – Do tej grupy wiekowej pracownicy służy zdrowia nie trafią, większym autorytetem jest, jak to teraz się mówi, influencer – mówi prof. Hryniewiecki.

– Misją programu jest pokazywanie, że niewiedza ma złe skutki. Ja postanowiłem zadbać o większą ilość ruchu i nie korzystać z wymówki „jest zimno i pada, więc nie idę ćwiczyć". Dokładniej też liczę kalorie w diecie, by nie przytyć przed świętami, i dbam, żeby prawie w każdym posiłku było trochę warzyw, bo są niezbędne – mówi twórca i producent MaturaToBzdura.TV.

WYLĄDUJESZ W PIACHU?

– Lubię zwierzęta, w związku z tym wszystko, co jest związane ze zwierzętami, zawsze wzbudza moją sympatię. Nie jestem specjalistą, dlatego nie czuję się upoważniony, by oceniać innych. Zresztą dużo trudniej samemu coś zrobić niż oceniać innych – mówi o ministerialnych spotach z udziałem zwierząt Marek Posobkiewicz, Główny Inspektor Sanitarny i słynny raper GIS-u, który już nieraz niekonwencjonalnie mówił o profilaktyce. Podkreśla, że czasem warto o niej mówić z przymrużeniem oka, choć z zachowaniem powagi tematu.

Jego pierwszy „profilaktyczny rap" powstał w lipcu 2015 r., kiedy zdarzały się poważne zatrucia dopalaczami wśród młodych ludzi. – Były wakacje, młodzież nie ogląda informacji w telewizji. Trzeba było coś zrobić, by wyjść do młodych ludzi. Tak powstał pomysł nagrania rapu. Od pomysłu do realizacji minęło kilka godzin, koledzy pomogli mi na scenie, dokooptowaliśmy młodego rapera. Mimo wielu krytycznych ocen osiągnęliśmy efekt przekazania wiedzy – mówi Marek Posobkiewicz. Jako urzędnik w randze wiceministra odważył się używać w akcji profilaktycznej młodzieżowego slangu, z którego lżejsze zwroty to:, „Nie pal, bo jak palisz, cały śmierdzisz, stracisz nogę, wylądujesz potem w piachu". Nagraniom zarzucano amatorskość, ale pierwsze, o dopalaczach, w ciągu dwóch dni miało w Internecie 2 mln wyświetleń, a kolejne – do kilkuset tysięcy.

Raper GIS-u najbardziej dał się we znaki antyszczepionkowcom. Od kiedy nagrał kilka spotów zachęcających do szczepień, ci atakują go za każdy filmik. Za plakat „Mądra dziewczynka pilnuje drinka" dostało mu się też od niektórych środowisk feministycznych. – Większości osób moje klipy podobają się, część je krytykuje w konstruktywny sposób, część robi to dla zasady, bo hejtowanie wychodzi im najlepiej. Robiąc coś dla dobra publicznego, trzeba liczyć się z tym, że nie wszystkim to się będzie podobać. W przypadku moich spotów ważna była nie tylko strona artystyczna, lecz także wywołanie dyskusji – mówi Marek Posobkiewicz.

Zdecydował się na tego typu przekaz właśnie dlatego, że klasyczną formą trudno dotrzeć do młodych. – Kilka lat wcześniej był przygotowany klasyczny film mówiący o tym, co to są dopalacze, dlaczego nie powinno się ich używać. Miał tylko kilka tysięcy wyświetleń. Po tym nowym, z rapem jako środkiem komunikacji, liczba wyświetleń starego filmiku wzrosła do kilkudziesięciu tysięcy. Czyli można pociągnąć do źródła, gdzie są merytoryczne wiadomości, ale sama merytoryka, podana w suchy sposób, nie prowokuje młodych ludzi do myślenia – podkreśla Marek Posobkiewicz. Dodaje, że po jego emocjonalnych rapach zawsze w GIS powstawała merytoryczna informacja, do której można było dotrzeć.

– Im kraj bogatszy, im bardziej rozwinięty, tym działania profilaktyczne są bardziej skuteczne. W krajach zachodnich mniej osób pali papierosy, więcej chodzi na badania profilaktyczne. Wszystko jest lepiej, oprócz problemu otyłości, ale gonimy Zachód niewiarygodnie szybko pod tym względem. Nie gonimy go tylko szybko, jeśli chodzi o skuteczność profilaktyki – zaznacza prof. Hryniewiecki. Jego zdaniem, żeby przekazy lepiej trafiały do młodych, dobrze by było, by swoimi doświadczeniami dzielili się 20- i 30-latkowie, którzy mają problem zdrowotny, albo pokazywali, że zmienili swoje zachowanie. – Jeden z młodych youtuberów opowiadał, że miał częste infekcje, kasłał, ale od kiedy rzucił papierosy i więcej biega, to czuje, że więcej może i lepiej funkcjonuje. Taki konkret działa skuteczniej niż abstrakcja – dodaje prof. Hryniewiecki.

Adam Drzewicki w specjalnym odcinku MaturaToBzdura.TV chce zadać kilka pytań i sprawdzić wiedzę Polaków na temat profilaktyki i zdrowia. Marek Posobkiewicz planuje kolejne spoty, choć nie chce zdradzić ich tematu. Próbować warto, bo stawka jest wysoka: można zapobiec nawet 80 proc. przypadków chorób układu krążenia i 50 proc. nowotworów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8d31aeab18

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pogodynka Chrapowickiego

Jan Antoni Chrapowicki, wojewoda witebski, zmarły w 1685 r., pozostawił nam rzecz bezcenną – diariusz, w którym opisywał pogodę. Dzięki codziennym zapiskom możemy śledzić klimat w drugiej połowie XVII w. i sprawdzić, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem.

Zobaczmy zatem, jak wyglądał rok Pański 1668. Diariusz zaczyna się 1 stycznia, kiedy: „Z rana mróz, mglisto, szadź". W następnych dniach wali śnieg, mamy zimę, na Trzech Króli zawieruchę, potem zawieje. 12 wypogadza się, jest ładnie, aż do 16, gdy od rana następuje lekka odwilż. Następnie wszystko przymarza. 19 stycznia znowu wali śnieg, tak będzie już do końca miesiąca, chociaż czasem trafi się cieplejszy, chmurny dzień. Dopiero 10 lutego mróz ustępuje. Trzy dni później niespodziewanie zaczyna padać deszcz. Leje aż do 18, więc pewnie deszcz zmywa śnieg; pogoda zaczyna przypominać naszą. 19 wraca mróz „aż Wisła skrzepła" – pisze Chrapowicki. 20 zrywa się wielki wiatr, potem trochę cieplej, 21 pada, później zimno, ale bez mrozu – zapewne powyżej zera. 29 lutego mamy ładnie, wygląda to na koniec zimy.

1 marca pogoda „piękna, ciepło bardzo", także w kolejnych dniach, ale od 7 do 12 słońce przeplata się z opadami. 15 „dzień dżdżysty, plugawy", 19 niespodziewanie pada śnieg z deszczem, a następnego dnia szczypie mróz. Potem chmurnie i mglisto, a 25 deszcz ze śniegiem, 27 w nocy mróz, pada śnieg, jednak w dzień już pogoda. 30 jest pięknie, ale do wiosny daleko.

2 kwietnia następuje powrót zimy – śnieg, zawierucha, „mróz srogi, w dzień śnieg". Dopiero w połowie miesiąca pogoda się stabilizuje, mamy wprawdzie przymrozki, ale dnie coraz ładniejsze. Warunki typowo kwietniowe.

FOT. WIKIPEDIA

5 maja „częstsza pogoda niźli deszcz", a 17 zaczyna robić się ciepło. 3 czerwca piorun wali w dach mieszkania Benedykta Pawła Sapiehy, stolnika Wielkiego Księstwa Litewskiego: „Uderzył kominem wleciawszy, pana Niesykę osmalił i ząb jeden wytrącił, ale nie zabił".

Od 15 czerwca zaczynają się upały „pogoda i niesłychanie gorąco". Pytanie oczywiście, jak ciepło, bo nie było wówczas termometrów. Człowiek ubrany po polsku oraz przyzwyczajony do żupana i kontusza wytrzymuje bez kłopotów do 25 stopni i można przyjąć, że pewnie było cieplej.

Lipiec jest pogodny, aczkolwiek przeplatany deszczami. 9 „dzień i noc z burzą i ze dżdżem przeszły", a od 25 zaczynają się upały i wiatr.

1 sierpnia „dzień do podziwienia gorący". Jak podaje pamiętnikarz, „gorąca straszne do 4 sierpnia, kiedy nadchodzi burza z piorunami". Później nieco chłodniej, 12 znów wracają upały i tak aż do końca miesiąca.

Wrzesień zaczyna się deszczami; „pluchota" – pisze Chrapowicki. 17 na chwilę piękna pogoda, a 21 ciepło. 23 pogoda z chłodnym wiatrem północnym. Od 26 pogodnie i ciepło; bardzo ciepło, skoro 29 „wprzód burza, dalej pogoda". Niespodziewanie po tym wszystkim „w nocy mróz, w dzień pogoda".

O dziwo, pogodny i chyba ciepły jest październik. Od 13 trochę deszczu, 16 już pojawia się mróz. 20 tegoż miesiąca: „dzień mroźny", potem zaś: „w nocy mróz, w dzień żółć i zimno bardzo oraz deszcz". Jednak jeszcze 23 dzień jest pogodny. 27 bardzo ciepło, Chrapowicki pisze: „Z rana mgła, potem śliczna pogoda jak w lecie".

Listopad deszczowy, czasem zimno, pewnie w okolicach 2–5 stopni. 15 uderza mróz w nocy, a 22 spada pierwszy śnieg!

1 grudnia w nocy bierze mróz, „w dzień zelżyło". W następnych dniach pada śnieg, potem pochmurnie, mróz i wiatr, zaczyna się zima. Jednak 11 niespodziewanie spada deszcz, potem: „dżdżysto i plugawie". Tak będzie aż do Wigilii, która jest po wodzie. 26 grudnia to „dzień wilgotny, wietrzny". 29 niespodziewanie robi się „ciepło jak na wiosnę", ale już dzień później „w nocy mróz spory, w dzień odwilżyło". Prawdziwa zima zaczyna się 3 stycznia 1669 r.

Kolejny rok nie jest łaskawy. Zawieje i zamiecie. Pierwsza odwilż następuje dopiero 15 lutego, a 22 pada śnieg z deszczem.

Na początku marca mamy kilka cieplejszych dni, ale potem znowu uderza mróz. Dopiero pod koniec miesiąca następuje odwilż, 2 kwietnia jest piękna pogoda, ciepło. 1 maja bardzo gorąco.

Co pokazuje nam diariusz Chrapowickiego? Klimat się ocieplił. W drugiej połowie XVII w. co roku padał śnieg, nawet w najcieplejszych latach leżał półtora miesiąca. Jednak inne pory roku przypominały dzisiejszą pogodę. Było babie lato, czasami zdarzały się – jak współcześnie – bardzo ciepłe dni w listopadzie czy grudniu. Tak samo jak niespodziewane nawroty zimy w marcu lub kwietniu. ©℗

eprasa.pl 8d31aeab18

ERYKA LUBOSA TŁUSTY I SMACZNY SPOSÓB NA MRÓZ

Wychodzę z założenia, że je się po to, by przeżyć, a nie żyje po to, by jeść. Dlatego stosuję najprostsze i najszybsze techniki kulinarne, nie uznaję w gotowaniu jakiejś filozofii, nie przejmuję się pseudonaukowymi doniesieniami, mówiąc wprost – jedzenie nie jest esencją mojego życia.

Takie podejście nie wyklucza jednak jedzenia naprawdę smacznych potraw. Dla mnie najlepszą zupą na świecie jest żur według przepisu z krainy mojego dzieciństwa – ze Śląska. Jest to danie treściwe, tłuste – w sam raz na mróz. Oczywiście dla tych, którzy nie liczą każdej kalorii, ale właśnie jak jest zimno, to moim zdaniem należy jeść porządnie i tłusto. A dodatek dużej ilości czosnku w żurku podnosi naszą odporność.

Śląski żur być może nie jest jedzeniem wykwintnym, lecz prostym i pysznym. Podstawą jest oczywiście odpowiedni zakwas. Kiedyś chodziłem po niego do pewnej starszej Ślązaczki, dziś muszę zdać się na te dostępne w sklepach i zaufać ich producentom.

Składniki:

- zakwas
- wędzonka
- żeberko albo inne mięso wieprzowe z kością
- biała kiełbasa
- ziemniaki
- marchewka
- cebula, czosnek
- liść laurowy, ziele angielskie, pieprz, sól

Przygotowanie:

Mięso z kością oraz pokrojoną i podsmażoną wędzonkę gotujemy na małym ogniu (im dłużej, tym lepiej, nawet ok. 1,5 godz.) razem z przyprawami. Wrzucamy pokrojone w kostkę ziemniaki i marchewkę oraz zalewamy to zakwasem. Nie podaję proporcji, bo zależą one od preferencji smakowych. Ja lubię, jak żur jest gęsty, więc dodaję sporo wędzonki, ale nie przepadam za ziemniakami, więc wkrajam ich stosunkowo mało. Wcześniej na patelni od wędzonki podsmażam cebulę i dużą ilość czosnku. Dodaję do zupy, gotuję jeszcze chwilę z białą kiełbasą i gotowe. ©℗

oprac. raw

Eryk Lubos jest aktorem filmowym i teatralnym.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dania łatwe dla każdego

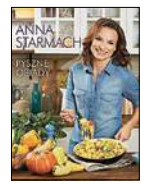

ANNA STARMACH „PYSZNE OBIADY" ZNAK LITERANOVA

Na tle współczesnej literatury kulinarnej ta książka wyróżnia się prostotą. Rekomendacja na okładce: „Prezentuje przepisy na doskonałe domowe obiady łatwe do przygotowania dla każdego" wydaje się uzasadniona. Nie wiem, czy obiady Anny Starmach będą rzeczywiście doskonałe, ale na pewno nie ma tu wydziwiania ani pretensjonalności.

Zupy, drugie dania i parę deserów uwzględniają zarówno kuchnię polską, jak i nowości kuchni obcych, które już się u nas zadomowiły. Biorą pod uwagę również brak czasu, który doskwiera każdej gospodyni domowej (nie jestem pewna, czy ten termin nie dyskryminuje mężczyzn i nie uwłacza kobietom?). Nie ma tu także wyszukanych egzotycznych składników, które kucharzowi komplikują życie.

Najpierw przecież trzeba je zdobyć, co nawet w dużym mieście nie zawsze jest proste (kto mieszka w Warszawie, ten wie, że dojechanie z jednej dzielnicy do drugiej zajmuje często więcej niż godzinę), a co dopiero gdzieś na prowincji. Purée z tamaryndowca, kumkwaty, asafetyda… Nawet zakładając, że dany składnik już zdobyliśmy, a reszta zostanie, to co z tym zrobić, jak zużyjemy tylko niewielką część? Wsadza się toto do szafki i czeka, aż minie termin ważności, a wtedy ze spokojem można będzie wyrzucić… Jako nieperfekcyjna pani domu niestety tak robię.

„Ta książka to spis moich ulubionych domowych przepisów. Część zaczerpnęłam z zeszytów babci, kilku nauczyły mnie mama i ciocia. To przepisy sprawdzone i uwierz mi, naprawdę pyszne" – przekonuje autorka, jurorka MasterChefa i MasterChefa Juniora. Jej oferta – rosół, pieczarkowa, cebulowa, chłodnik. Jako fance dyni i wszystkiego, co z niej można zrobić, podoba mi się przepis na dyniową z dodatkiem gruszek, cynamonu i gałki muszkatołowej. Cieszę się, że wreszcie zupa z dyni doczekała się należnej pozycji w jesiennej kuchni domowej i restauracyjnej. A jeszcze niedawno przepis na mdłą mieszankę dyni i mleka (fuj!) uważano za jedynie słuszny pomysł na to warzywo. Z drugich dań – idealne kotlety mielone (kto nie lubi, ręka w górę? – nie widzę), w dodatku z buraczkami, gołąbki i klopsiki w sosie pomidorowym, schabowy, który nigdy się nie znudzi, kaczka, pstrąg pieczony w soli.

Z dań międzynarodowych poleciłabym przepis na boeuf bourguignon, czyli wołowinę po burgundzku. Kto oglądał film z Meryl Streep o Julii Child „Julie i Julia", może podejmie się tego wyzwania, na którym filmowa bohaterka poległa, przynajmniej za pierwszym razem. Warto, bo to jeden z hitów francuskiej kuchni. Wprawdzie mięso dziś niemodne, ale nie dajmy się zwariować! ©℗

sa.pl 8d31aeab18

NASZ TEST: MERCEDES-AMG GLC 43 COUPÉ

Jest piekielnie szybki, bardzo ładny i koszmarnie drogi. „Gorąca" wersja SUV-a z 21-calowymi felgami, gwiazdą na masce i niemal 370 końmi ukrytymi pod maską to sportowe auto przeznaczone głównie do komfortowej jazdy po autostradach.

W KABINIE

Z przodu jest bardzo komfortowo i przestronnie. Z tyłu miejsca jest już znacznie mniej. Narzekać mogą zwłaszcza wysocy pasażerowie, bo miejsca nad głową jest – jak można by się spodziewać po coupé – jak na lekarstwo.

Na pochwałę zasługuje spłaszczona u dołu mięsista kierownica. Wnętrze jest typowe dla aut klasy premium. Za nagłośnienie, które powinno zaspokoić oczekiwania audiofilów, odpowiada system firmy Burmester. Deskę rozdzielczą pokrywa skóra połączona z włóknem węglowym oraz aluminium. Niestety, okolice zamontowanego na środku wyświetlacza nieco trzeszczą.

Ceną za atrakcyjnie wyglądającą opadającą linię dachu jest też mniejszy bagażnik, którego pojemność w wersji coupé wynosi 500 l (po rozłożeniu tylnych siedzeń wzrasta do 1400 l).

JAZDA

Trzylitrowy benzynowy silnik V6 bi-turbo o mocy 367 KM sprawia, że ważący niemal dwie tony samochód na rozpędzenie się do pierwszej setki potrzebuje zaledwie 4,9 s. Prędkość maksymalna to 250 km/godz. Auto dobrze się prowadzi. Dodatkową frajdę z przyspieszenia daje kierowcy wydobywający się spod maski rasowy dźwięk, który sprawia, że głowy przechodniów obracają się za nami niemal automatycznie.

Na dynamiczną jazdę pozwala nie tylko mocny silnik czy napęd na cztery koła, lecz także sprawna i chętna do zabawy dziewięciobiegowa skrzynia biegów, która w razie potrzeby błyskawicznie redukuje biegi, aby ułatwić gwałtowne przyspieszanie.

Auto jeździ niczym przyklejone do drogi. Układ kierowniczy mógłby być jednak nieco bardziej precyzyjny. Dynamicznej jeździe po krętych drogach nie sprzyja też to, że przy ostrzejszych zakrętach auto nieco przechyla się na boki.

Dzięki świetnemu aktywnemu zawieszeniu GLC 43 Coupé bardzo dobrze sprawdza się zwłaszcza wówczas, gdy służy jako luksusowy środek transportu. Samochód można też szybko dostosować do aktualnego nastroju kierowcy i pasażerów. Do wyboru jest pięć trybów jazdy: ekonomiczny, komfortowy, sportowy, sportowy plus oraz indywidualny.

SUV-owate auto nie nadaje się do jazdy w terenie. Zresztą chyba nawet osoby, które mogą wyłożyć 300–400 tys. zł na nowy samochód, nie chciałyby go od razu zabierać na morderczy test w trudnym terenie. Według producenta auto powinno palić średnio

8,9 l/100 km. Taką informację można włożyć między świąteczne bajki. Podczas mojego testu GLC 43 Coupé zużywało średnio 12–13 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Mercedes GLC zdobył komplet pięciu gwiazdek (dostał m.in. 95 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłego podróżnego). Model GLC 43 Coupé może być też opcjonalnie wyposażony w pakiet utrzymania pasa ruchu, który ostrzega przed samochodami w martwym polu lusterek oraz alarmuje, gdy przez przypadek zjedziemy z naszego pasa ruchu.

Auto rozpoznaje też znaki drogowe i alarmuje, jeśli zbyt szybko zbliżamy się do samochodu poprzedzającego. Słaba widoczność do tyłu sprawia, że obowiązkowym dodatkiem przy zakupie powinna być kamera cofania.

CENA

Za GLC 43 Coupé trzeba zapłacić co najmniej 309,5 tys. zł. Po doliczeniu kilku niezbędnych dodatków łatwo można przekroczyć poziom 350, a nawet 400 tys. zł.

KONKURENCI

Audi SQ5, BMW X3 35d, BMW X4, Jaguar F-Pace, Land Rover Discovery Sport, Porsche Macan, Volvo XC60. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 8d31aeab18

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Ustawa najgorsza z możliwych

MARCIN MAKOWSKI: Wszyscy rozmawiają o rekonstrukcji, więc my porozmawiajmy o czymś innym. Ostatnio otwarcie krytykowałeś plan rządu, aby stopniowo ograniczać niedzielny handel. Dlaczego?

MATTHEW TYRMAND: No właśnie! Jak można krytykować tak nieskończenie mądry i dobry plan dla polskiej rodziny? A na poważnie, to jedna z najgorszych ustaw tej kadencji, stopniowo podkopująca fundamenty wzrostu gospodarczego. Do tego podszywająca się pod rozwiązania prospołeczne, mające zagwarantować więcej czasu dla spracowanych matek, które poświęcą się piastowaniu ogniska domowego. I może przy okazji wszyscy pójdą w niedzielę do kościoła, a później na rosół ze schabowym. W rzeczywistości proponowane rozwiązanie ograniczy przepływ kapitału i spowolni wzrost gospodarczy. To bardzo nieuczciwe ze strony rządu, że stosuje inżynierię społeczną, która uderzy w trzy grupy jednocześnie. Po pierwsze, w tych, którzy pracują od poniedziałku do soboty i w niedzielę chcą zrobić większe zakupy. Po drugie, w pracowników albo właścicieli sklepów, którzy otrzymają co drugą niedzielę wolną, ale w tygodniu będą musieli pracować dłużej. Po trzecie, w niewielkie prywatne firmy, które swoją działalność prowadzą w galeriach handlowych.

Zakaz handlu w niedziele spowolni wzrost gospodarczy

I nie widzisz żadnych plusów? Na przykład poprawy sytuacji właścicieli sklepów osiedlowych?

Pamiętajmy, że ta ustawa nie opierała się na założeniach ekonomicznych, ale stanowiła formę spłaty politycznego długu, zaciągniętego u związków zawodowych. Szczególnie u Solidarności. Piotr Duda podczas kampanii postawił na Prawo i Sprawiedliwość, nie dziwi mnie więc, że zmęczony czekaniem w końcu zaczął naciskać. Rząd postawiony pod ścianą musiał coś zrobić i wybrał najgorszy wariant. Z tego, co wiem, było kilka głosów wątpliwości, w tym ze strony myślących racjonalnie o ekonomii Mateusza Morawieckiego i Jarosława Gowina. Oni wiedzieli, że to może przynieść osłabienie wzrostu PKB, ale polityka bywa brutalna. Myślę jednak, że tak jak w przypadku Węgier prędzej czy później rząd zda sobie sprawę, że to uszczęśliwianie ludzi na siłę i wycofa się z głupich pomysłów. Żałuję tylko, że dobra zmiana nie zdecydowała się na wyłączenie całej niedzieli z handlu od początku, tylko w trzyletnim cyklu. Im szybciej by to zrobiono, tym szybciej ludzie zobaczyliby minusy podobnego rozwiązania i mielibyśmy powrót do status quo ante. A tak PiS zafundowało sobie strzał w kolano, na który podczas wyborów w 2019 r. będzie wskazywać cała opozycja.

Mówisz o wolnym wyborze. Jednak co z tymi, którzy nie mieli wyboru i pracować w niedziele po prostu musieli?

Takie rzeczy można rozwiązać pośrednio, a nie odgórnie. W USA o tym, czy otwierać sklep w niedzielę, decyduje właściciel. Jeśli prawica chciała umożliwić ludziom odpoczynek, to wystarczyło zobligować pracodawców do przyznawania wolnego na zakładkę. Tak, aby żaden z pracowników nie był nadmiernie obciążony, albo po prostu umożliwić im wybór pracy w ten dzień, za znacząco wyższą stawkę. Wtedy ci, którzy chcieliby dorobić, np. studenci, nie byliby karani brakiem możliwości pracy.

Dlaczego, skoro przedstawiasz tyle argumentów przeciw ograniczaniu handlu, wiele państw Europy Zachodniej – choćby Austria czy Niemcy – nie ma problemów z zamykaniem sklepów przez wszystkie niedziele, a nie tylko dwie w tygodniu?

Niemcy to dojrzała gospodarka, a nie państwo na dorobku, tak jak Polska. Poza tym być może wielkopowierzchniowe sklepy są tam zamknięte, ale w większych miastach i tak bez problemu można zrobić zakupy, choćby na stacjach benzynowych. Ostatecznie, bez względu na kraj, chodzi jednak o to, aby to obywatele – w pełni świadomie – mogli sami dokonywać tego wyboru. A nie państwo za nich. Wiesz, że PiS chce zezwolić na handel w niedzielę przed Bożym Narodzeniem? Wtedy można, bo ludzie tego bardziej potrzebują? Państwo to nie jest rodzic, a my nie jesteśmy dziećmi. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 8d31aeab18

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 2 KSIĄŻKI

144 zł

OSZCZĘDZASZ!
110 zł

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 2 KSIĄŻKI

145 zł

OSZCZĘDZASZ!
122 zł

PRENUMERATA

220 zł

OSZCZĘDZASZ!
258 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 3 KSIĄŻKI

260 zł

OSZCZĘDZASZ!
194 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ MIESIĘCZNIK "HISTORIA DO RZECZY"

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8d31aeab18

OKIEM BLOGERKI

Obywatelu, rozbierz się!

KATARYNA

Jestem członkiem w następujących stowarzyszeniach lub organizacjach krajowych i międzynarodowych korzystających w swojej działalności ze środków publicznych…" – takie oświadczenie będzie musiał złożyć każdy strażak, urzędnik, policjant, żołnierz, radny i wiele innych osób, jeśli „Ustawa o jawności życia publicznego"

Naprawdę chcemy dać służbom prawo do wzywania na dywanik po uważaniu każdej osoby?

przejdzie w kształcie proponowanym przez PiS. Strażak będzie się więc musiał przyznać szefowi, że należy np. do stowarzyszenia chorych na raka jądra, nawet jeśli jego członkostwo sprowadza się do opłacania składek, a wszystkie środki publiczne, z jakich stowarzyszenie korzystało, to 2 tys. zł dotacji od gminy na kampanię edukacyjną w szkołach.

Ustawa wymienia stowarzyszenia, ale także „organizacje krajowe i międzynarodowe" – czy chodzi np. o partie polityczne i związki wyznaniowe? Dlaczego nie, są przecież niewątpliwie organizacjami i ze środków publicznych korzystają w skali nieporównywalnej do stowarzyszeń.

Oświadczenia będzie się składało swoim zwierzchnikom – na przykład warszawscy radni PiS będą je składali na ręce radnej PO Ewy Malinowskiej-Grupińskiej, bo to właśnie żona wpływowego posła tej partii jest przewodniczącą rady. Wiele stowarzyszeń to organizacje samopomocowe, zrzeszające osoby zmagające się z tymi samymi chorobami czy innymi życiowymi problemami. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ich zwierzchnicy będą mogli wykorzystywać podaną im na tacy wiedzę o najbardziej prywatnych aspektach życia podwładnych do „zarządzania zasobami ludzkimi". Nie wspominając o tym, że ostatecznie oświadczenia będą także do dyspozycji służb specjalnych, a każda kolejna władza pokazuje, jak potrafi je wykorzystywać do walki politycznej. Służby przygotowujące projekt ustawy chcą, żebyśmy się wszyscy rozebrali, ale deklarują, że nie będą patrzeć bez potrzeby. Kto by im nie wierzył?

Jeśli już się cieszysz na medialne spektakle z ujawnianiem najbardziej prywatnych faktów z życia już nie tylko polityków, lecz także najbardziej szeregowych urzędników, to mam dla ciebie złą wiadomość. Służby przygotowujące tę ustawę, którą bez najmniejszej przesady można nazwać inwigilacyjną, wcisnęły do niej także artykuł pozwalający według własnego widzimisię zmusić do zwierzeń także osoby ustawą nieobjęte. „Szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego może również wezwać w każdym czasie do złożenia oświadczenia majątkowego każdą osobę pełniącą funkcję publiczną, nieobjętą obowiązkiem złożenia oświadczenia majątkowego" – tak brzmi przepis furtka także do twojej prywatności. Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z 2015 r. stwierdza, że „użyte w art. 5 ust. 2 ustawy o dostępie do informacji publicznej pojęcie »osoby pełniącej funkcję publiczną« obejmuje każdą osobę, która ma wpływ na kształtowanie spraw publicznych, tj. na sferę publiczną", a w orzecznictwie sądów mamy już wyroki stwierdzające, że „osobą pełniącą funkcje publiczne" jest np. nauczyciel. Naprawdę chcemy dać służbom prawo do wzywania na dywanik po uważaniu każdej osoby? Zastanowiłabym się dwa razy. ©℗

PODSŁUCHANE

Moc przewidywania

Grzesiek, jak już tego w ogóle nie ogarniam. O co tu chodzi?
Myślisz, że ja coś rozumiem, Rysiu? Nic a nic.
Nie bajeruj, ty na pewno rozumiesz. Przecież Kaczora znasz, a dla mnie to on jest batuta rasa.
Chyba tabula?
Nie wiem, czy ta bula, czy tamta, ale mógłby jednym ruchem te swoje pionki przestawić, a on się drugi miesiąc bawi. Coś za tym musi stać. Ja, wiesz, ekonomistą jestem, ale mnie się tu nic nie składa do kupy.
Tu się akurat nie dziwię.
Że co?
Nic, tak sobie tam gadam. Ty dość nowy jednak w polityce jesteś, więc nie wiesz, że czasem żadnego planu nie ma, wszystko się toczy tak po prostu samo z siebie.
Niemożliwe, Grzesiu, niemożliwe. Nie u Kaczora. Ja swoje wiem. A Kaczor to, proszę ciebie, umie przewidywać na 10 kroków naprzód. Sam tego doświadczyłem.
Ale jak to?
Normalnie. Idę sobie dwa tygodnie temu korytarzem w Sejmie, a Kaczor idzie naprzeciwko i mówi: „Zaraz się pan potknie". Myślę: podpuszcza mnie, dziadyga. I idę dalej. Udaję, że nie usłyszałem. Dziesięć kroków przeszedłem i jak rymnę. Sznurówkę miałem rozwiązaną. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Księgowy Morawiecki zna angielski. W kierownictwie PiS to coś niezwykłego. Wystarcza, by być premierem".

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze

eprasa.pl 8d31aeab18

fot. Jerzy Gumowski

250

Jestem zdumiony, że tak długo wytrwałem na posterunku w publicystycznym folwarku Rednacza Lisickiego, ale fakty się nie mylą: to już mój 250 felieton z okładkowym logo **„Do Rzeczy”**. Ćwierć tysiąca! Zastanawiając się co powinienem ględzić à propos takiego (było nie było *„okrągłego”*) zdarzenia — doszedłem do wniosku, iż kluczem jest właśnie liczba 250. Ergo, że tematem winna być Konfederacja Radomska. Nie tylko dlatego, że miała miejsce równo 250 lat temu (1767) i że 250. rocznica jej rozwiązania (15•XII•1767) przypada dokładnie w tygodniu bieżącym, lecz i dlatego, że była swoistym precedensem, antycypacją tych usiłowań rodzimych renegatów, którzy dziś judzą obce mocarstwa, by zrobiły porządek z niegrzeczną Polską.

Dawny kochanek carycy Katarzyny II, Stanisław August Poniatowski, wstąpił na tron A. D. 1764 dzięki zewnętrznemu naciskowi Petersburga i wewnętrznym usiłowaniom obozu Czartoryskich (tzw. *„Familia”*). Czartoryscy rozpoczęli wówczas zakrojone szeroko reformy, by uzdrowić i wzmocnić zanarchizowane państwo, czemu Rosja nie miała ochoty przyglądać się bezczynnie. Katarzyna wydała kontrpolskie dyrektywy, a realizacją zajęli się: graf Nikita Iwanowicz Panin, minister spraw zagranicznych imperium, oraz generał–major Nikołaj Wasiliewicz książę Repnin, desygnowany do Warszawy jako ambasador. Tych dwóch sukinsynów koronkowo przeprowadziło w drugiej połowie lat 60–ych XVIII stulecia operację ubezwłasnowolnienia Rzeczypospolitej, będąc forpocztą całego szeregu ich kontynuatorów (ruskich i sowieckich), którzy budowali fundament genialnie lapidarnego bon motu: *„Z kim sąsiaduje Rosja? Z kim chce. A z kim chce? Z nikim”*.

W dziejach Polski nikt bardziej niż kniaź Repnin nie zasłużył na miano Mefistofelesa. O jego intryganckiej maestrii dyplomatycznej i *„playmakerskiej”* (*„rozgrywający”* finezyjny, lub brutalny gdy trzeba) można pisać tomy (ja napisałem o niej powieść **„Milczące psy”**). W pierwszej połowie roku 1767 udało mu się, za pomocą sprytnych manewrów tudzież intensywnej propagandy, rozjuszyć masy szlacheckie przeciwko *„stronnictwu reform”* i królowi. Konserwatywna *„brać szlachecka”* już wcześniej sarkała na Czartoryskich i na powolnego im monarchę, ale gdy Repnin rozpuścił wieść, iż te reformy skasują szlachecką *„złotą wolność”* — dostała amoku. W czerwcu zawiązał się w Radomiu z inicjatywy Repnina (i pod kierownictwem uwielbianego przez szlachtę Karola Radziwiłła *„Panie Kochanku”*, którego Rosjanie specjalnie dla tego celu ściągnęli ekspresowo z Drezna) rokosz szlachecki przezwany szumnie Konfederacją Generalną. Przystąpiło do niej wielu potentatów (m.in. hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki, marszałek nadworny koronny Jerzy Mniszech, strażnik wielki koronny Franciszek Potocki, referendarz koronny Gabriel Podoski, biskup kamieniecki Adam Krasiński), zaś akces sygnowało aż 80 tys. nobilów (również *„szaraków”*). Delegaci, którym wmówiono, że Rosja stanie się najlepszym gwarantem *„swobód Rzeczypospolitej”*, wysłali czołobitne poselstwo do Petersburga, błagając carycę, by zechciała pełnić rolę protektorki Lechistanu. Na miejscu wznoszono toasty, brzęczano szablami, dyrdymałowano oracjami, panowała euforia. Jednak krótko. Przebudzenie było bardzo bolesne.

∞

Ludwik Kondratowicz (Syrokomla): „Kto ku obcym skłonił duszę, kto pogardza grunt ojcowski — głupi!”

∞

Repninowi udało się zmobilizować takie tłumy ponieważ obiecał szlachcie, że dzięki wsparciu Petersburga *„Ciołek”* (Stanisław August) zostanie zdetronizowany, katolicyzm umocniony, a *„stronnictwo reform”* posłane do diabła. Wierzyli, że ma siłę zrealizować to wszystko, bo w granice Rzeczypospolitej wkroczyło 30 tysięcy carskich sołdatów. Tymczasem gdy *„radomianie”* zaczęli obradować — Repnin oznajmił im coś przeciwnego, żądając, by wsparli *„króla Stasia”* (ten bowiem, widząc sytuację, całkowicie oddał się już Rosjanom) i by przegłosowali równouprawnienie *„dysydentów”* (innowierców), nie tylko religijne, lecz i polityczne (kwestia innowiercza stanowiła wtedy *„idée fixe”* zarówno Katarzyny, jak i króla Fryderyka, więc Petersburg i Berlin wspólnie rozgrywały wówczas *„kartę polską”*). Zdumione tysiące szlachciurów słysząc to ryknęły chórem: *„zdrada!”* i sięgnęły do szabel, ale ktoś wskazał im okna rozwarte wskutek letniego upału — za nimi ujrzeli wymierzone w gmach obrad armaty rosyjskie. Cały Radom był już otoczony wojskiem *„protektorów”*. Rozległy się biadolenia: *„Zwiedzeni jesteśmy w podobieństwie ptaszął na lep złapanych!”*.

Repnin

Chociaż *„radomianie”* zostali siłą zmuszeni do promoskiewskich podpisów, chociaż dalsze obrady musieli toczyć mając ruskie bagnety przy plecach, i chociaż Konfederację Radomską carska ambasada przeniosła (nikogo nie pytając o zdanie) do Warszawy, by mieć frajerów pod ręką — Repnin starał się łagodzić namiętności misternymi krętactwami, póki się dało. Dało się do połowy października 1767 roku. Stłamszeni polscy nobile godzili się już bowiem na prawie każdy dyktat, lecz twardo oponowali przeciwko równouprawnieniu innowierców, zwłaszcza że ci (dyzunici, kalwiniści, luteranie), mając wsparcie Prus i Rosji, hardo podnosili łeb, zawiązując własne konfederacje (Słuck, Toruń) i wygrażając katolikom. Z mównicy sejmowej gromił *„dysydentów”* biskup krakowski Kajetan Sołtyk, wtórował mu biskup kijowski Józef Załuski, a murem przy nich stała szlachta *„en masse”*. Przełamać tego uporu nie można było ani groźbą, ani perswazją, ani korupcją. Repnin zrozumiał, że czas *„Wersalu”* dobiegł kresu — trzeba zdjąć białe rękawiczki, założyć kastet i rąbnąć w łeb bardzo mocno. Nocą 13/14 października specjalne sołdackie komanda porwały Sołtyka i Załuskiego, a także hetmana polnego koronnego Wacława Rzewuskiego i jego syna Seweryna Rzewuskiego. Aresztowanych zakuto i wywieziono kibitkami do Kaługi (wrócili po pięciu latach). Te brutalne represje definitywnie złamały wszelki opór. Katarzyna Wielka została zatwierdzona jako *„gwarant ustroju Rzeczypospolitej”*, Polska stała się swoistym protektoratem Rosji, a Repnin niekoronowanym królem Rzeczypospolitej. Konfederacja Barska, która wybuchła trzy miesiące później (1768), była zbrojnym sprzeciwem przeciwko tej hańbie — pierwszą polską insurekcją antyrosyjską — ale zakończyła się klęską i przyszły rozbiory, a później kolejne powstania. Józef Zaleski (uczestnik Powstania Listopadowego) sarkał: *„Ojcowie nasi zawinili i nie masz ich, a my za nieprawości ich ponosząc karę — pokutować musimy”*.

Resumując: 250 lat temu silne figury rodzimej sceny politycznej chciały (jak choćby wspomniany książę Radziwiłł, marszałek Konfederacji Radomskiej, który łasił się i do Berlina, i do Petersburga), by sprawy Rzeczypospolitej regulowano ze stolic *„cudzoziemskich potencji”*, czyli z obcych dworów — i to się skończyło dla Polski fatalnie. Co pod rozwagę rzucam skarżypytom szczującym Brukselę, Berlin, Paryż bądź Strasburg na własny kraj. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 8d31aeab18

TOMMY HILFIGER

eprasa.pl/8d31aeab18